

PONBÖCZKOWI ŚWIYCZKA



JEDNOAKTÓWKI PO ŚLASKU
2019-2020

PONBÖCZKOWI ŚWIYCZKA

JEDNOAKTÓWKI PO ŚLĄSKU
2019-2020

WYDAWCY:

IM!GO
PUBLIC RELATIONS



KATOWICE
Miasto Ogrodów
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

PATRONAT MEDIALNY:

GAZETA
wyborecza

PÓNBÖCKOWI ŚWIYCZKA
Jednoaktówki po śląsku

Redakcja:
Waldemar Szymczyk

Konsultacja języka śląskiego:
Marcin Melon

Korekta:
Grażyna Kwiek-Nowak

Projekt graficzny:
Katarzyna Kępa-Lorenowicz

Realizacja wydawnicza:
Stapis

Skład:
Andrzej Sobkowski, MAGRAF S.C., Bydgoszcz

Zdjęcie na okładce:
Przemysław Jendroska
Sesja dla Teatru Śląskiego do spektaklu „Czarny ogród”
Na zdjęciu: Bernard Krawczyk

Wszelkie prawa zastrzeżone © Copyright by Imago Public Relations
oraz Katowice Miasto Ogrodów – Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

Katowice 2021

ISBN 978-83-953626-3-7

SPIS TREŚCI

DEKADA Z JEDNOAKTÓWKAMI	7
Rafał Czechowski	
<hr/>	
JUBILEUSZ W MASECZCE	8
Ingmar Villqist	
<hr/>	
JEDNOAKTÓWKA JEST KOBIETĄ	10
Waldemar Szymczyk	
<hr/>	
SNY NA WALIZKACH	11
Piotr Zaczkowski	

JEDNOAKTÓWKI 2019

PŌNBŌCZKOWI ŚWIYCZKA	14
Monika Kassner	
<hr/>	
ŻYWOBYCIE ŚWIYNTY BARBARY	28
Joanna Sodzawiczny	
<hr/>	
ANNA	36
Krzysztof Kokot	

ZE COŁKIGO ŚLŌNSKA Mateusz Czyba	51
ZOLYTY KROPKA PL Bożena Donnerstag	77
STEFAN, HELA I NIYDZIELA Anna Kandziora	87
ŁOJCIEC PRZOŁ POLSCE Grzegorz Sztoler	93
BEDŁA Wojciech Szwiec	109
JEDNOAKTŌWKA PO POLSKU Irek Widera	121
SKROWKI Z ŹYCIO ZEFLIKA SUCHEGO Anna Wojtkowska-Witala	137

JEDNOAKTŌWKI 2020

KRADZIOK Bożena Donnerstag	150
SONSIADY=NACHBARN Anna Wojtkowska-Witala	161

WACHMAJSTER	174
Irek Widera	
<hr/>	
KRAŃCE	189
Agnieszka Sznober, Monika Koprowska-Ludwig, Marcin Przybyła, Izabela Szobak, Bożena Mozgała, Monika Bilaska, Zofia Hrybik, Justyna Hrybik, Krzysztof Bogdoł, Radosław Matysek	
<hr/>	
ÔSTATNI SZTOK	203
Mateusz Czyba	
<hr/>	
ANIOŁ NA RYCZCE	225
Sławomir Fudala	
<hr/>	
POKUTNIK	234
Monika Kassner	
<hr/>	
ZGODA	245
Krzysztof Kokot	
<hr/>	
SKYPE ABO GODKA ÔN-LINE	262
Michał Musioł	
<hr/>	
RAJN	270
Piotr F. Piekutowski	
<hr/>	

DEKADA Z JEDNOAKTÓWKAMI

Rafał Czechowski, założyciel Imago Public Relations, organizatora konkursu „Jednoaktówka po śląsku”

Nasz konkurs na dramaty w jednym akcie napisany po śląsku wpadł właśnie w objęcia drugiej dekady istnienia albo odwrotnie, tudzież uścisk to wzajemny. Po śląsku: uścisk pewny, solidny, może nawet trochę zbyt mocny, ale szczerzy, serdeczny. Od 11. lat, co roku, kilkudziesięciu dramatopisarzy przysyła każdej jesieni swoje dzieła: osnute wokół historycznych wydarzeń, często osobistych lub – dla odmiany – wykreowane w wyobraźni teksty rozmaite: zabawne, wzruszające, refleksyjne, czasem poruszające. Bogactwo tematyki i stylów wypływa wprost z różnorodności Śląska i jego mieszkańców.

Każda edycja konkursu znajduje epilog w postaci antologii dziesięciu najlepszych dramatów. W 2020 r. pandemia koronawirusa uniemożliwiła nam wydanie i dystrybucję książki w tradycyjnej wersji [ukazał się tylko e-book]. Było to dotkliwie – bo jubileuszowa edycja konkursu zasługiwała na więcej, a nie mniej niż każda poprzednia. Ale opóźnione o rok – z oczywistych względów – każdorazowe wydanie antologii przynosi nam drugą szansę. Oto w trakcie 11. edycji konkursu oddajemy w ręce Czytelników wyjątkowy, 10 tom „Jednoaktówek po śląsku”. Wyjątkowy – bo podwójny: obejmujący jednoaktówki powstałe w trudnych dla całej ludzkości latach 2019 i 2020.

To dobry moment, żeby wrócić na chwilę do genezy konkursu, ujętej w tomie pierwszym w taki oto sposób: „Kiedy ktoś ma dar czy talent idące w parze z entuzjazmem i tym swoistym »chceniem«, które na Śląsku objawia się zapalem do pracy bez jakiegoś szczególnego oglądania się na nagrodę – jest to warte dostrzeżenia. Jeśli dodatkowo w podejmowanym wysiłku potrafi odnaleźć powody do radości i mieć zeń rodzaj satysfakcji potocznie (ale jakże trafnie) nazywanej frajdą – jest to warte uznania. Jeśli wreszcie

ten dar, pracę i radość oddaje – zgodnie z Polaków narodowym charakterem – na wezwanie, powszechny apel ku wspólnemu dobru – jest to warte podziwu. A jeśli – jak to jest w przypadku autorów jednoaktówek po śląsku, czyli dramatów powstałych na konkurs »Gazety Wyborczej« i Imago Public Relations – w rezultatach tej pracy i frajdy jest jeszcze fantazja, kreatywność, umiejętność snucia opowieści i budowania napięcia, sprawność posługiwania się słowem i myślenia obrazem – jest to warte uwiecznienia i wydania książki takiej jak ta! (...) Znakomite rzeczy napisane przez dramatopisarzy amatorów, entuzjastów »ślóńskiych godki«, teatru i literatury. Różne jak losy Ślązaków, świadome coraz bardziej rozbudzonej współczesnej tożsamości, pełne charakterystycznych cech śląskiej obyczajowości. A wspólne dobro? Cóż... Dotąd nie wynaleziono lepszego sposobu na portretowanie rzeczywistości i prowadzenie rozmów o sprawach skomplikowanych niż poprzez kulturę. Ten wyjątkowy wybuch swobody myślenia, entuzjazmu, pracowitości i umiejętności powoduje, że nie mogliśmy nie wydać tej książki. I choć zapis języka śląskiego wymaga od czytelnika skupienia i cierpliwości, zostaje ono po wielokroć nagrodzone. Z podziękowaniami dla wszystkich, którym chce się chcieć”.

Po ponad dekadzie od napisania powyższych słów trzeba wprowadzić ważną poprawkę: od lat to już nie tylko „dramatopisarze amatorzy”, ale często profesjonalści, autorzy, literaci sprawiają, że „Jednoaktówki” nieustannie cieszą i co roku zaskakują, czyniąc z języka śląskiego środek wyrazu artystycznego i przez to nadając mu wartość. Należy Im się za to ukłon niski aż do teatralnych desek i bez *mycki na gowie!* Miłej lektury!

JUBILEUSZ W MASECZCE

Ingmar Villqist, pomysłodawca i juror konkursu

Miało być tym razem wyjątkowo uroczyste. Wymyśliłiśmy z Waldkiem Szymczykiem, że finał 10. edycji konkursu na jednoaktówki po śląsku w grudniu 2020 roku zorganizujemy na dużej, teatralnej scenie, nagrodzone teksty będą czytać aktorzy scen śląskich i polskich teatrów grający pięknie po śląsku, miał być koncert, spotkania z laureatami poprzednich konkursów, promocja dziesiątego tomu nagrodzonych dramatów, wypasiony bankiet i... wielki bal z udziałem wszystkich uczestników, laureatów i sympatyków naszego konkursu.

Najbardziej cieszyłem się z tego balu, oczywiście miał to być bal przebierańców, wybrałbym kostium Krakowiaka, tego samego Krakowiaka, co to na brzegu Wisły w podwawelskim grodzie przypatrywał się osłupiały, jak Wanda, co Niemca nie chciała, niknie w smętnej wiślanej toni. Zdjąłbym na jubileuszowym balu czapkę krakowską utkaną pawimi piórami i nisko pokłoniłbym się naszym uczestnikom i laureatom, bo to przecież oni, piszący jednoaktówki po śląsku, stworzyli zadziwiające zjawisko literackie i społeczne, jakim jest pozyskanie przez nas już kilkuset tekstów dla teatru napisanych w języku śląskim.

To prawda, że trudno naszym autorom dostać się na sceny teatrów, już nie mówię, że w Polsce, ale i tu, u nas – na Śląsku, choć tych teatrów wiele, a dużych, małych i najmniejszych scen kilkadziesiąt. Jeszcze się boją zawiadujący tymi teatrami, choć Bóg mi świadkiem – nie wiem czego. Nie zapraszają śląscy redaktorzy naszych autorów do wywiadów w nielicznej już prasie papierowej, nie dają im głosu w internetowych wydaniach, nie zapraszają do Radia Katowice, o telewizji katowickiej nie wspomnę. Boją się. Dobrze im tak, widocznie mają coś na sumieniu.

Kiedyś żaliłem się wspianiałemu aktorowi, nieodżałowanej pamięci Bernardowi Krawczykowi, który kilka razy brał udział w czytaniach naszych nagrodzonych jednoaktówek, że nie rozumiem tego medialnego ostracyzmu. „Wiktor, co ty, nie wiesz dlaczego? Domyśl się...” – powiedział wtedy do mnie. Bernard Krawczyk nazywał mnie „Wiktor” – do dziś nie wiem dlaczego, a jak go o to pytałem, odpowiadał: „Przecież wiesz, Wiktor”. Nie wiem, ale mogę się domyślać. „Musicie robić ten konkurs – powtarzał Bernard – bo to ważne jest bardzo, Wiktor”. Będziemy robić, Beniu. Wiem, że jesteście z nami. Bardzo nam Ciebie brakuje.

10. edycja naszego konkursu. 10 lat to dekada – kawał czasu, ktoś, kto w czasie pierwszej edycji w 2010 roku miał 10 lat, dziś jest już po maturze. Może ten ktoś wysłał w tym roku jednoaktówkę na konkurs? Może wygra?

Pandemia koronawirusa zdemolowała wszystko wokół. Nasz jubileusz też. Wszystko na naszych oczach się przewartościowuje. Nic już nie będzie tak jak kiedyś. Ale kto kocha teatr, będzie go dalej kochać. Kto pisał, pisze dla teatru, będzie nadal to robić, po śląsku też, w maseczce, w dystansie społecznym, siedząc w wannie ze środkiem dezynfekującym po brodzie, ale będzie pisać.

Sztuki, twórczości nie zabije żaden najwściekleszy nawet wirus, bo sztuka, imperatyw tworzenia to od zawsze szczepionka na wszystko co złe i podłe na tym świecie. Damy radę.

Październik 2020 r.

Adnotacja

Minął kolejny, trudny, bo pandemiczny rok w dziejach naszego konkursu na jednoaktówkę w języku śląskim. To już 11. edycja, żaden tam jubileusz, jak rok temu, ale i tym razem wydarzenie wyjątkowe, bowiem postanowiliśmy, a właściwie uroczyście podjęliśmy decyzję, że tym razem naszemu konkursowi towarzyszyć będzie dwutomowe wydanie antologii z nagrodzonymi tekstami laureatów konkursu. W zeszłym roku, nagrodzone jednoaktówki można było czytać tylko na stronie konkursu. Postanowiliśmy wydać je jednak drukiem razem z dziełami tegorocznych laureatów.

Tajemnicza chmura internetowa może z jakiegokolwiek powodu się rozwiać, a książka pachnąca papierem, farbą drukarską, w twardych okładkach, to książka i jak uczy historia świata książka przetrwa największe kataklizmy dziejowe, a jej zawartość będzie świadczyć po wsze czasy o ludzkich i nieludzkich, śmiesznych i tragicznych losach jednostek i narodów, naszego śląskiego też. Miłej lektury!

Październik 2021 r.

JEDNOAKTÓWKA JEST KOBIETĄ

Waldemar Szymczyk, juror konkursu

Spośród trojga zwycięzców dziewiątej edycji konkursu „Jednoaktówka po śląsku”, który odbył się w 2019 roku, pierwsze i drugie miejsce zajęły kobiety. Trzeci był mężczyzna, ale napisał wspaniałą sztukę o... kobiecie. Sytuacja powtórzyła się w roku 2020.

Pierwsze miejsce w dziewiątej edycji konkursu zajęła Monika Kassner za jednoaktówkę „Pönböczkowi świyczka”, dramatyczną historię powojenną opartą na prawdziwych przeżyciach swojej rodziny. Drugie miejsce zajęła Joanna Sodzawiczny za „Żywobycie świynty Barbary”, trzecie – Krzysztof Kokot za dramat „Anna”.

Na konkurs w 2019 roku wpłynęło ponad 30 prac. Przeważali autorzy, którzy biorą udział w konkursie od lat, było kilku zawodowców, którzy systematycznie publikują i są już znanymi ludźmi w branży pisarskiej, ale pojawiły się też nowe nazwiska.

Podobnie było rok później. Wśród trojga zwycięzców pierwsze dwa miejsca zajęły kobiety: Bożena Donnerstag z jednoaktówką „Kradziok” i Anna Wojtkowska-Witala z pracą „Sonsiady=Nachbarn”. Trzeci był Irek Widera i jego „Wachmajster”.

Tym razem na konkurs przysłano 23 jednoaktówki. W skład jury tradycyjnie wchodził: Ingmar Villqist, pomysłodawca konkursu; Mirosław Neinert, dyrektor Teatru Korez; Piotr Zaczkowski, dyrektor Miasta Ogrodów; oraz Waldemar Szymczyk z Imago PR.

Zwycięskie prace z obu edycji, a także wyróżnione przez jury, możecie Państwo przeczytać w tej książce.

LAUREACI IX EDYCJI KONKURSU „JEDNOAKTÓWKA PO ŚLĄSKU 2019”

1. miejsce Monika Kassner – „PÖNBÖCZKOWI ŚWIYCZKA”
2. miejsce Joanna Sodzawiczny – „ŻYWOBYCIE ŚWIYNTY BARBARY”
3. miejsce Krzysztof Kokot – „ANNA”.

Wyróżnienia:

1. Mateusz Czyba – „ZE COŁKIGO ŚLÖNSKA”
2. Bożena Donnerstag – „ZOLYTY KROPKA PL”
3. Anna Kandziora – „STEFAN, HELA I NIYDZIELA”
4. Grzegorz Sztoler – „ŁOJCIEC PRZOŁ POLSCE”
5. Wojciech Szwiec – „BEDŁA”
6. Irek Widera – „JEDNOAKTÓWKA PO POLSKU”
7. Anna Wojtkowska-Witala – „SKROWKI Z ŻYCIO ZEFLIKA SUCHEGO”.

LAUREACI X EDYCJI KONKURSU „JEDNOAKTÓWKA PO ŚLĄSKU 2020”

1. Bożena Donnerstag – „KRADZIOK”
2. Anna Wojtkowska-Witala – „SONSIADY=NACHBARN”
3. Irek Widera – „WACHMAJSTER”.

Wyróżnienia:

1. Kilkundniowy Kolektyw Dramatopisarski przy Siymianowskim Cyntrum Kultury: Agnieszka Sznober, Monika Koprowska-Ludwig, Marcin Przybyła, Izabela Szobak, Bożena Mozgała, Monika Bilaska, Zofia Hrybik, Justyna Hrybik, Krzysztof Bogdoł, Radosław Matysek – „KRAŃCE”
2. Mateusz Czyba – „ÖSTATNI SZTOK”
3. Sławomir Fudala – „ANIOŁ NA RYCZCE”
4. Monika Kassner – „POKUTNIK”
5. Krzysztof Kokot – „ZGODA”
6. Michał Musioł – „SKYPE ABO GODKA ÖN LINE”
7. Piotr F. Piekutowski – „RAJN”.

SNY NA WALIZKACH

Piotr Zaczkowski, juror konkursu

Tytuł jednoaktówki Moniki Kassner, laureatki pierwszej nagrody edycji 2019 – „Põnbõczkowi świyeczka” – mimowolnie coś zapowiedział. Mimo że każda rzeczywistość zawsze wymusza kompromis („diöblu ogarek”), dzisiaj większego ciężaru (to znaczy blasku) nabrały świyeczki – chociaż niekoniecznie zapalane Panu Bogu, a życiu lub naszej nadziei na życie.

W dawnych tragediach żałobnice, nazywane płaczkami, skandowały głośno rozpacz, rozdrapywały ją na słowa i gesty. Śląskie płaczki są bezosobowe i rzadko coś rozdrapują, bo to po prostu łzy, regionalna odmiana słonej substancji i esencji, zwilżającej oczy i ludzkie losy. Niewątpliwy jest związek płaczek – łez z rozkładem jazdy, naklejonym na murach, ogłaszonym w gazetach, a niekiedy wręczonym ojcom rodzin w zimnych urzędach. Dlatego na Śląsku, częściej niż gdzie

indziej, co pewien czas zyskiwały na wartości niewielkie, podręczne walizki. Duże kufry pozostawiano w piwnicach. Miały wówczas wiele wspólnego z trumnami, a trumien, jak wiadomo, nie da się zabrać w żadną podróż. Kobiety kroili chleb i sypały sól do woreczków z lekkiego płótna. Zawsze pozostawała szczypta, niewiele, akurat tyle, ile trzeba wysypać u progu domu. Ale nie lamentowano zbyt długo, a także nie uczono się wspomnień na pamięć, bo było bardzo dużo ważniejszych rzeczy do zrobienia. I chyba nie spoglądano za siebie.

Być może walizki są rekwizytem, bez którego trudno sobie wyobrazić następstwo wydarzeń w śląskich dramatach. Tych w życiu i tych, które chcielibyśmy pokazać na scenie. Ale czy da się opowiedzieć w teatrze znużenie historią i sny na wędrownych, ubogich, twardych walizkach?

JEDNOAKTÓWKI 2019

PÖNBÖCKOWI ŚWIYCZKA

Monika Kassner

(ôparte na pröwdzie)

CZAS A PLAC:

*Ôd listopada 1945 do kwiytnia 1954 roku. Chałpa ôd Suchanköw w Lipinach.
Kömisariat Milicji Ôbywatelskij w Lipinach. Sönd w Chorzowie.
Chałpa ôd Kusiöw w Lipinach. Kömynda UB w Świyntochłowicach.
Poczekalniö na banhofie we Zöbrzu. Gruba Barbara-Wyzwolyynie w Chorzowie.*

PERZÖNY:

HYJDLA SUCHANEK

ALOJZ SUCHANEK *chop ôd Hyjdlä*

RUDI *synek ôd Suchanköw*

MILICJANT *richtich Polök*

SYNDZIA SÖNDU ÔKRYNGOWYGO W BYTÖMIU *(ekspozytura w Chorzowie)*

KÖNRAD KUŚ *świadek*

ACHIM KUŚ *brat Könrada*

KÖMYNDANT UB W ŚWIYNTOCHLOWICACH *(Ślönzök)*

EMIL STRACHOTA *kamrat Alojza z döwnych löt, terözki ubek*

EWALD PARUCHA *wachtyrz UB w Świyntochłowicach*

FUNKCJONARIUSZE UB W ŚWIYNTOCHLOWICACH

NOWO NARÖDZÖNY JANEK *mały synek ôd Suchanköw*

STARA BABA Z POCZEKALNI NA BANHOFIE WE ZÖBRZU

BINA I

*Kuchnia we chałpie ôd Suchankōw. Hyjdla stoi przy piecu i warzy żur.
Do kuchni wpadō zafuczały synek Rudi.*

RUDI:

Mamo, mammo! Tata idōm!

HYJDLA (*kukō bez ôkno*):

Co ty to gōdosz! Banie żeś sie najōd abo co?

RUDI:

A kaj tam. Idōm srogōm gromadōm ôd Chebziō. Wszystkie choby duchy: brody po pas, we hadry ôbleczōne, bez szczewikōw, a gyry ônucami ôbwiōnzane.

HYJDLA:

Niy gōdej!

*Gibko ściōngō zōpaska, ciepie jōm na stolek i leci na plac.
Z naprzeciwka langsam, richtich choby duchy, idōm ôbdarte chopy.*

HYJDLA (*podłazi do jednygo śnich*):

Alojz, to ty?

ALOJZ (*wyciōngō chudo rynka do Hyjdli*):

Jō, Hyjdla, jō.

HYJDLA (*ślimtō a macō Alojza choby ślepy abo choby sprawdzala, eli ôn wszystko mō*):

Myślałach, co już niy przydziesz nazōt.

ALOJZ (*chytō jōm za rynka*):

Jō tyż piyrwy tak myśłoł, nale Pōnbōczek chcioł inakszyj.

HYJDLA:

Pōć do dōm, nawarzyłach żuru.

BINA II

Kuchnia we chałpie ôd Suchankōw.

HYJDLA (*ôdwijō ônuce z gyrōw Alojza*):

Kajś ty to bōł, mōj borōczku? Wyglōndosz choby śmiertka na pynzyji. Zarōzki nagrzej a ci wody, a jydz tyn żur, bo je gorki.

ALOJZ:

Po jakimu żeś sie z bajtlami wykłudziła aże na sòm wyrch?

HYJDLA:

Kej ruskie cie wziyli, na drugi dziyń przyszła nowõ władza ludowõ i nõs wyciepla. Najsamprzõd poszłach do twojij matki, a wiysz wiela u nij je placu. (*westchnienie*) Dobrze, co żech robiyła na noc, bo bych lygała na sieni. Potym Emil Strachota poszoł na UB i pedzioł, co my niy sòm żõdne wrogi systymu i wtynczõs dali nõm ta ajncla nafolowanõ wanckami. (*Hyjdla ôglõndõ pora-
nione gyry Alojza i bolõki na cołkim jego cieie*) A co õne z tobõm zrobiyli?

ALOJZ:

Niy chca ô tym gõdać. Lepij do ciebie, cobyś wydziała jak nojmynij.

HYJDLA (*znerwowanõ*):

Jõ tukej walczyłach ô cołko familijõ. Ani niy wydziałach, co cie jeszcze õbõ-
cza. Radzili mi, cobych sie wziyła inkszygo chopa, nale jõ sie zapařła i czeka-
łach. A ty ze mnõm terõzki gõdosz choby z bajtlym?

ALOJZ:

Niy wiysz, jak mi ciynżko ô tym wszystkim õsprõwiać. Chciołbych, ażeby mi
pamiyńc õdyjmłõ, nale to sie tak niy dõ. Zaaresztowali cołkõ naszõ brygada.
Cug, kerym nõs wiyżli, zawarli na trzy tydzie. Niykere tygo niy strzimali. Je-
chalimy snimi do końca, trupy wycieplimy na miejscu. Chopy zamarzali w ro-
bocie. Na õbiõd dõwali nõm zupa z rybich õści ze czõrnõm, niymytõm rzepõm.

HYJDLA (*siadõ za stołym a chytõ sie za gowa*):

Na co nõm to prziszło, Alojz. Na co nõm to prziszło.

BINA III

Kõmisariat Milicji Ôbywatelskij w Lipinach (listopad 1945).

ALOJZ (*włazi rajn, syminõ mycka na przywitanie i kładzie papiõry we õkienku*):

Dobry dziyń. Miõłech sam przyjsć, kej przyjada ze Rusyji.

MILICJANT (*zajynty szkryflaniym, kej słyszy „ze Rusyji”, gibko podnosi gowa i spojierõ
we papiõry*):

Obywatel Alojzy Suchanek (*biere piyczõntka z datownikym i przybijõ na
zadnij zajcie biletu ze Rusyji*). A którą to grupę volkslisty macie?

ALOJZ:

A na co wõm to wydziec?

MILICJANT (*zeszterowany*):

Ja tu reprezentuję władzę Polski Ludowej i kiedy pytam, waszym obowiązkiem jest odpowiadać. Więzienia i obozy są pełne takich chojraków jak wy. Ale nie martwcie się, was jeszcze upchniemy. No to słucham, jaką to macie grupę?

ALOJZ:

Dwójka.

MILICJANT:

To się dobrze składa, obywatelu Suchanek, bo jeszcze się pewnie zobaczymy. I zapamiętajcie raz na zawsze (*ôddôwo Suchankowi bilet*): Tu jest Polska. Niemców tu nie chcemy.

ALOJZ:

Nale jö niy je żödyn Niymiec. Jö je Ślönzök. I nic żech niy zrobiöł.

MILICJANT:

Obywatelu Suchanek... To się jeszcze okaże.

BINA IV

Piöntö rano. Ôstre klupanie do dźwiryży chałpy ôd Suchanköw.

Alojz ôtwierö. Na progu stojöm trzi chopy:

milicjant z komisariatu i dwa ôbleczöne po cywilnymu.

MILICJANT:

Alojzy Suchanek, idziecie z nami.

ALOJZ (*zdziwiöny i zeszterowany*):

Po co żeście przisзли z tymi gywerami? Trza böło mje zawrzic na kōmisaria-cie, a niy familijö mi po nocy straszyc. Przeca nic żech niy napochoł.

MILICJANT (*döwö Alojzowi pod pysk nakaz heresztowaniö*):

Obywatelu Suchanek, mówiłem, że to się jeszcze okaże.

BINA V

Sönd w Chorzowie. Sala rozpraw (marzec 1947).

SYNDZIA:

Sprawa przeciwko Alojzemu Suchankowi, oskarżonemu o to, że będąc obywatelem polskim, dopuścił się odstępstwa od narodowości polskiej przez to,

że w czasie pomiędzy pierwszym września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku a dziewiątym maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku zgłosił swą przynależność do narodowości niemieckiej. Czyn ten stanowi przestępstwo z artykułu pierwszego paragraf pierwszy z dwudziestego ósmego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku o odpowiedzialności karnej za odstęstwo od narodowości polskiej w czasie wojny. Wzywam na świadka Kōnrada Kusia.

*Do sali rozpraw włazi mały, poskryncany karlus;
stōwō na przesuchanie, a niy patrzy ani na Alojza; syndzia pyto świadka:*

Czy podczas wojny Alojzy Suchanek zgłosił czynną przynależność do narodu niemieckiego?

KŌNRAD KUŚ:

Ja.

SYNDZIA:

W jaki sposób?

KŌNRAD KUŚ:

Mioł dwōjka i bōł w NSKK.

SYNDZIA:

Wyjašnjicie, obywatelu, co oznacza ten skrót.

KŌNRAD KUŚ:

Narodowosocjalistyczny Korpus Motorowy.

SYNDZIA:

Czym ta organizacja się zajmowała?

KŌNRAD KUŚ:

Szkołyła poborowych, a potom kerowała do jednostek pancernych i zmotoryzowanych. Rychtowali jich do obsługi i utrzymywania motorōw i autokōw.

SYNDZIA:

Rozumiem, że maszyny te były przeznaczone na front?

KŌNRAD KUŚ:

Ja.

SYNDZIA:

Czy działalność oskarżonego w wymienionej wyżej organizacji to jego jedyna wina?

KŌNRAD KUŚ:

Niy. Kej my śnim gōdali, niy mogli my używać polskiego.

SYNDZIA:

Jakoś na to reagował? Używał wulgaryzmów? Groził wam?

KÖNRAD KUŚ:

Kej mój brat Achim godół po polsku, Alojz piznył go w pysk.

ALOJZ (*stowo*):

Cygaństwo!

SYNDZIA:

Jeszcze jedno takie wystąpienie, a oskarżony zostanie wyprowadzony z sali rozpraw! (*Alojz siadō zrezygnowany*) Świadek jest wolny.

*Kōnrad Kuś wyłazi zadkiym do dźwiryzy
jeszcze barzij poskryncany
niż przed zeznaniym.*

SYNDZIA:

Zarządzam piętnaście minut przerwy.

Wszystkie wyłazōm ze sali. Za ćwierć godziny sōm nazōt.

SYNDZIA:

Oskarżony, powstać.

Alojz stowo.

SYNDZIA:

Z zeznań świadków oraz z opinii znajdujących się w aktach wynika, że oskarżony Alojzy Suchanek był członkiem NSKK, a Polakom zabraniał rozmowy w języku polskim. Zatem w czasie wojny postępowaniem swoim, niegodnym obywatela państwa polskiego, czynnie zgłosił swoją przynależność do narodowości niemieckiej. Czyn ten stanowi zbrodnię z artykułu pierwszego paragraf jeden dekretu z dnia dwudziestego ósmego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku o odpowiedzialności karnej za odstępstwo od narodowości polskiej w czasie wojny. Wobec tego skazuję wyżej wymienionego obywatela Alojzego Suchanka na półtora roku więzienia.

GŁOSY Z SALI:

Zdrajca, folksdojcz, chachor!

SYNDZIA:

Wyprowadzić oskarżonego.

*Wszystkie wyłażōm ze sali. Niykere podłażōm do Alojza i plujōm mu pod nogi.
Alojzowi udōwo sie chycić Kōnrada Kusia za rynków.*

ALOJZ:

Gōdej, co jō żech ci zrobiył?

Kōnrad nic niy gōdō, ôdwracō sie i ôdłazi. Alojza zabierajōm szandary.

BINA VI

W dōma u Kusiōw. Kōnrad z bratym Achimym siedzōm wele stoła.

KŌNRAD (*rachuje piyniōndze*):

Jedna tajla do mje, drugō do ciebie. Kejby Alojz niy przyszoł nazōt ze Rusyji, mielibymy pokōj.

ACHIM:

Ōn nōs przeca wszystkigo wyuczył, a my sōm take ipty.

KŌNRAD:

Niy być baba. Kej żech sie pytoł we tyjatrze ô elektryka do nowygo przedstawieniō, ôd razu mi pedzieli, co terōzki wszystko przyrychtuje zaś Alojz Suchanek. Zarōzki stracilibymy nasze fuchy. Niy mōg żech tygo tak ôstawić.

ACHIM:

Jō tak niy moga, weż sie tyn gelt (*ôddōwo swoja tajla bratowi*). Umywōm rynce. Niy chca być winien cierpieniō tygo chopa.

KŌNRAD:

Niy gōdej, co ōn je taki niywinny. Przeca miōł dwōjka. Niy chcesz, jō to wezna na siebie, gelt tyż. Żōdne piyniōndze niy śmierdzōm.

Biuro kōmyndanta UB w Świyntochłowicach.

KŌMYNDANT:

Półtora roku za zdrada narodu? To cosik mało, ôbywatelu Suchanek.

ALOJZ:

Żödnygo żech niy zdradził. Żödnyemu niy dołech w pysk. Żodnymu niy bro-
niłech gōdać po polsku. Kōždy niych sie gōdō po jakiemu chce. Mje nic do
tygo.

KŌMYNDANT:

Jō mōm tukej czōrnō na biołym, coście narobili, i to je do mje nojważniejsze.
Niy takich miglancōw my tukej mieli, ôbywatelu Suchanek. Nale niy po to
żech wōs tukej zawezwoł, coby sie z wami ôsprōwiać. Strachota padoł ô wōs
same dobre rzeczy. A żech sie zlōnk, co my zawarli jakigo janioła. Wachtyrz
Parucha, do mje!

WACHTYRZ PARUCHA:

Rozkaz, ôbywatelu kōmyndancie!

KŌMYNDANT:

Weźcie tygo borōka do piwnice, bo juź na niygo patrzeć niy moga.

ALOJZ:

Nale... ôbywatelu kōmyndancie... jō nic niy zrobiył.

Wachtyrz popychō wiyńźnia przed sobōm do piwnice.

Alojz ôbracō sie do wachtyrza.

ALOJZ:

Nale jō je niywiny. Przeca wiycie, wela niywinych ôdpowiadō dzisiej za
niy swoje grzychy!

WACHTYRZ (*ôtwierō dźwiryze*):

Właż, a tyła niy gōdej! Emil Strachota padoł, co mōmy cie trzymać... nale niy
za darmo. Przeblec sie. Mōsz tukej faska z kapustōm, właż a deptej. Ino coby
mi bōła miynko kej u mojj ōmy.

Zdziwiōny Alojz włazi do faski i deptō kapusta.

*Cela Alojza. Prycza, jedyn stołek.
Alojz i Emil Strachota kurzōm cygaryty.*

ALOJZ:

Chopie, mōj kamracie, kajś ty włōz? Tukej bezmaść same mordyrze a chachary. I tyn kōmyndant: gōdo po naszymu, a choby niy nasz. Przeca ty mōsz dwōjka, tak jak jō. Żōdyn cie niy pytoł?

EMIL STRACHOTA:

Zawrzij lepij gymba a być rady, co kejś przyszoł ze Rusyji, zarōzki cie na Zgodzie niy zawarli. Stamtōnd mało fto wylōz żywy. A po coś ty sie zapisoł do tygo dioseckigo NSKK? Rozum ci ōdyjmłō abo co?

ALOJZ:

Wiysz, co zōwdy lubilech autoki. Chciolech sie jedyn kupić i tam mōg zech sie przyrobić. Żōdnych poborowych zech niy szkolył. Robilech ino przy autach ōsobowych. Żōdnych na frōnt zech niy rychtowoł.

EMIL STRACHOTA:

Gupie gōdanie. Wszystkie bōły na frōnt.

ALOJZ:

Możno i gupie, nale niy wiym, co lepsze – kojfnōnc na Zgodzie abo przemienić szaket i zrobić sie srogim Polokiym a komunistōm. Niy gańba ci? Kejby twōj fater wstoł z grobu i cie ōboczył, zarōzki by sie nazōt legnył. Rzykosz ty aby jeszcze?

EMIL STRACHOTA:

Kejbych niy włōz do UB, toby nōm nasz wanielicki kościōł zawarli. Ino beztō, co my sie ōblekli na ryncie bioło-czerwōne bindy i wachowali go dziyń a noc, dali nōm pokōj. Ōd razu mje wzyli do UB i żōdyn niy pytoł, jakō mōm volkslista. I dobrze, coby tak ōstało. A kejby mje tu niy bōło, forszteluj sie, to można byś juź niy żył.

ALOJZ:

Nale ludzie przeca gōdajōm.

EMIL STRACHOTA:

Ludzie niych gōdajōm, co chcōm, a Pōnbōczek wiy, co zech mu kościōł wyretowoł. Powiy ci jedno: po tym, kej we łaźni naszych prali, aże w ausgusach pływała krew, a kości jim lōmali choby suche asty, przysiōng zech sie,

co wszystko strzimia. A ty, Alojz, pamiyntej: mõsz familijö, beztö röb, co ci bydöm közać, a wyleziesz stönd w jednym köncku.

BINA IX

*Dwa roki niyskorzyj (październik 1948). Chałpa ôd Suchanköw.
Hyjdla kômpie niydöwno narodzönygo Janka.
Wieczör. Klupanie do dźwiryzy.*

HYJDLA:

Alojz, ôdewrzyj, bo bajtla terözki niy ôstawia.

*Alojz ôdewierö dźwiryze. Na sieni stojöm dwa znajöme Alojzowi ubeki
a milicjant z komisariatu.*

ALOJZ:

Ô co sie zaś rozchodzi?

MILICJANT:

Macie kwadrans na spakowanie rzeczy i opuszczenie mieszkania. Jedziecie do siebie, obywatelu Suchanek.

ALOJZ:

Co wy to fanzolicie? Przeca jö jest u siebie.

MILICJANT:

Nie tym tonem, obywatelu, nie tym tonem. Pokażcie zaświadczenie, coście tydzień temu odebrali w urzędzie powiatowym.

Alojz wyciöngö ze szranku zaświadczynia i döwo milicjantowi.

MILICJANT:

Proszę bardzo, tu piszą: narodowość niemiecka. I czego wy tu jeszcze, Suchanek, szukacie?

ALOJZ:

Swoje zech ôdsiedzioł, a tygo zaświadczynia zech niy naszkryfloł.

MILICJANT:

A co to kogo obchodzi? Niemiec to Niemiec, a my tu Niemców nie chcemy. Pakujcie się i, jak to u was mówią, raus!

ALOJZ:

A moja familijö?

MILICJANT:

Wszyscy. Co do jednego.

ALOJZ (*do Hyjdli*):

Pakuj bajtle, wyjeżdżōmy do Nymiec.

HYJDLA:

A po jakimu?

ALOJZ:

Sōmy Nymce i nōs tukej niy chcōm. Mōmy piyntnōście minut.

HYJDLA:

Przeca ty żeś już swoje ōdsiedzioł...

ALOJZ:

Widać niykerym to niy starczyło.

Suchanki wylażōm z dōma.

MILICJANT:

Zaplombować drzwi.

Ubeki plōmbujōm dźwiryze ōd chałpy Suchankōw.

BINA X

*Familijō Suchankōw i inksze „Nymce” siedzōm w ciźbie w poczekalni
na banhofie we Zōbrzu.*

HYJDLA:

Pōnbōczku, wiela my tukej jeszcze bydymy czekać? Bodej by nōs już powystrzylali, mielibymy pokōj.

ALOJZ:

Niy gōdej. Tyla my strzimali, strzimiymy jeszcze i to.

Mały Janek ryczy na rynkach Hyjdli.

GŁOS Z CIŻBY:

Po jakiemu tyn bajtel tak ryczy? Cosik wōm potrzeba?

HYJDŁA:

Głodny je, a jō niy mōm juź mlyka. Wielu my tukej jeszcze bydymy siedzieć?

STARŎ BABA Z CIŻBY:

Mōcie tu trocha. Wziyłach na rajza, nale bajtlowi nojwiyncyj sie przydō.

HYJDŁA:

Dziynkuja wōm. Niy ch Pōnbōczek wōm przaje.

*Hyjdla nalewō mlyko do flaszki z nuplym i dōwo bajtlowi.
Do poczekalni włażōm dwa szandary i dwa chopy po cywilnymu;
jedyn to Emil Strachota, kery rozglōndō sie we ciźbie.*

EMIL STRACHOTA:

Alojz, co ty tukej robisz?

ALOJZ:

Wyciepli nōs i zaplōmbowali chałpa. Gōdajōm, co jadymy do Niymeric.

EMIL STRACHOTA:

Nale tyn cug juź nikaj niy pojedzie.

ALOJZ:

Co ty fanzolisiz!?

EMIL STRACHOTA:

To mioł być ōstatni cug do Niymeric, nale go zawrōcajōm. Jedziecie nazōt do dōm.

ALOJZ:

A zaplōmbowane dźwyrze?

EMIL STRACHOTA:

Niy starej sie. Jakoś to załatwymy.

BINA XI

*Emil Strachota i dwa mode ubeki
stojõm pod dźwyrzami chałpy ôd Suchankõw.*

EMIL STRACHOTA:

Lyjo, wlyż do Alojza z dachu, bez ôkno, a klupej w dźwyrze ôd środka, choby
cie zawarli rajn.

*Mody ubek włazi na strych bez drugie dźwyrze naprzeciw; słyhać
trzaskane ôkno, a zarõz potym klupanie w dźwyrze;
Emil Strachota zrywõ plõmby i wypuszczõ Lyja.*

EMIL STRACHOTA (*wyciõngõ z kapsi filok i koncek papiõru*):

Piszemy: z powodu omyłkowygo zaplõmbowaniõ w mieszkaniu Suchankõw
jednygo z naszych ludzi plõmby musiały zostać usuniynte. Podpisano: pod-
porucznik Emil Strachota.

BINA XII

*Familijõ Suchankõw włazi do dõm;
Hyjdla stõwiõ kofry na zol, Janka kładzie w lõżeczku,
synek Rudi wyciõngõ blajstift i heft do rysowaniõ.*

ALOJZ:

Õstõw wszystko w kofrach. Jõ już tukej miyszkać niy poradza.

HYJDLA:

Nale kaj my terõzki põdymy?

ALOJZ:

Ganc egal. Choby do Chorzowa. Tam nõs niy znajõm. Napocznymy wszystko
õd poczõntku. Za wiela żech tukej wycierpioł. Czowiek może mocka strzi-
mać, nale myli sie, kej sie forszteluje, co poradzi strzimać wszystko.

Sztrajk po tragediji na grubie Barbara-Wyzwołynie w Chorzowie (marzec 1954).

EMIL STRACHOTA:

Dejcie tukej Alojza Suchanka.

WACHTYRZ PARUCHA:

Tak jest, ôbywatelu pułkowniku.

EMIL STRACHOTA:

Siednij sie ino... (*wyciōngō cygareta*). Zakurz sie... (*czynstuje Alojza i zaciōngō sie*). Zōwdy wlyziesz w jakie gōwno. Musiołś zaś ôtworzyć pysk?

ALOJZ:

Przeca niy mōg zech inakszyj. Tam zginyło sto dwajścia chopa, a niy, kej gōdō waszō władza, ôziymdziysiōnt (*Alojz ôdkłōdō cygareta*).

EMIL STRACHOTA:

Posuchej mje, Alojz. Siedza tukej a wachuja takich gorkich kej ty. Spōmnij sie hereszt a poczekalniō w Zōbrzu. Abo to strzimiymy, abo nōs ta maszina przemiyle. Pamiyntej: Pōnbōczkowi świyczka, a diōbłu ôgarek.

ŻYWOBYCIE ŚWIYNTY BARBARY

Joanna Sodzawiczny

OSOBY:

BERBLA¹ BARBARA, CERA

FATER

JANIOŁ

PROLOG

List łojca do cery

(czytany głosym łojca abo głosym cery).

Cera, bydzie to już łozym lot nazadek, jak zech ci zezwolił na smykanie sie po świecie. Chciałaś rajzować, toś rajzowała. Samaś zaczęła sztudyrować roztomańte rube ksionżki. Na to tyż dołech ci zwola, ale tera padom, że mosz ciś ku chałpie. Jo już je stary kobyry, coroz czynści mie cosik morzy. I tera jeżeś mi tukej potrzebno, a niy kańs tam fort łod chałpy. Bestoż padom: mosz sie do chałpy wrócić, i tak, co bych cie sam widzioł niy niyskorzi, jak za dwa tydnie. Eli by ci jakich gupot do łeby niy nalazło, to wroz z tym brifym posyłam dwóch chopa. Pomogom ci tasze nosić i do chałpy nazot skludzom.

Chow sie, Fater!

AKT I

BERBLA:

Witejcie, łojciec. Ciesza sie, że wos widza w dobrym zdrowiu. Pisaliście w brifie, że słabujecie.

FATER:

Berbla! Nareszcie! Dugoch musioł czekać...

¹ U nos w doma na ciotka Barbara padali Berbla, niy wiyom, czy to tak yno u nos, czy u inkszych tyż sie tak trefiało, ale bestoż bohaterka sie tak mianuje.

BERBLA:

Padołeś, że mom czas dwa tydnie, gynau dzisioj mijo. A to niy tak drap po-
ciepać wszystko i przyjechać tukej.

FATER:

Dobre! Dobrze, żeś już je, i widza, żeś wygryfniała. Licko gładkie, ślyпка
modre i fest żeś niy zrubła.

BERBLA:

Dzienukuja wom, łojciec, za te dobre słowa.

FATER:

Szwoczki już na ciebie czekają, nowych klajdów ci naszyją, yno mosz je przy-
pilnować, coby były richtig fajnie i niy mosz w nich wyglondać jak jakie
fifidło.

BERBLA:

Jeszcze roz dziynkuja, ale niy wim, czym żech se zasłużyła na nowe szaty.

FATER:

Cicho! Niy zawodzej mi sam tera. Musza jeszcze pora rzeczy łobszalować.
Twój karlus przyjedzie sam w przyszłym miesiącu. Wszystko musi być przy-
rychtowane.

BERBLA:

Mój karlus? Co mo być narychtowane? Chyba musisz mi to wytuplikować.

FATER:

Co ci mom tuplikować? Wydowosz sie! Twój karlus przyjeżdzo i musisz być
wysztyglowano.

BERBLA:

Fater, ale jo żodnymu nic niy łobicywała. Jo niy mom karlusa.

FATER:

Mosz, boch ci go som łobszalowoł. Synek naszych somsiódów. Sie łochaj-
tocie, ty bydziesz miała chopa, łon sie dobrze wżyni, gołodupiec to ni ma to
i majontek zysko.

BERBLA:

Ale łojciec... Jo niy chca... Jo już przysięgła Ponboczkowi, że byda jego.

FATER:

Komu?

BERBLA:

Jak jo rajzowała, toch poznała tako nowo wiara. W Ponboczka, łon je noj-
wijnkszy i nojmiłosierniejszy ze wszystkich.

FATER:

Jeszcze jedyn bog? Kery to wymyślił?

BERBLA:

Łon ni ma jeszcze jedyn. Łon je Jedyny!

FATER:

Gupoty mi sam jakieś ciśniesz. Wierz se, w co chcesz. Jak sie wydosz, to mie to bydzie jedno...

BERBLA:

No ale... skuli tego larmo. Jo sie chca wydać, ale za niego...

FATER:

A skond łon je? Zabraný? Majątek wielki? Kajś ty go trefiła? Czamu sie Ponboczkiem mianuje? Eh, dobra, nych sam przyjedzie. Pogodomy i sie łobejrzy. Jak mo rubszy portmanej łod tego, coch jo ci nasztalowoł, to dom wom zwola.

BERBLA:

Ale łojciec... Bo łon niy żyje...

FATER:

Co? Co ty mi tu wciskosz? Wzion i umar, a ty sie za niego chcesz wydować?

BERBLA:

No bo Żydy go zabiły, ale łon zmartwychwstoł, potym wloz do nieba. To ni ma take leke do wytuplikowanio...

FATER:

Jo widza, że tyś sie na tych rajzach gupot nasuchała. Umar, a żyje. Widzioł go fto łod tego czasu?

BERBLA:

No niy... Ale... No niy wiy, jak ci to padać. Tego tak leko niy idzie opowiedzieć. W to cza uwierzyć...

FATER:

Smolisz mi sam i tyła... Padom, wydosz sie, to se wierz, w co chcesz. To już bydzie staranie twojigo ślubnego...

BERBLA:

No ale ło to sie rozchodzi, że jo chca sie za Jezusa wydać.

FATER:

Dyc tyła coś mi padała, że łon umar. To jak ty to chcesz zrobić?

BERBLA:

Bo jo mu przed ołtarzym przysięgła i tera to jo do niego dziynnie rzykom i prosza Go o roztomańte łaski do ludzi...

FATER:

Kule, dziółcha, rzykej se kaj chcesz i do kogo chcesz... Po ślubie!

BERBLA:

Jo niy póda za żodnego karlusa!

FATER:

Pódziesz! A żeby ci sie lepi ło tym myślało, to cie koża zamknąć na chwila w wieży. Posiedzisz, pomyślisz, zmadrzejesz. Wyleziesz, jak rozumu nabieresz.

BERBLA:

Moga is do wieży. Jo mom przy sia wszystko, co poczebują. Ponboczka w sercu czimiam i łon mi styknie...

FATER:

Łobejrzymy, co bydzie, jak tam posiedzisz o suchym pysku. Brać mi jom sprzed łoczow i zawrzijcie jom we wieży.

AKT II

BERBLA:

Ponboczku mój jedyny, jo cie prosza, nadej tymu moimu fatrowi rozumu. Łon tego niy umi spokapić, że jo Ciebie pszaja i żech se Ciebie wybrała. Jo yno Ciebie chca i ty mi stykniesz. Prosza, Ponboczku, prosza, wysuchej mie...

FATER:

Berbla! Berbla!

BERBLA:

Ja, fater?

FATER:

Głodność? Czeci dziyń tam siedzisz, zjadłabyś co?

BERBLA:

Ja, łojciec, choby i kraiczek chleba i ło woda prosza... Fest mie suszy.

FATER:

Niyh i tam fto do wody... Ale yno poł szolki... A pojeś dostaniesz, jak mi powiysz, czy pódziesz za karlusa.

BERBLA:

Niy, łojciec. Niy póda. Padałach wom, że jo już mom swoigo ślubnego.

FATER:

Ja, umartego, kerego żodyn niy widzioł... Berbla, jo sie dowiadywoł o tym twoim Jezusie, co to łaził i niby nauczoł. Powiem ci tela: Cysorz je fest niyrod,

żeby te historyje ło nim ło powiadać. Padoł, że koždy, fto ło tym bydzie papłoł, położy łeb na gnotek... Lepi do cia, jakbyś sie ugnyła i karlusa wziyna. Bajtle bydziesz miała, gupoty ci z łeby wyluftują.

BERBLA:

Niy, łojciec... Jo wom padała, że jo już mu łobiecała.

FATER:

Pierona kandego! Wiedziołech, że mom cie do ty Nikodemii niy puszczać, ale matka sie uparła i tera mosz! Zawsze źech godoł, że niy cza żodnymu suchać babskiego kwynkanio. Suchej, cera, jo niy chca do ciebie źle. Synek zabrany. Bitny. Z wyglądu tyż ujdzie. Niy ch przyjedzie, poznosz go, pogodocie, można na jaki szpacyr pudziecie i wtedy sie łoboczy co...

BERBLA:

Niy! Jo już wybrała.

FATER:

Jerona, babo, zmuszosh mie, żebych zrobił coś, czego niy chca. Jak mi sie tera niy zgodzisz, to szmary dostaniesz. Batym koża po rzici naczaskać!

BERBLA:

Jo już wom pedziała, coch wybrała, a wy róbcie, co chcecie.

FATER:

Eli tak, to: strażę, jak piźnie sześ na wieczór, to jom stąd wyciągniecie i przy wszystkich ji wyszczylocie. Dwadziścia razy po goły rzici. Tu, na placu, przy wszystkich. Niy ch gańba bydzie jeszcze wiynkszo!

BERBLA:

Ponboczku, prosza Cie o zmiłowanie. Prosza, wysuchej prośby twoi cery, jo sie boja. Prosza Cie, dej mi siła, żebych poradziła to szczimać, abo zrób coś, co je yno w Twoi mocy.

Naroz sie fest jasno zrobiło w celi i Berbla uwidziła Janioła, kery ji padoł:

JANIOŁ:

Niy bój sie, Berbla, niy strachej sie, twój łojciec łobiecoł ci szmary, ale skuli tego, że tak Ponboczkwowi zawierzyłaś, łon mie sam posłoł i mom ci łod niego padać, że ty niy bydziesz czuła dzisioj żodnego bólu... Jak cie bydom prac, to tak, choby cie yno piyrzym szmyrali. Ponboczek ci pszaje, a ty ufej mu dali...

FATER:

Berbla, sześ piźło, wylazuj!

AKT III

FATER:

Berbla, doś tego. Gańby żeś mi wczoraj narobiła, jak żeś sie zaczęła chichrać, jak cie prali. Tera jedne ludziska padają, coś je czarownicom, a inksi wołają, że sie z tobą niy poradza dać rady. Jo już ci tego niy moga przepuścić! Abo mi przyznosz recht, abo inakszy bydymy godać!

BERBLA:

Łojciec, jo życie swoje łoddała Ponboczkowi. Jo mu pszaja i wiym, że łon tyż mie pszaje. Róbcie, jak uważocie, że trza. Jo wiym swoje i sie niy ugna!

FATER:

Jak tak, to łoboczmy, czy cie tyn Ponboczek bydzie chcioł, jak szpetno bydziesz... Straże! Rozkazuja wom łobciąć ji cycki. Żodyn chop cie już niy bydzie chcioł. Bo kery by se wzion płasko baba?

BERBLA:

Ponboczku, zmiłuj sie nady mną...

Po dłuższy chwili:

FATER:

I co, tera bydziesz sy mną lepi godać?

BERBLA:

Ale jo wom, fater, w niczym niy zawiniła... Jo wom ani razu niy odpyskowała. Padom wom yno, jako je moja wola. Jak już, to wyście mie łocyganili i cygaństwym zmusili, cobych nazot przyjechała. Padaliście, że vos choroba morzy i że mie poczebujecie.

FATER:

Boch cie poczebował. Chciolech cie wydać. Karlus zabrany, nic by ci niy brakowało w życiu, ani piniyndzy, ani szatow, ani nic. A tera co? Taki szpetny to cie żodyn niy weźnie.

BERBLA:

Toż tera mi docie spokój? Moga sam łostać i rzykać?

FATER:

Niy! Ludzie sie już sy mnie śmieją, że cery do porządku przykludzić niy umia. Toż tera bydzie tak: abo powiysz przy wszystkich, że żeś fandzoliła i że jo miał recht, i że tera już mie uschniesz, abo położysz gowa na gnotek! Taki mosz wybór.

BERBLA:

Fater, zrozumcie, że jo niy moga tak padać, jo bych sie wtedy zaparła Ponboczka, a tego zrobić niy chca! Niy zrobia tego!

FATER:

Twój wybór, jutro z rana gowa na gnotku położysz. Som ci jom utna, bo ina-czy ludzie bydom godać, że mi cera na łeb wlaźła. Rychtuj sie!

BERBLA:

Ponboczku, zmiłuj sie nady mną. Jo je niygodno, żeby stować przed Tobą, ale prosza, łodpuść mi wszystkie grzychy i przewinienia. Wybocz tyż moimu łojcu. Niych mi sie stanie podug woli Twoi.

*Rano Berbla gowa na gnotek położyła, fater sie zamachnął
i jednym ciynciem gowa ji urznoł, ale zaro tyż pieron go szczelił
i na miejscu trupym położył. Berbla ponoć jeszcze dychała,
aż i keryś do gymby hostio wsadził, dziepiero potym łona wziyna i umarła.*

EPILOG:

JANIOŁ:

Berbla, Berbla, łotworz łoczy! No już, już żeś sam je. Sam ci żodyn już niy ukrziwdzi.

BERBLA:

Ale kaj jo je?

JANIOŁ:

No tu, w niebie, Ponboczek wzion cie do sia. Uwierzyłaś, niy ugiełaś sie, bestoż jeżeś sam tera.

BERBLA:

Ale to jo żyja czy niy żyja?

JANIOŁ:

Tam, na dole, to żeś umarła. Tam cie już ni ma. Tera tukej żyjesz. Tak jak Je-zus na ziymi łobiecywoł, tak to je tukej spełnione. My som fest radzi, żeś sam do nos trefiła... I powiym ci, że Ponboczek już na ciebie czeko. Padoł, że jak już spokapisz, co to sie podziolo, to mosz tam do niego przyjś na wyrch. Jo ci padom, jak cie bydzie maszketami czynstowoł, to bier, a schowej trocha do kapsy do mnie. Takich maszketów jak łon mo to nikaj niy skosztujesz. Nikaj! Nawet na łodpuście u Widery. Suchej, jeszcze ci jedno powiym. Tam na wyr-chu padają, że Ponboczek mo do ciebie specjalno fucha. Bydziesz patronkom bergmonów i hamerników.

BERBLA:

Patronkom? Co to znaczy?

JANIOŁ:

No że terozki to do ciebie bydom rzykać. Tyś, chociaż sie bołaś, toś sie niy ulynkła, to tera ci, co sie w robocie bojom, do ciebie rzykać bydom. Musisz na nich paczeć, a w szczególności dować pozor na bergmonów, grubiorzy, ryli, kopoczy, hajerów i hamerników, no i tyż trocha na tych, co mo ich gwałtowno śmierć spotkać.

BERBLA:

Ale że jo? Jo podołom?

JANIOŁ:

Dziółcha, podołałaś za życie, to i tera dosz rady. A jeszcze ci jedno powiym, i to je tera nojlepsze. Ponboczek chce ci tyż dać Śląsk pod opieką. Kule. Ty nie mosz pojęcia, jak tam je fajnie. Koždy z nos chce tam lotać. My sam mamy tako raja, kedy fto tam leci. Nojlepsze miejsce na cołki Ziymy. W każdym razie jakbyś tam kedy co poczebowała, to weź mie pošli. Bydziesz pamiętać, ja? A tera podź, zakludza cie. Ponboczek je wieczny, ale niy lubi czekać.

Krzysztof Kokot

OSOBY:

POWSTANIEC 1

POWSTANIEC 2

PAWEŁ *powstaniec dowodzący*

ANNA *dziewczyna około 20 lat (wymawiamy Ana)*

PIOTR *lat około 50, działacz i powstaniec*

2 0 1 9

I

*Styczniowa odwilż, spokojna noc, ciemno dookoła.
Nagle światło latarki oświetla zbliżającą się postać. Szamotanina.
W głębi sceny stół, krzesła i otwarta szafa z ubraniami,
żelazne łóżko i stojak na kroplówki.
Aktualnie wszystko przykryte maskującym ciemnym materiałem.
Ekspozyty będą odsłaniane lub zasłaniane na potrzeby bieżącej sceny.*

PAWEŁ:

Mocie go?

POWSTANIEC 1:

Spokojnie, spokojnie, już się niy wywinie.

PAWEŁ:

Dawejcie go tu!

POWSTANIEC 2:

Ale to nie łon...

PAWEŁ:

Co ty fanzolisz!

POWSTANIEC 2:

Trzimom za coś miynkiygo... To jest...

ANNA:

Bier te łapska, zbereźniku, co ty sie myślisz!

PAWEŁ:

Do stu pieronow... To porzondne baby ło trzecij nad ranym po polach łazom? Zaświyćcie ino tukej!

Na scenie półmrok.

POWSTANIEC 1:

To ci dopiyro iberraszong, no, no...

POWSTANIEC 2:

Pewnie z Modrzejowa z targu idziesz i leko pobłondziłaś?

PAWEŁ (*podchodząc do kobiety*):

Coś ty za jedna? Jak sie nazywosz, mosz jakieś papiory?

POWSTANIEC 1:

Co mosz w tyj tasi i w rugzaku?

PAWEŁ:

Co ty, dziolcha, tu robisz? Chyba żeś jest jakoś hekša? Jeszcze roz sie pytom, jak sie nazywosz, skond i kaj idziesz?... Do dioska!

Anna milczy.

PAWEŁ:

Godej coś, a wy łobejrzjicie, co łona tam niesie!

Anna nadal milczy.

PAWEŁ:

Jak niy, to niy. Zrobiemy sond polowy i byda musioł wykonać wyrok... Szko-
da takij frele. Godej!

Paweł sięga po lichey karabin zawieszony na ramieniu.

ANNA:

Synek, ani sie niy wygupiej. Przeca widza, że ni mosz ani jednyj kulki. Mie niy nabieresz.

POWSTANIEC 2 (po przeszukaniu bagażu):

Melduja, że w ruzaku som łachy, a w tasi bindy, plastry, jakeś pile i flaszecki.

PAWEŁ:

Godej, bo jak niy, to idymy na Roździyń na policjo.

ANNA:

Niy godejcie zy mnom jak z dzieckym. Przeca dobrze wiym, że policjo ino by sie ucieszyła, jakby wos łobejrzała. Niy fulejcie mi takich bojek. Nic wos na tych szkolyniach niy nauczyli? Prowadźcie mie do swoich. Musiałach Brynica przynść i jest żech cało mokro. Nic wom wiyncyj pedzieć ni moga. Rozumicie?

POWSTANIEC 1:

No co za frechowne babsko, widzieliście?

PAWEŁ:

Zbiyrejcie się, chopy, idymy. Jo prowadzi... A terozki cisza.

II

Na scenie odsłonięty stół, krzesła i otwarta szafa wypełniona ubraniami.

Reszta bez zmian.

Na scenie Piotr w szlafroku, pod którym spodnie i koszula.

Słychać delikatne umówione pukanie (- - . - -). Do pokoju wchodzi Anna i Paweł.

PAWEŁ:

Łobudzili my wos?

PIOTR:

A kaj tam! Jakoś niy umia łostatnio spać po nocy, ale jak prziszliście na kawa, to dość wczas.

PAWEŁ:

Wachowali my... wiycie kaj, tam przy waserturmie, żeby te gizdy niy narobiły łostudy. A tu zamiast Niymcow wpadła tako polsko przepiorka. Nic niy chce godać, skuli tego my jom tu do wos poprowadziyli bez pola.

PIOTR:

Myśla, że żodyn wos niy widzioł i Grenzschutz za chwila tu niy wlezie.

PAWEŁ:

Dali my pozor. Chopcy na dworze wachujom, czy ftoś sie za nami niy przywlok.

PIOTR (*podchodzi do Anny*):

Zy mnom tyż niy bydziesz godała?

ANNA:

Z wami moga godać, bo wos znom.

PIOTR:

A kaj my sie to poznali, frelko, co? Jak do ciebie godajom?

ANNA:

Nazywom sie Anna... Miyszkom na Dombrowce. A wyście byli niyroz na naszych wystympach i zaglondaliście do dochtora Wilamowskiego.

PIOTR:

Ho, ho... chodzonco skarbnica wiedzy. To jo stawiom woda na tyj. Paulek, łostaniesz?

PAWEŁ:

Niy, niy... Puda, bo tam kamraty som na dworze, a rano musza do roboty. Dziynki wom!

PIOTR:

Idź z Bogym i uważejcie, bo już niydugo bydzie sie widniyło.

Paweł wychodzi. Piotr w stronę Anny:

PIOTR:

Ty sie tu ze szranku wybier jakeś suche łachy, boś cało mokro i trzyniesz sie jak galert, a jo prziloża pod blacha i zaroz naparza lipowego tyju. Kawy sie napijemy kedy indziej.

Opuszczają scenę, idąc każdy w innym kierunku. Po chwili pierwszy wchodzi Piotr z filiżankami w dłoniach i kładzie je na stole. Wychodzi jeszcze raz, przynosząc słoik miodu i pieczywo.

Wkrótce wchodzi Anna ubrana w kolorową sukienkę. Siadają do stołu.

PIOTR:

No, niyźle, niyźle... Bier szolka i napij sie ciepłego. Zjydz cosik.

Anna pije herbatę i łapczywie chwyta za chleb.

ANNA:

Dziynkuja wom. Downoch nic niy jadła. Myślałach, że przeleca roz dwa, jak inkszymi razami, a tu mie capli. Bołach sie Grenzschutzu, a chycili mie swoi.

PIOTR:

Godej jedno po drugim... A może jo cie byda pytoł? A ty łodpowiadej, wtedy jakoś mi sie to lepij ułoży. Skond i kaj żeś to szła?

ANNA:

Jada spod Łodzi, łod mojjj mamy. Cugym, a potym na nogach. Poczekałach, aż sie ściymni i przesłałach Brynica w mojjm stałym miejscu.

PIOTR:

Godosz, że to niy piyrszy roz?

ANNA:

Po powstaniach straszyli nos. Wtedy chop kozoł mi jechać do Polski, do mamy, aby przetrzimać jakoś chwila. I tak zech ranżyrowała, roz tu, roz tam. Roz na paszport, to juzaś – jak niy byłach pewno – przez rzeka.

PIOTR:

No a we ftorym miejscu bez rzeka?

ANNA:

Musza pedzieć?

PIOTR:

Dobra... Kedyś sie dużyj pogodomy. A kaj żeś to szła po nocy?

ANNA:

Miyszkom – jak zech już godała – na Dombrowce. Niymscy godajom Eichenau. Miyszkomy z chopym u szwigermuter.

PIOTR:

A jo myśłoł, że ty chodzisz do grundszule!

ANNA:

Niy błoznucie zy mie. Jo już jest trzeci rok wydano!

PIOTR:

No, godej dalij, dziełcha...

ANNA:

Dali mi znać, że moj Alojz zostoł poturbowany po cimoku, jak szeł z huty. Leży w lazarycie i jest z niym źle. Myśla, że to te niymiecke chachary, co już nom niyroz ubliżali. Musza sie dostać do dochtora Wilimowskiego. Łon mie zno, bo robiyłach w lazarycie, no ale potym musiałach uciekać. Może jakbych tu była, toby do tego niy doszło... Tak mie to tropi.

PIOTR:

Posuchej, ty sie tukej legnij trocha w ciepłym. Jo ida posznupać. Niy wyłaż stond, a jo sie postarom czegoś dowiedzieć. Prziłoż do pieca i nikomu niy łotwiyrej. Zajrza tyż do dochtora. Siedz cicho i czekej. Toż na razie!

Piotr wkłada płaszcz, kapelusz i wychodzi, zamykając drzwi.

III

*Na scenie pusto, bez zmian w scenografii. Otwierają się drzwi. Wchodzi Piotr.
Anna przykryta kocem podnosi się z łóżka.*

PIOTR:

Myśla, że mom dobre wieści. Twój Alojz zostół wypisany z lazarytu i poszed som do dom. Ty tyż leć, pewnie bydzie rod, jak cie łobejrzy.

ANNA:

Dziynki wom. Łachy wyschły, to moga sie brać. Chwała Bogu, że mu sie nic gorszego niy stało. Byda mogła pojechać do Glywic na Sejmik Towarzystwa Polek... Zostałach jeszcze przed końcym łońskiego roku wybrano na delegata.

PIOTR:

Uważej, dziolcha, na siebie, żeby ci sie nic złego niy przitrefiyo... A swojom drogom – kaj cie tyn Alojz znod?

ANNA (*przebiera się za szafą*):

Niy chca wom teraz gowy zawracać pierdołami, ale jak sie juzaś spotkomy, to pogodomy na spokojnie. Wszystko wom wtedy wyklaruja. Na razie „Bog zapłać” i leca.

PIOTR:

Zawsze sie łoglondej, czy ftoś za tobom niy idzie. Mosz piniondze?

ANNA (*wychodząc*):

Mom, nie starejcie sie. Jak przijada z Glywic, to sie pokoża!

To samo pomieszczenie. Przy stole siedzi Piotr. Pukanie do drzwi – wchodzi Paweł.

PAWEŁ:

To jo.

PIOTR:

Siadej i łosprawiej. Prziniesia tyju... *(wstaje od stołu i przynosi dwie filiżanki).*

PAWEŁ:

Poszed żech do moji siostry, ftoro sie chajtnyła za takigo Jorga z Dombrowki, bo jo miyszkom jeszcze z łojcami na Laurahütte. Zaczon żech Hyjdla delikatnie pytać, czy zno tako Anna.

PIOTR:

No i co?

PAWEŁ *(chodząc po izbie):*

Dombrowka jest mało i tam sie nic niy skryje przed ludźmi. Zaroz mi pedziała, że Alojz – tyn chop łod Anny – robi kaś na blajowie i mo trocha ponad trzidziesiątka. W 1918 łožynił sie z takom modom dziołchom, ale niy łod nos, ino kaś z Polski. Ponoć matka mu jom prziwiozła, bo łon to jakiś ciućmok i na zolyty niy chodził. Ta dziołcha miyszkała u nich niycałe poł roku i wziyni z Alojzym cichy ślub. Aha... Alojz ni mo łojca, zabiyło go na Wilhelminie w hucie, akurat wtedy, jak miał iść do komonije. Po śmierci łojca bardzo sie zmiynił, jakoś zmarkotnioł, łaził som po polach, niy bawił sie z inkszymi synkami. Tak mu łostało. Terozki robi – jak żech wom godoł – w tyj hucie ołowiu na Burowcu.

PIOTR:

No a skuli czego go napadli? Niy wiysz?

PAWEŁ:

Łon nikaj niy chodzi. Z roboty do dom i rano juzaś do roboty. Nikaj go niy widać... Nawet w kościele stoi kaś za filorkym. Ale ta jego Anna to niy usiedzi w doma. Zaroz zapisała sie do Sokoła, potym do chóru Wanda i ino kaś loto. Noleży tyż do Towarzystwa Polek w Dombrowce. Niyftorzi godajom, że ciongło jom tyż ku powstańcom.

PIOTR:

Łona działo, a jego napadli i sprali?

PAWEŁ:

Hyjdla jeszcze godała, że na poczontku to Anny niy bardzo ciyrpieli. Tyla dziółchow naszych wkoło, a Alojzowi sie zachciało gorolki. Ponoć – już po weselu – kryncili sie koło nij chopcy z zespołu i z chóru...

PIOTR:

To może łoni nakopali do dupy Alojzowi, a nie niymieckie gizdy?

PAWEŁ:

Tyż możliwe, bo Alojz tako ciamajda, a z nij gryfno babka.

PIOTR:

Widza, żeś niy ślepy... Ino zważej, żeby ciebie niy nakopali! Dość szpasow! Powiedz no, co tam z plebiscytym. Dyc to już niydugo!

PAWEŁ:

To jo sie wos chcioł spytać... Mie to wyglondo niywesoło. Boja sie, że przegromy, a Nymce sie potym zabierom za tych, co głosowali inaczyj, tak jak wcześnij robili to już z powstańcami. Na Baidonie powyciepowali wtedy z roboty chopow, co ino byli podejrzeni, że trzymajom sztyma z Polokami. Na Nikiszu na grubie Giesche tyż było tak samo. Reszta wystraszone siedzi cicho. Koždy chce mieć robota. Coś licha to widza... No, leca do dom. Uważejcie na siebie.

PIOTR:

Jakbyś coś ważnego wiedziół...

PAWEŁ:

Ja, ja, pewnikym dom znać. Z Bogym!

V

Scenografia jak w scenie I. Ciemno. Trzy osoby siedzą w kucki lub na skrzynkach (kamieniach).

POWSTANIEC 1 (*szeptem*):

Ftoś idzie...

PAWEŁ (*szeptem*):

Chyba Piotr, przecyż na niego czekomy...

POWSTANIEC 2:

A jo myśla, że to Nashorn. Tak ino może łązić nosorożec. Hi, hi...

PAWEŁ:

Tu my som, przisiwiyca leko taszynlampom.

PIOTR:

Widza, zgoście, bo jeszcze ftoś...

PAWEŁ:

Godejcie, co słychać.

POWSTANIEC 1:

To wy sie pogodejcie, a my pudymy sie połązić.

POWSTANIEC 2 (*do Powstańca 1*):

Mosz jakeś cygarety?

POWSTANIEC 1:

Tyś chyba łogup! Wiysz, że Indianery to na prerii iskerka z kilometra widzieli?

Odchodzą.

PIOTR:

U nos, w Katowicach, to my chyba wygrali. Beleby ino niy pocyganili przy rachowaniu. Jak jest kaj indzij, ciynżko pedzieć. Niyemiecke cajtongi piszom, że wszyndzie wygrali. Nasi z hotelu Lomnitz tyż nic pewnego niy wiedzom, Opole jeszcze tyż cicho siedzi.

PAWEŁ:

Godom wom, mie sie niy widzi tyn cołki plebiscyt. Niy trza przeca welować, bo każdy gupi wiy, kaj jest wiyncyj Polokow, a kaj Niymcow. Im bardzij ku nom, to wiyncyj naszych, ale im dalij na west, to już bydzie mniej głosow za Polskom. Skond tamci majom znać Polska? A jak znajom, to z niy nojlepszyj strony bez niymiecko propaganda. Myślicie, że bydom za Polskom? Jo niy wierza!

PIOTR:

Nojgorszy tyn środek. Bo może być tak, że jedna gmina bydzie za Niymcym, a drugo za Polskom. Bajzlu sie narobi... A poza tym łoni som bogatsi, umiom przekonać do głosowanio niy ino bez ulotki, kalyndorze, ale bardzij konkretnie.

PAWEŁ:

Aaa... bo mi sie terozki spomniało. Pamiyntocie ta Anna? Spotkołech jom jakeś trzi tydzie tymu, jak roznosiła ulotki na Nikiszu. Ino mi mrugła i poleciała.

PIOTR:

To pewnie jeszcze niy wiysz, że tydziyń tymu jeji chop... tyn Alojz... umar.

PAWEŁ:

Niy godejcie... I co teraz śniom bydzie?

PIOTR:

Pewnie łostanie u szwigermuter... A jake mo wyjście?

PAWEŁ:

Tak godocie? Jo niy jest tego taki pewny.

PIOTR:

Wołej kamratow. Idymy do dom. Na szczyńście jest spokoj. Pamiyntej, dej pozor na zignal... to może być nawet jutro!

PAWEŁ (*szeptem*):

Chopy, bierymy się...

Wszyscy czterej schodzą ze sceny.

VI

Powstańczy szpital. Odslonięte białe metalowe łóżko i stojak z wiszącą kroplówką.

Na scenę wchodzi, rozglądając się, Piotr.

*Za chwilę wchodzi Anna w fartuchu i czepku z czerwonym krzyżem,
jako pielęgniarzka.*

ANNA:

Panie Piotrze, panie Piotrze, kogo szukacie?

PIOTR:

A, to ty Anna. Niy, nikogo niy szukom, ino chca łobejrzyć, jak sie majom ci spod Annabergu. Ponoć sporo tych niyborokow przywiżyli.

ANNA:

Już my to jakoś łogarnyli, ale doprowdy było ciyżńko. Na szczyńście żodyn nom niy umar.

PIOTR:

Poza twojym Alojzym...

ANNA:

Już wycie? Jutro mom wolne, zaniesa mu kwiotki i poślimtom. Tak tyn czas leci!

PIOTR:

To może i do mnie wleziesz na ta kawa, co my jom wtedy niy wypiyli? Może i Paweł wpadnie?

ANNA:

Czymu niy. Dużo mi pomog. Nawet tu do Zweiga przised... No, ale musza lecieć!

PIOTR:

Toż do jutra! Zańda jeszcze na kwila do dochtora... Trzimej się, dziołcha!

VII

*Mieszkanie Piotra. Odkryte trzy krzesła, stół i zamknięta szafa.
Na stole dzbanek i filiżanki. Przy stole siedzą Piotr i Paweł.*

PIOTR:

Tak wyglondo, że szczyłanina sie pomału kończy. I chwała Bogu! Dość już tego niyszczynńsio.

PAWEŁ:

Terozki niych działajom ci łod polityki, ino niych niy zaprzepaszczom tego, co my wyrzuchtowali...

PIOTR:

Byłech wczora w lazarycie. No co to jest w tyj sali u restauratora Zweiga na Bytomskij. Wiysz, kogo żech spotkoł?

PAWEŁ:

Widzieliście sie z Annom?

PIOTR (*kiwa twierdząco głową*):

Jakby mie niy zawołała, tobych jom niy poznoł. Roz, że w tym biołym fortuchu... A poza tym zlichła. Godała, żeś tam do nij zaglondoł.

PAWEŁ:

Łod piyrszego momyntu ta dziołcha łazi mi po gowie. Ciyngym jakes niyszczynńsio sie jom trzimiom. Wiycie, jakby niy była...

PIOTR:

Tobyś jom z tych niyszczynńsio wyzwolił... Niyprawda?

PAWEŁ:

Posuchejcie, czy wiycie, że ta její teściowo to jom z domu wyciepla?

PIOTR:

Niy godej, jak to?

PAWEŁ:

Jakeś dwa tydzie po pogrzebie pedziała Annie, że właściwie to łona już niy jest żodno rodzina. I że szkoda, aby tako modo baba miała cołke życie siedzieć na Dombrowce i nojlepiej, jakby pojechała nazod do dom, tam, skond prziszła. Prziryctowała ji pusty kofer...

Wchodzi Anna.

ANNA:

Dobry dziyń... Kogo jo tu widza? Pewnie żeście sie smowiyli? Godajom, że powstanie pomału sie kończy. Wiyecie coś?

PIOTR:

Siadej, z mlykym, cukrym?

ANNA:

Jak mocie, to i z tym, i z tym.

PIOTR (*nalewa kawę i siada*):

Może to i w tym trocha prowdy jest. Sama widzisz, że w lazarycie rannych niy przibywo.

ANNA:

Ja, mocie recht. Poru już poszło do dom, a ci cinyżyj ranni som wywożyni do Mysłowic, do prawdziwego szpitala.

PIOTR:

No, a jak sie powstanie skończy i bydzie spokoj, to co z tobom? Słyszolech...

ANNA (*spuszcza głowę, po chwili kontynuuje*):

Nic tu po mie. Wszystkie moje role w tym ślonskim tyjatrze sie skończyły... Miało być fajnie, a zagrałach w tragedii. Wszycy sie radujom, a jo? Może sie widzimy już łostatni roz, bez to wom powiyom... Wcale niy chciałach tu jechać, ani niy myślałach ło chopie. Szwigermuter... moja prziszło teściowo zjawiła sie u zokonnicy, kaj mie matka dali do takij szkoły dło dziełchow. Uczyli nos tam roboty w łogrodku, warzynio, jak sie łobchodzić z bajtlami i inkszych – według nich –pożytecznych i bardzo potrzebnych modyj dziełsze rzeczy.

Potym przijechała juzaś. Wtedy przełożono zaprosiła mie do swojego biora. Pomału wyszło, że pani ze Ślonska mo syna, do ftorego szuko baby. Jo sie ji

bardzo spodobała – tak godała przełożonyj – i chciała, abych sie zastanowiyła i czy bych niy przijechała do nich do Eichenau.

Byda mogła go ftedy poznać. Siostry mie namowiały, bo wiedziały, że w klosztorze to zy mie niy bydom miały pociechy. Do dom tyż niy było po co jechać. Pogodałach jeszcze z mamom i zdecydowałach sie na wyjazd. Jak ino skończyłach oziymnoście lot, zaroz zjawiła sie teściowo. Przijechały my tukej, poznałach Alojza... Trocha inaczyj sie go wyobrażałach, ale był spokojny i ułożony. Aż piytnoście lot starszy... Miyszkałach przy nich w takij ajncli. Jak teściowo wyjyżdżała, to warzyłach Alojzowi i sprzontałach. Strasznie był niymśmiały, ale to był dobry synek. Trzi lata tymu wziyni my ślub.

PAWEŁ:

A teraz co? Już cie szwigermutter niy potrzebuje, już żeś niy jest rodzina?

ANNA (*cicho*):

Pedziała mi, że to przezy mie i moje kamracynie z powstańcami Alojza zabili... I ni może mi tego wyboczyć.

PIOTR:

Starom sie zrozumieć bol matki, ale żeby tak pedzieć... i wyciepnońć, jak psa?

ANNA:

Spotkałach dobro koleżanka z POW (pe-o-wu). Wiedziała, że Alojza pobiyli, ale nic mi wcześnij niy godała. Dopiyro teraz niydowno... Za rynka nikogo niy chyciła, ale może to być prawda, że Alojza niy pobiyły niymieckie chachary.

PAWEŁ:

No to fto? Ino łoni som do tego zdolni!

ANNA:

A niby czymu teściowo jeżdżiła po klosztorach i farorzach? Robiyła ponoć geszefty, we ftorych niyświadomie broł udział Alojz.

PIOTR:

Teroz to i jo nic niy kapuja.

ANNA:

Łona handlowała rożańcami, śrybnymi myndalikami i krzyżkami...

PAWEŁ:

No i co z tego?

ANNA:

Alojz robiył w hucie. Tam przy cynku i ołowiu jest w rudzie trocha śrybła. Jakoś tajła tego śrybła była wynoszono...

PIOTR:

Na szaber?

ANNA:

No ja! I chyba poszło ło piniondze...

PAWEŁ:

I bez to sprali Alojza... A łona godo, że bez twoja działalność...

ANNA:

Nie pedziałach ji tego, niy chca... Alojz jako taki ślimok – co to muchy niy skrziwdzi – był poza wszelakom kontrolom. Myśla, że som niy wiedzioł, kaj mu to podciepowali... Ale matka wiedziała.

PIOTR:

Richtig ciekawe, co to sie na tym świecie wyrobio!

ANNA:

Paweł, dziynkuja ci za wszystko. Wiycie, Piotrze, że jo u nich w doma bywała w Siymianowicach, jak żech ni miała kaj spać? Paweł wtedy siedzioł na Dombrowce u siostry. Potym znodłach izba przy lazarycie. Miałach spokoj, ciepło i jedzynie. Żyłach robotom. Oj, alech sie nagodała. Terozki wiycie wszystko, a jo jak to sie skończy, jada do Krakowa, do koleżanki, ftoro fest nom pomogła. Może niy trza bydzie bez Brynica pod Milowicami, ino tak ajnfach z Polski do Polski.

PAWEŁ:

Łostow jakiś adres. Może kedyś przijada po ciebie...

ANNA:

Na białym koniu... ha, ha...

Anna zbiera się do wyjścia.

PAWEŁ:

Toż trzimej sie, dziółcha. Dej znać, jako ci sie tam wiedzie. Byda ci mog choć kofer na banhof poniyść?

ANNA (*do Pawła*):

Jo jest baba fest i dom sie rady, ale zawsze to fajnie, jak cie ftoś łodprowadzo i żegno. Dom ci znać. Do widzynie!

PAWEŁ:

Jo jeszcze przirychtowoł... jo chcioł ci dać koperta z brifmarkom. Weź, toż to blank leke. Jakbyś tak... Na grubie żonatym dowajom fajne miyszkania...

ANNA (*odbierając kopertę*):

To jest leke, ale tyś mi pieronowo namotł w gowie.

PAWEŁ:

Naskryflej, a jo zaraz po ciebie przijada.

PIOTR:

Na tym białym koniu? Ha, ha, ha...

ANNA (*frywolnie*):

A niy tak downo chcioł do mie szczyłać. Coż to za dziwne ludzie te Ślonzoki!

*Żegna się z Piotrem, całując go w policzek, i Pawłem, dłużej trzymając jego dłoń.
Wychodzi. Panowie również schodzą ze sceny.*

ZE COŁKIGO ŚLŌNSKA

Mateusz Czyba

PERZŌNY:

MAGDA *wele 25 lot*

ARTUR *wele 30 lot*

MARCIK *wele 40 lot*

PAWOŁ *wele 35 lot*

ILONA *wele 50 lot*

ACHIM *wele 50 lot*

Bina podzielono umownie na trzy tajle.

Po prawyj i na poszrodku biny kawiarniane stoliki:

po prawyj wiynkszy i ze trzema stolkami, a poszrodku myńszy, ze dwoma.

Stolik z lewyj tyż ze trzema stolkami, ino bardziej jak ze szynku niź ze kafyju.

Nad każdym stolikiym lampa.

SCYNA I

W tym samym momyncie włożom na bina Magda i Artur.

Ōna z prawyj, ōn z lewyj. Ōna trzimie w rynkach tolyrzik ze zistom i kafyj,

ōn szola piwa. Siadajom przy stolikach na szrodkowych stolkach:

ōna przy stoliku prawym, ōn przy lewym.

Zapolajōm sie lampy nad tymi stolikami.

UWAGA! Jak jedne godo swoja kwestja, to te drugie je zajynte myślyniym,

konsumpcjom, abo nawet kurzyniym cygaryty na sztrom.

ARTUR (*mo utropa*):

Jeronów tysiōnce, jo wiedzioł, że coś zmaszcza!... Na zicher... A tako bōła fajno, niy za wyzgerno tako, szczuplutko, ale niy za fest. Tako w som roz. Trefiłech jom we cugu. To bōło we piyrszego października. Jechołech ōd kamrata ze Miasteczka Ślōnskigo do dōm we Bytōmiu. We cugu bōło pouno grzibiorzōw. Hica jak pierōn, bo maszynista włōnczōł ōgrzywanie, bo jesiyń,

niy? Mus to mus. Nale jak te podgrzibki zaczy jechać...! A te prawoki bōło czuć na cołki cug! Ale to je nic, bo tym grzibiorzom z gumioków tak walōło, że jo bych sie prawie porziogł. Niy ciyrpia, niy ciyrpia grzibōw...!

MAGDA (*tyż mo utropa*):

Bōłach u ôjców we Rōjcy, bo matka miała gyburstag. Trocha zech posiedziała, a potyn... potyn my sie powadziyli. Wiadomo ô co... bo sie chopa niy poradza znolyż, bo wybrzidzom... Durch to samo. Juzech niy umiała tego suchać i wylażlach. Co byda tego suchać? Ino jedne i te same... Cug sie trocha spōźniōł, bo bōło mocka grzibiorzōw i ani niy bōło sie kaj siednōńc. Stoja. Pacza przed sia. Pacza za sia. I widza, co mi sie jedyn prziglōndo. Na ôko mo tela lot wiela jo. Myśla: taki mōdy grzibiorz? Coś mi niy grało. Dyc to inō stare chopy łażōm po lesie, mōdych to niy interesuje... Jo downi zech łażyła. Za dziołszki. Ze ôjcy my jeździyli na Kalyty... na Rusinōwice... Ech... co jo sie w życiu grzibōw najadła... (*rozmarzono*) Smażonki... zupy... kapusta wilijno ze prawokami... jeee... Nale pacza na tego karlusa, a ôn na zicher żodnych grzibōw niy mo. Jakiś niywydarzōny abo co?...

ARTUR:

Zbiyrom sie i zbiyrom, coby do nij zagodać, bo im zech na nia dużyj paczoł, tym mie sie tak... bardzij widziała. Tako... rozmarzono, zamysłono, a tyż trocha tako... markotno, bo chyba jom coś szterowało. Ino mie to niy zawo-dzało... niy... nawet... nawet mie sie to widziało... o, ja... Nale ewidyntnie cosik ij po gowie łażyło. W końcu zebroł zech sie do kupy i poczōn zech ku nij is...

MAGDA:

Pacza, a ôn ku mie idzie. A potyn myśla, co można ôn idzie do klopa, bo bōł wyglōndōł choby zaloz grinszpajnym... Chyba mu tyn maśłokowo-prawokowy luft w cugu zawo-zo! (*śmnych*) Mōg sie przy ôknie stanōńc, podychać trocha i na zicher by mu przeszło, nale cisnoł ôstro miyndzy tymi koszykami... I to ku mie!... Abo i niy ku mie... Niy wiedziałach, toch pomyślała, że sie cofna. I tak zech zrobiōła...

ARTUR:

Ôna sie cofino. Jo myśla, co ôna myśli, co jo chca is do inkszego... tego... wagonu, abo jak sie to nazywo w takim cugu... Niyważne. Zrobiōła tako wystraszōno afa na gymbie i ôroz cug wysztopowōł...

MAGDA:

Cug stanōł i ōn furgnoł tak, co przeleciōł bez tyn antryj we cugu, abo jak sie to mianuje, niyważne jak, i prawie sie rzyciom siednył jakimuś grzibiorzowi na koszu... (*śmiych*)

ARTUR:

Na ostatni driker chycił żech sie jakijś rułki, bo bych wylōndowoł we grzibach! Jo pacza, a ōna sie lacho...

MAGDA (*śmiych*):

To tak hecnie wyglōndało, żech niy szczimała. Zapytałach sie go, eli mu sie nic niy stało, a ōn, że niy...

ARTUR:

No i tak my zaczli ōsprawiać. Zapytała sie mie, kaj je mōj koszyk ze grzibami, abo przinojmij eli we kapsi nie mom jakiś szatanōw. Ha, ha, ha...

MAGDA:

Pedzioł mi, co ōn niy je żōdyn grzibiorz, ino jedzie ōd kamrata ze Miasteczka Ślōnskigo... I tukej sie zaczło...

ARTUR:

Pedziołech ij, że jada ze Miasteczka i niy przepadam za bardzo za grzibami. A ōna sie mie pyto czymu... No jak czymu? Niy każdy musi lubieć grziby, pra?...

MAGDA:

Jo mu pedziała, co u mie ōd pokolyń sie jeździōło na grziby, jy sie grziby i jo niy znom nikogo, fto by ich niy ciyrpioł...

ARTUR:

Mie już autyntyycznie zaczęła łeba boleć ōd tych grzibów, a ta jeszcze ō nich faflo i faflo. Już żech sie zaczōn cieszyć, że niydugo bydzie Bytōm, nale tyn cug durch stoł...!

MAGDA (*smutno*):

To jo go zesztrowała tymi grzibami. Po jakigo... po jakigo... grziba żech zaczęła ō nich godać?... To jeszcze nic, bo tyn pieroński cug stoł i stoł, a jo sie go jeszcze spytała, czymu ōn karom niy jedzie. Myślałach, co je mo we warsztacie...

ARTUR:

Potyn sie zaczęła godka ō autach. Myślała, że skoro jada cugiym, to mom auto we naprawie. Logiczne, niy?... Kiyj żech je chopym, to musza mieć

auto, niy?... I wtynczos żech ij pedzioł, że ja, że mom kara... we tym samym warsztacie, w kerym je jeji kara!...

MAGDA (*znerwowano*):

Jo sie cołkiym spokojnie zapytała, a ôn na mie z pyskiym. Normalnie gizd diosecki!...

ARTUR:

Pedziała tak: „jo jeżdża cugiym, bo żech je e-ko-lo-giczno”. A co, jo niy moga być ekologiczny? Jo musza mieć kara, pra?! Nojlepij beema abo merca, żodne inksze. Nastympno, co to uwažo, że chop musi mieć chałpa, kara i spłacone kredyty...

MAGDA:

No ja... terozki sie forszteluja, co miol racjo. Świat sie zmiynio. Kobyta niy może myśleć, co jak je chop, to musi mieć kara. Dyc może jeździć na kole, na rolerze, bankôm... Może mieć dugo broda i niy zakładać fuzekli do szczewikôw... wszystko może... A jo wyskoczyłach choby jako afa...

ARTUR:

Cug ruszôł, toch sie ij zapytoł, czy czynsto nim jeździ. A ôna, że niy, że bôła ino u matki we Radziônkowie na gyburstagu. Toch ij pedzioł, że cołkie życie miyszkom we Bytômiu, ale we tyj dziylnicy jeszczech niy był...

MAGDA:

Zapytoł mie, skõnd jada. To mu pedziałach, że ze Radziônkowa. Na to ôn dupnôł takigo fleka, co jo ô mało sama jakimuś grzibiorzowi sie na koszyk siadła... Ôn myślał, co Radziônków to je dalij dziylnica Bytômia!... Kaj sie taki uchowoł?! Dyc to już tela lot je samodzielno gmina we powiecie tarnogórskim, a tyn mi tu takie gupoty epi!...

ARTUR (*znerwowany*):

Jak ta na mie wyskoczôła! Ôd niyuków mie sprzezywała! Na koniec mi pedziała, że co niy môm w łebie, to môm w nogach i można żech tyż je ekologiczny, ale ze przimusu...

MAGDA:

Cug stanôł we Bytômiu, a ôn wyskoczôł jak ôparzony. Jak mie ulzôło. Musiałach być już cołkiym czerwônô po gymbie z tych nerwów...

ARTUR:

Na szczynście cug sie zatrziomoł we Bytômiu i mōgzech wylyż. Aż mie sie ryncce trzynsły. Dalij bych tyj godki niy zniôs, a takij jazdy żech jeszcz w życiu niy miol.

SCYNA II

Z lewyj strony włazi Pawoł.

PAWOŁ:

Arturo, a ty co sam tak samymu siedzisz? Cześ!

ARTUR (*stowo niymrawo*):

Cześ, Pawoł. Siadej, jak żeś już przilōz. (*witajōm sie*)

PAWOŁ:

Fajnieś mie powitoł, niy ma co.

ARTUR:

A bo mom pierońsko utropa, wiysz?

PAWOŁ:

Cołki ty. Wiecznie ci coś po łebie łazi. (*zrywo sie*) Kule, dyc jo ô suchym pysku z tobōm godać niy byda. Zaroz przida. (*wyłazi*)

SCYNA III

Z prawyج włażōm Marcik i Ilona ze kieliszkami i flachōm wina.

Artur popijo biyr, wyciongo gracoka, ôglondo, ôdkłodo...

MARCIK:

Madzia, sam żeś je! (*do Ilony*): Nasza Madzia sie nowo frizura dała złonaczyć!

ILONA:

Bez toch ij niy poznała.

MAGDA:

Dzisiej bōłach u golaca. Siadejcie. Widza, co niy lubicie czekać na kelnera.

Marcik i Ilona siadajōm.

ILONA:

Jo wybiryōm wina wedug flaszek. Jak już mi sie kero spodōbo, to wiym, że driny je mocka dobrego i bez to musza pokozac palcym, kero chcą. (*śmiych*)

MAGDA:

No ja. Jak bych cie niy znała.

MARCIK:

To niy ma takie gupie. Jo, jak kupuja parfiny, to pacza, jaki fajny je flakonik.
A jak flakonik je fajny, to musowo fajnie wõnio.

MAGDA:

I nigdy niy próbujesz?

MARCIK:

A po co?

ILONA:

Kobiytki, pijjmy!

Ilona biere flacha wina i nalywo do kieliszkõw.

MARCIK (*podnosi kieliszek*):

Nasze zdrowie, kobiytki!

Klupiõm sie kieliszkami i pijõm.

ILONA:

A jo wom coõ musza pedziec...

*Õd tego momyntu do scyny piontyj trwo luõno,
cicho godka miyndzy kobiytami.*

SCYNA IV

*Wlazi Pawoõ z dwõma szolami biyru.
Jedna stawio przed Arturym i siado.*

PAWOõ:

I co tam? Godej.

ARTUR:

A co ci mom godac?

PAWOõ:

Dyc widza, ze ciebie coõ na wõntrobie leõy.

ARTUR:

Dobra, to powiydz mi, co ty wiysz õ Radziõnkowie?

PAWOŁ:

To żeś wyszczelił, niy powiym, ale dobra... Radziõnkõw...

ARTUR:

Bõłżeś tam?

PAWOŁ:

Ja, bõlech przejazdym. Jak żech prawko robiõł, toch jeździõł po Radziõnkõwie z egzaminatorym.

ARTUR:

Ale co ty õ nim wiysz?

PAWOŁ:

Co wiym... Nic niy wiym! Niby to jeszcze Bytõm, ale tak po prowadzie to mie tam jeszcze niy widzieli. Chyba że w tyj „elce”.

ARTUR:

O...! Pedzioleś, że Bytõm, a psinco prowad!

PAWOŁ:

Ja? To mie õświyc.

ARTUR:

To je samodzielno gmina miejsko. I to juź õd piyrszego stycznia tysiõnc dziywyńcset dziywyndziesiõntego õsmego roku. Na dobitka we powiecie tornogõrskim.

PAWOŁ:

Ło ciup!... To kupa czasu juź. Piyknie ci dziynkuja, żeś mie to pedzioł. Jak juź to wiym, to możno sztartna do jakigoś tyleturnieja, co? Szlukna na ta õkazyjo... (*chce sie napić biyru*)

ARTUR (*powszczimuje go*):

Niy! To niy ma dobro õkazyjo...

PAWOŁ (*po namyśle*):

Coś czuja, co ty mie mosz cosik wiyncyj do õpedzynio, ale zmuszac cie niy byda. No dyć! Pokazywolech ci, jakie mõj bajtel mo juź zõmbki?

*Wyciõngo gracok i pokazuje Arturowi.
Cicho õsprowka miyndzy niymi trwo do scyny szõstyj.*

SCYNA V

MARCIK:

Madzia, wiysz... tak pacza na ta twoja nowo frizura i myślą, a nawet wiym,
że tyś sie jōm lajstła na pocieszynie.

MAGDA:

Marcik, ty mie znosz na wylot.

ILONA:

To godej. My musimy wszystko wiedzieć.

MAGDA:

Spotkałach takigo jednego...

MARCIK (*robi znak krzyża*):

Ponboczku, nareszcie!

ILONA (*biere kieliszek*):

Pijymy!

MAGDA:

Niy!

MARCIK I ILONA:

Niy?!

MAGDA (*niysmiało*):

Już my sie zdōnżyli pohatrusić.

MARCIK:

Gibkoś, niy powiym. Wiela żeście sie znali?

ILONA:

Tydziyń, szczylōm, że tydzień.

MAGDA (*cicho*):

Pora minut...

ILONA:

Ijeee!

MAGDA:

We cugu...

MARCIK:

Ijeee!!! Ale... jak we cugu?

ILONA:

We klouzecie?

MAGDA:

A kaj tam!

MARCIK:

Jo już myślała.

ILONA:

Jo tyż! (*śmijch*)

MAGDA:

Wyście som niy możliwe, jo wom już nic niy powiyom.

ILONA:

I co sie gorszysz?

MARCIK (*na stronie*):

Po dziysyńciu minutach już do sia chopa zraziyła. (*do Ilony*): Abo ôń do nij.

MAGDA:

Ino, że jo miałach ważne powody!

ILONA:

A jakie to mōgły być „ważne powody”?

MAGDA (*Marcik powszczimuje Magda od odpowiedzi*):

Po tak krōtkim czasie niy ma ważnych powodōw. Mie sie z mojim chopym już nazbiyrało tela tych powodōw, aże musiałabych do zadku łązić. A tyż my sie poznali przypadkiym. We aptyce. Boł łobleczony w arbeitancug i prziszoł po flostry...

Marcik godo dalij, ino tego już wyraźnie niy słychać.

SCYNA VI

PAWOŁ:

Jo sam sztyjc faflom i faflom, ale widza, co ty chyba durch o tym Radziōńkowie myślisz i powiyom ci jeszcze, że mom taki gyfil, aże tyn cołki Radziōńków to je sprawa drugorzynndno. Mom recht?

ARTUR (*po dłuższyj pauzie*):

No... mosz.

PAWOŁ (*tyż po pauzie*):

To jak, fajno je z gymby?

ARTUR (*ôżywiony*):

Jeszcze jak! Ale nojgorsze je to, że jo ij już chyba wiyncyj niy trefia, bo to boło we cugu, rozumisz? Pogodalimy trocha i zarozki my sie powadziyli. I to o same dupsy: a to o grziby, a to o kary, a na końcu zech wyłoz na takigo, co

musiał ledwo szula skończyć, bo jak idzie niy wydzieć, co tyn Radziōnkōw to je epne miasto, a niy jakoś tam dziylnica?

PAWOŁ:

Dobra, dobra... Chopie, wciepnij na luz! Widza, żeś sie zakrynciył na amyn.

ARTUR:

No dyc! Normalnie mój typ, dziysiyńc na dziysiyńc. Takij frelki już niy znojda bele kaj. Wszystko miała, co trzeba i wiela trzeba. Jak som byś jom zoboczył, tobyś mi prziznoł racjo.

PAWOŁ:

Możno mosz i recht, ale co z tego? Jak chcesz ij szukać, to kaj jom znojdziesz?

ARTUR *(po pauzie)*:

Wiyim! Ōna mi pedziała, że jedzie ôd matki z gyburstagu.

PAWOŁ:

I co?

ARTUR:

Na bezrok byda tam czekać... Na tyn cug.

PAWOŁ *(śmiych)*:

Jo niy moga, tyś je hecny. Bydziesz na nia cichtować i dosz ij kwiotki na wasza rocznica! *(fest śmiych)*

ARTUR:

A mosz jakiś inkszy pomysł?

PAWOŁ:

Za-pom-nij! Normalnie – za-pom-nij! Zobocz sie choby sam dookoła. *(pokazuje)* Jakbyś ino chcioł, tobyś mog kero zlonaczyć i do chałpy przikludzić.

SCYNA VII

Włazi Achim, oczywiście ze biyrym w rynce.

ACHIM:

Przeboczcie, karlusu, ale trocha zech ta wasza ôsprowka słysoł. Niy godom, żebych chcioł, ale siedza som przy piwie i niy mom co robić, to suchom. *(do Artura)*: Myśla, synek, że wiyim, jak twój problem rozwionzać. Moga sie dosiednonć? Achim. *(wito sie ze Arturym i Pawłym)*

PAWOŁ:

To je Artur, a jo Pawoł. Niych pan...

ACHIM:

Ino Achim.

PAWOŁ:

Dobra, Achim, siadej i godej, bo jakżeś już słyszoł, ze Arturym je pierōnym źle.

ACHIM (*siado i do Artura*):

Zapytom ôd razu: korzysłożeś kiedy można ze aplikacyji zolytnyj?

PAWOŁ (*śmiych*):

Oj, Achim, przowalōłeś z rubyj ruły! Artur i aplikacje zolytne... (*śmiych fest*)

ARTUR:

Zaroz, zaroz! (*do Pawła*): Za kogo ty mie mosz? Uważosz, co jo sie na gracoku niy znom?

PAWOŁ:

Niy ô to sie rozchodzi, ino jo wiyom, żeś ty je za dupowaty na takie rzeczy.

ARTUR (*znerwowany*):

Dupowaty! Jo ci zarozki udowodnia! (*biere gracoka*) Zoboczysz, Achim mi powiy co i jak i byda mioł dziynnie... Suchosz mie?... Dziynnie jedne zolyty. Abo i dwa razy dziynnie, (*do Achima*): Niy, Achim? To godej, co wiyosz.

PAWOŁ:

Powiydz lepij, wiałaś już tego biyru wypioł.

ARTUR:

Cicho siedź, terazki Achim godo. (*do Achima*): Dowosz.

ACHIM:

I to mie sie, synek, widzi.

*Achim tyż wyciongo gracoka i zaczyno eklerować Arturowi,
o co mu sie rozchodzi, a we tym czasie:*

SCYNA VIII

We tyj scynie chopōw niy słychać wyraźnie, ale pod ij koniec Pawoł wstowo i podłazi do Achima, ażeby lepij widzieć, co Achim pokazuje Arturowi.

MARCIK:

N i tak to bōło.

ILONA:

Piykno historia, Marcik. (*do Magdy*): Widzisz, jak to bywo? To je nōrmalne, jak sie baba ze chopym powadzi, ale, jak to padajom, czasym trza iść na komprōmis, a niy ino na krziwe pyski.

MARCIK:

A juź na zicher niy na samym poczōntku, ażeby do sia chopa niy zrazić...

ILONA:

No ja... Pomyśłoś, żeś je za frechowno i bōł cołkiym szczynśliwy, że juź mōg z tego cuga wyłyż.

MARCIK:

I to je twoja wina. Można ci sie znoloz ksiōnze na biołym koniu, a ty żeś tego konia kopła w rzić!

*Marcik i Ilona wpodajom we śmiych, a Magda wypijo kieliszek do końca.
Ilona ij zaroz dolywo.*

MAGDA (*zrozpaczono*):

To co jo mom robić?! Szukać go? Jak?!

ILONA:

Z nim juź dej sie pokōj, bo go niy znojdiesz. Sam je aglomeracyjo, i to dupno. Kupa naroda i kupa chopa.

MARCIK:

Jeszcze je dlo ciebie nadzieja, ino ty sie musisz ôpamiyntać.

ILONA:

Niy musisz sie zaroz mōndro robić, bo chopy tego niy lubiom.

MARCIK:

Prowda... A chop niy musi zarozki ô cia wszystkiego wiedzieć.

ILONA:

No dyć!

MAGDA I MARCIK:

Co?!

ILONA:

ZOLYTNIK! (*szuko gracoka we taśce*)

MAGDA:

A co to zaś...

ILONA:

Że tyż jo o tym wcześnij niy pomyślała. (*wyciōngo gracoka ze taški*) To je tako aplikacyjjo, dziynki keryj możesz jakigoś chopka znolyż.

MARCIK:

Padosz? Pokoż ino.

MAGDA:

Dyc ty mosz chopa.

ILONA:

I co z tego? Dziołcha, ty sie jeszcze musisz duzo nauczyć. (*klupie po gracoku i pokazuje go Magdzie*) Zobocz, to je mój profil: zdjynkie, jak sie mianuja...

MAGDA (*czyto*):

LONKA_40... Czymu czterdziści?

ILONA (*urazono*):

A na wiela jo ci wyglondom?!

MAGDA:

No dobra, godej, co dalij?

*Ilona ekleruje Magdzie, jak wcześnij Achim Arturowi,
zresztom te godki terozki sie zazymbiajom, co wyglondo tak:*

SCYNA IX

ACHIM (*sztyc do Artura*):

A zobocz sie, synek, wiela ich je...

ILONA:

Nojlepsze je to, co styknie, jak ino podosz we tyj aplikacyji, kaj żeś je i ôna ci znojdzie szaca blank niydaleko. Przikładowo terazki: siedzimy sie na kafyju we Batorym i... (*pokazuje; Marcik tyż przilazi i ôglondo*) zobocz... znojdzie chopōw ze Chorzowa... Jak ci sie kery uwidzi, to w niego klupiesz i czekosz, aż on w ciebie klupnie i potyn możecie sie ugodać na zolyty, rozumisz? (*ôglondajom dali*) O, tyn niy wyglondo tak źle...

PAWOŁ:

Jeronie, ale ta mo dugie szłapy...

MARCIK:

A zoboczcie tego...

ACHIM:

A ta, jakie mo gryfnie kudły blajchnione...

ILONA:

A paczcie, jakie tyn mo muskle. I miyszko niydaleko!...

PAWOŁ:

Ciup te same lachy... Ta moja tyż sie jeszcze trzimie, ale...

MARCIK:

Nic, ino brać. Jak sie tak ich porōwnom ze tym mojim...

ACHIM:

Ach, stykłoby te dziysiyń lot mynij...

ILONA:

A tego bych normalnie zeżarła...

PAWOŁ:

A ta, jakie mo fajne... oczy...

MARCIK:

Tego bych ze pryka niy wpuściyła... (*śmijch*)

MAGDA I PAWOŁ (*wkurzone wstawajom*):

Doś tego!

ACHIM:

Ale dyc my ino zdzyńcia ôglondomy, nic sie niy dzieje...

MARCIK:

Ale z ciebie cnotka... (*wraco na miejsce*)

PAWOŁ (*wraca na miejsce*):

Cołki Artur! Nic do niego niy przegodo!

ILONA:

We tyj sytuacji widza ino jedne rozwiõnzanie: klosztor!

ACHIM:

Widza, karlusie, że ty sie ino do klosztoru nadowosz.

ARTUR (*siado*):

Co to, to niy!

MAGDA (*zatkano, siado*):

W życiu!

MARCIK:

To my ci już niy pomogymy...

ARTUR (*wyciongo gracoka, nerwowo klupie*):

Do żodnego klosztoru niy põjda. Roz sie żyje.

MAGDA:

Niych wom bydzie, założa te konto. (*wyciongo gracoka i klupie*)

ACHIM:

I tak trzimej. Jak żech ci już pedzioł: nick, zdjńcie, wiela mierzisz, kaj miyszkosz (*Artur zaczyno manipulować przy gracoku*)

ILONA:

Nojpiyrw nick.

MAGDA:

MAGDA_25. Może być?

MARCIK:

Jakie Magda!? Jakie dwajścia piyńć?! Jezderkusie...

ILONA:

Lepij bydzie MADZIULA_18.

MAGDA:

Ale jo niy wyglondom na ôziymności.

ILONA:

A kogo to obchodzi? Zresztom, niy godej gupot, bo wyglondosz richtig na dwajścia.

PAWOŁ:

I coś wymyślił?

ARTUR:

ARTEK_29. Może być?

ACHIM:

Zmийń na dwajscia piyńć.

ARTUR:

Ale...

ACHIM:

Prosza cie...

ARTUR:

No dobra. ARTEK_25. Może być?

ACHIM I PAWOŁ:

Ja.

ILONA:

Terozki zdjyńcie. Zdjyńcie musi być takie, żeby pokazywało to, co mosz nojlepszego.

MAGDA:

Czyli co?

MARCIK (*do Ilony*):

Dziołcha sie niy mo czego wstydzic, a za duzo i tak niy pokoze. (*do Magdy*):
Zrobiymy ci normalne zdjyńcie. Gowa i wiyrch.

Magda sie rychtuje, poprawio friz itp.

W tym czasie:

PAWOŁ:

Zdjyńcie sie musisz som machnōńć. Niy ch frele myslōm, co przinojmnij tela poradzisz zrobic.

ARTUR:

Samo... jebka?

ACHIM:

Ja. Jakby my ci je zrobili, toby wyglōndało, jakby jakoś inkszo frela ci je robiōła.

PAWOŁ:

A tak wyglōndosz na samotnego wilka.

Artur sie rychtuje do zdjyńcia.

MAGDA:

Dobra. Może być?

ILONA:

Jeszcze zrób dzióbek.

MAGDA:

Co to, to niy!

MARCIK:

Musisz! Bydziesz wyglōndała na gupszo niż żeś je.

MAGDA:

I to je niy fajnie, tak?

ILONA:

No dyc! Rób tego dziōba i sie niy wygupiej.

*Ilona biere gracoka od Magdy i sie rychtuje, ażeby zrobić ij zdjyńcie.
Magda robi dzióbek nojlepiej, jak poradzi, a Artur ustawio sie do samojebki.*

MARCIK I PAWOŁ (*ōdliczajōm*):

Trzi... dwa... roz...

Cyk. Zdjyńcia zrobione.

ILONA:

I po krziku. (*ōglondo zdjyńcie*)

ARTUR:

To je piyr szo i ostatnio samojebka, jako zech sie zrobiōł.

PAWOŁ:

Ważne, że sie udała, pokoż. (*ōglondo zdjyńcie w gracoku*) Elegancko! (*dowo go Achimowi*)

MAGDA (*do Ilony*):

Dowej, musza zoboczyć (*ōglondo swoje zdjyńcie*)

ACHIM (*ōglondo*):

No, synek... Bydziesz miōł branie, że hej!

MAGDA:

Niy ma tak źle.

MARCIK:

Niy ma źle? (*zaglondo Magdzie przez ramie*) Dziołcha, ty żeś je szykowno jak nic!

Magda durch ôglondo swoje zdjýncie, krynci gracokiym na wszystkie modele.

PAWOŁ:

Terozki jeszcze ino napisz, że mosz meter ôziymdziesiont i styknie.

ARTUR:

Ale jo niy mom tela...

ACHIM (*klepie Artura po ramiyniu*):

To je nojmynij ważne, dyć ze colsztokiym na zolyty niy przidzie, pra?

PAWOŁ:

Zrobimy tak: posiedź sie sam jeszcze pora minut, dopij biyr i zoboczysz – poł Bytomia bydzie twoje jeszcze dzisioj. (*śmnych*)

ACHIM (*zbiyro sie fôrt*):

A jo sie już ewakuuja. Cześć!

PAWOŁ (*do Achima*):

Poczekej. (*do Artura*): Tyż wyłaża, bo moja zaś bydzie... Wiysz, jak je... No ja, niy wiysz... Niyważne... Nara...

Achim i Pawoł wyłażom.

SCYNA X

MAGDA (*dalij ze wõntpliwościami*):

No niy wiym...

ILONA:

Co zaś?

MAGDA:

Wyglondom jak niy jo...

MARCIK:

Ale toś je ty! Ino ze dzióbkkiym...

ILONA:

Niy wydziwiej. Zoboczysz, co jeszcze dzisioj trefisz jakigoś karlusa. (*dopijo wino*) Jeszczec ci tego niy pedziała, ale jo już ze ZOLYTNIKA korzystom dwa roki i zobocz sie na mie... Wyglondom jakby mi boło źle? (*śmnych*)

MARCIK:

Jak za mojih czasōw bōłyby takie aplikacje (*dopijo wino*), toby sie dziōło, a dziōło. (*śmionych*)

ILONA:

Pa, Magduś, posiedź se sam jeszcze, a potyn kuknij do gracoka i zoboczysz: we nocy niy bydziesz spała dzisioj sama...

MARCIK:

Jutro we robocie nom opowiesz. Pa!

ILONA:

Koniecznie!

MAGDA (*odkłada gracoka*):

No pa.

Śmionych-chichy i Marcik ze Ilonom wylāżom.

SCYNA XI

MAGDA (*zaś niymrawo*):

Żeby mi jeszcze pedziōł, jak mu je...

ARTUR (*przełondo gracoka bez entuzjazmu*):

Ta je nawet gryfno...

MAGDA:

Ale nawet tego niy wiy...

ARTUR:

Miyszko blisko...

MAGDA:

Niby boł ze Bytomio...

ARTUR:

Ino ta tapeta na gymbie...

MAGDA:

A moźno mo kōnto we ZOLYTNIKU?

ARTUR (*ôdkłado gracoka*):

Po co jo sie doł w to wciongnōć?

MAGDA (*biere gracoka*):

Moźno poszukom we Bytōmiu? (*zaczyno sznupać*)

ARTUR:

Zowdy moga skasować konto... No bo co jo z tego byda mio?... Nagroda pocieszynio?... A ôna mi niy poradzi z gowy wyłyż... Te fajne kudły, tyn gryfny uśmich... Niy wiym, jak sie mianuje – to jedne, ale nawet niy wiym, kaj wyłazła z tego cuga... Mogła wyłyż we Chorzowie... we Batorym... w Zołynżu... i we Katowicach. Dyć to je pół Ślōnska!... (*pije biyr*)

Pauza.

MAGDA (*ôglondo intynsywnie*):

Jeronie!... Dyć to je on!... Abo i niy... ARTEK_25? Dwajścia piyńc lot? Niy... ôn bōł starszy... Abo Artek... Artur... Nawet koszula je ta sama... Ale co, sztyjc we tyj samyj koszuli łązi? Na zicher mo jakieś inksze... Niy, no to musi być on! (*paczy jeszcze trocha*) A co mie tam... (*klupe*)

Gracok Artura sie odzywo.

ARTUR:

A to co zaś? (*biere go do rynki, czyto*): MADZIULA_20. Jasne, dwajścia... A można... Frizura nawet fajno, ino niy ta... A tyn pieroński dzióbek... Co ône wszystkie majom ze tymi dzióbkami?!... To nawet do nij niy pasuje... Kurde... ino te oczy... cołkiym podobne...

MAGDA:

No... klikej, klupej... Abo niy, niy klupej! Jak to żeś niy je ty, to niy klupej, prosza cie!

ARTUR:

Te oczy som blank podobne... Ze Katowic je...

MAGDA:

Widza, żeś je on-line. Godej coś, pisz coś... Abo niy!

ARTUR:

A tam, roz kozie śmierć!

Artur klupe we gracoka, tyn sie odzywo u Magdy. Zacymnynie.

SCYNA XII

Po dłuższyj pauzie zapolo sie lampa nad poszrodkowym stolikiym. Při stoliku siedzi Artur nad kieliszkiym wina. Szaket wisi na stołku. Powolno muzyka.

ARTUR:

Niy przidzie... Na zicher niy przidzie... Co jo sie myślał... Ino z drugij zajty... to ôna mie znodła... Szukała i znodła... Abo... abo to bôł przypadek, że mie znodła i na mie klupła, a szukała jakigoś inkszego...? Na zicher tak bôło, niy inakszyj... Ale zaś z czecij zajty, to dała sie zaprosić... Klupła piyr szo, to można niy ma na mie wkurzono o tyn Radziõnkõw... Można ij przeszło... Ino z czwortyj zajty, to mógła mie z kimś pomylić... Ze jakimś inkszym Arturym? Mało to takich jak jo po świecie tyro? Czym jo sie wyróżniom? Niczym. Gymba pospolito, słabe zymby... Mój ôjciec i oupa po Abrahamie już ino pora zymbõw mieli. I meter ôziymdziesiõnt tyż niy mom... Jak mie zoboczy, to powiy, żech je cygon, i bydzie miała racjo. A nojgorsze je to, co to może niy być wcale ôna! Frizura inkszo i tyn... gupi dziõbek... Ta ze cugu niy wyglõndała na tako, co robi dziõbki do gracoka i chwoli sie nim chopõm. Co z tego, że ôczy takie same, jak reszta niy pasi?... I tyn cołki Chorzow... „Możno by my sie trefiyli na neutralnym gruncie, bo jo je ze Katowic, a ty ze Bytomia. Tak bydzie lepij, niy?”. No i żech sie zgodziõł... Czemu niy? I terozki czekej... aż łaskawie przidzie... Abo i niy... Ech... jo tego niy szczimia...!

SCYNA XIII

*Włazi pomału Magda – gryfnie ôbleczono, we tyj samyj frizurze co we cugu.
W rynce kielon wina.*

MAGDA (*niyśmiało*):

Cześ, Artur.

ARTUR (*zrywo sie*):

Cześ, Magda (*podłazi do nij i dowajom sie po kusiku we liczka*). To... to siednymy sie, niy?

MAGDA:

No... chyba ja...

Magda seiblyko, co tam mo na wiyrchu, i wiysz na stolku. Siadajōm.

ARTUR:

Mosz... mosz ta sama friza co we cugu.

MAGDA (*śmieje sie z leksza*):

Ta mie sie bardzij podobo.

ARTUR:

To czamu żeś zmiyniōła?

MAGDA:

Bo jo już tak mom, co jak mie coś znerwuje, to ida do golaca, dowom sie inakszyj kudły poukłodać i mi zaroz nerwy przełazom.

ARTUR:

Dobro metoda. A co cie znerwowalo?

MAGDA:

Muszymy ô tym godać?

ARTUR:

Niy, wcale niy muszymy.

MAGDA:

To fajnie, ciesza sie...

Pauza. Pijōm.

ARTUR:

Musza ci pedzieć, żeś mie fest zaskoczōła.

MAGDA:

Czym?

ARTUR:

No... znodłaś mie. Musiałaś mie szukać.

MAGDA:

A tyś mie niy szukol?

ARTUR:

Chciolech, ino... we tyj aplikacyji je tela dziołchów... ze cołkigo Ślōnska...
Niy boło lekko. I te twoje zdjynicie...

MAGDA:

A co z nim?

ARTUR:

Ta frizura, tyn dzióbek... Niy, żeby mie sie niy podoboł, ino...

MAGDA (*śmich*):

Nigdy żech zawczasu dzióbka niy robiła i już niy zrobia. Tyn dzióbek to tako Ilona wymyślała.

ARTUR:

Jako Ilona?

MAGDA:

Niyważne.

Pauza. Pijōm.

ARTUR:

A wiysz, jo sie pytoł poru kamratōw ô tyn Radziōnkōw i żodyn niy wiedziōł o tym, jako to je terazki samodzielno jednostka samorzondowo.

MAGDA (*śmich*):

Skończ!

ARTUR:

Ale to je prawda!... No dobra, skończylech. Widza, co już niy mosz na mie o to nerwów.

MAGDA:

Szkoda mi piniyndzy na golaca.

Śmich. Pijōm.

ARTUR:

A wiysz, że jo sie zrobiōł wczoraj smażonka ze grzibami?

MAGDA:

Ja? A ze jakimi?

ARTUR:

Szampiniokami.

MAGDA:

Na poczōntek mogom być.

ARTUR:

Jak sie rozkrynca, to można i prawoka zjym.

Śmich.

MAGDA:
A moga sie ciebie o coś spytać?

ARTUR:
No dyć!

MAGDA:
Jak dugo mosz ta aplikacyjjo?

ARTUR (*paczy na zygorek*):
Dokładnie jedyn dziyń.

MAGDA:
To tela wiela jo.

ARTUR:
No zobocz...

MAGDA:
Ciekawe...

Ôroz ôdzywo sie gracok Magdy.

MAGDA:
Moga?

ARTUR:
Jasne.

Magda filuje do gracoka.

MAGDA (*czyto*):
Jakiś ROMANEK_XXX na mie klupnoł.

ARTUR:
No zobocz, jakie mosz branie. Za to u mie nic... (*ôdzywo sie gracok Artura*)
O! czekej... (*zaglondo do gracoka, czyto*): MARCIK_30 na mie klupała.

MAGDA (*popijajõnc wino*):
Pokoż.

*Artur pokazuje gracoka Magdzie, ta sie ôroz zaczyno krztusić.
Zaczyno jõm klupać w plecy.*

ARTUR:
Jezderkusie! Co sie stało?!

MAGDA (*kuco*):

Nic, już mi je lepij.

ARTUR:

Ale żeś mi wystraszyła.

MAGDA:

Te wino je fest mocne.

ARTUR:

Tyż prawda.

Duższo pauza.

MAGDA:

To jak, ôdklupniesz tyj Marcik?

ARTUR:

Zrobia coś inkszego. Wywala tego cołkigo ZOLYTNIKA weg ze gracoka. (*klupie we gracoku*) I niy ma. A co ty zrobisz ze Romankiyem iks, iks, iks?

MAGDA (*klupionc we gracoku*):

Romanek... bydzie sie musioł... znolyż dzisioj... inkszo ôfiara. (*pokazuje gracoka Arturowi*): Prōzne.

Pauza. Pijōm.

ARTUR:

Tak sie myśla, co wywalynie tego ZOLYTNIKA to bōła przełomowo decyzjo, jak uważosz?

MAGDA:

Mosz recht. Mogymy zrobić jeszczê jedna przełomowo decyzjo i zaroz stond wyłyż.

ARTUR:

Padosz?

MAGDA:

Padom.

ARTUR:

Jo je za.

MAGDA:

Jo tyż.

Zbiyrajom sie i oblykajom. Idom do wyjście.

MAGDA:

Bytóm abo Katowice?

ARTUR:

A można zoboczymy, kery cug przijedzie pryndzyj...

Wyłażom. Zacyymniynie. Kurtyna.

Bożena Donnerstag

OSOBY:

OMA *staro Frisztacko (lot 70+)*

WERA *wnuczka (lot 30)*

ALOJZ *somsiod z dołu (lot 70+)*

WITULINO *somsiadka z piyrszego sztoku (lot 50)*

SCYNA I

*Izba w familoku. Staro Frisztacko pije z szolki.
Słychać klupanie. Frisztacko wstowo.*

FRISZTACKO:

Kto tam tak klupie? Już leca!!!

WERA *(za drzwiami)*:

To jo, oma, otwiyrejcie, ale gibko!

FRISZTACKO:

Właż, dziołcha! Zimno, pra? Zarozki ci zrobia bonkawy, jak lubisz, i krepłe świyże mom, to sie zjysz. Tyś je tako chudo!

Wera włazi rań, baby sie ściskajom.

WERA:

No to zech jakoś dojechała! Juzech myślała, że nikaj niy stana, tela aut wszyn-dzie, parkplace pełne, ale zech sie wciśla.

FRISZTACKO:

Toż siadej, dziołcha, i łosprowiej, jak tam w robocie. Godałaś, że musisz mi cosik ważnego pedzieć, siedza choby na szpyndlikach! Ino niy prow mi, że cie zwolnili!

WERA (*siado za stołym*):

Niy, oma! Niy godejcie gupot. Niy zwolnili, a nawet sztajfla żech w gora! Terozki jeżech dyrehtorka, i to żech wom chciała pedzieć.

FRISZTACKO:

Ponbocku! Tako wiadomość! To jo jeszcze ajerkoniaku ci naleja! Moja wnuczka tako zmyślno... Po mie przeca!

WERA:

Oma, przestońcie, przeca niy moga pić! Auto! Ale jo mom dlo vos gyszynk skuli tego awansu.

FRISZTACKO:

Dlo mie gyszynk? Przeca toś ty je dyrehtorka, a niy jo!

WERA:

Ja, jo wiym. Jest ino jedne ale... Jo terozki byda jeżdżioła na delegacyje i mom gyszynk, kiery sie przido, żebyś sie niy czuła sama.

Wera wyciongo z epy piyknie zapakowany gyszynk i dowo omie.

WERA:

To dlo vos, moja nojukochańszo omko!

Frisztacko łodpakowuje gyszynk, wyciongo z pudełka.

FRISZTACKO:

Jaki piykny szklanny tablet, elegancko! Nigdy żech takigo niy widziała. Trocha mały, ale na szolka i talyrz styknie...

WERA:

Oma! Przeca to niy je tablet na szolki! Ino to je tablet, taki komputer!

FRISZTACKO:

Werka, co ty mi sam prawisz, jo wiym, jak wyglondo komputer, bo widziała u Wituliny w doma i u ciebie tyż. A to tukej to je szklanno deska!

WERA:

Oma! To je taki płaski komputer. Zobocz ino.

Wera załonczo tablet.

FRISZTACKO:

Jezderkusie, richtig! Takiygo cuda to żech niy widziała, jako dugo żyja! I co jo z tym mom terozki robić?

WERA:

Jo ci, oma, zaro wszystko powiyim. To jest proste i dosz sie rada. Przeca jo je po tobie mondro!

FRISZTACKO:

Ty mi lepi zarozki powiydz, po co mi taki drogi gyszynk... Jo niy potrzebuja komputera, mom telewizor i somsiadów, to mi styknie za te wszystkie inter-nety.

WERA:

Godom wom przeca, że byda terozki durś jeździć i tyn tablet jest po to, cobyh mogła z wami pogodać.

FRISZTACKO:

A mobilniok niy styknie? Już mom opanowane te wszystkie knefelki, co to ich nawet niy ma, bo som blank płaskie...

WERA:

Ale bez tyn tablet bydymy niy ino godać, ale tyż bydymy sie widzieć! W tym je cały szpas! Jo jada dopiero po niydzieli, to terozki momy czas, cobyście, oma, to łopanolali. Załonczom i uczymy się! Byda twojom rechtórkom.

SCENA II

Frisztacko stoi wele łokna i kuko bez gardina na plac. Słyhać klupanie do drzwi, ale łona choby niy słyzała. W końcu ktoś łotwiyro. Włazi Wera i somsiadka, Witulino.

WERA:

Oma! Żyjecie! Jo już myślała, że sie cosik stało i poleciałach do Wituliny po wasze klucze! Czamu niy łotwiyrocie?

WITULINO:

Jo blank zapomniała, co te klucze na zapas som u mie, Werka pamiyntała! Co sie stało, somsiadko??? Ale żech sie znerwowała!

FRISZTACKO:

Jezderkusie, niy gorszcie sie. Jo sie zagapioła bez łokno i nic żech niy słyzała tego klupania...

Witulino i Wera podążą do łokna i chcą cofnąć gardina.

FRISZTACKO:

Niyyyy! Zostowcie ta gardina, niy mogom mie uwidzieć!!!

WERA:

Oma, co wy zaś zmyślocie? Kto wos niy może widzieć?

FRISZTACKO:

Wejrzyjcie ino, ale bez te łączka w gardinie. Widzicie tego chopa, co stoi pod masarzym? To je karlus72. A chopa pod jarzyniokiym, z kwiotkami? To je hajer70. A jakbyście sie barzi przechyły bez fynsterblat, tobyście jeszcze zoboczoly pod kioskiym gryfcoka z glacom, podobnego do tego aktora Ne-inerta, co zech go w tyjatrze widziała, jak my boły z Werkom. A pod szkołom z różom w rynce to je gorol1943.

WERA:

Oma, co wy prawicie? Jaki gorol? Jako glaca? Trzy tydzie mie niy boło... Co tu sie porobioło?

WITULINO:

Jo cheba wiyim, ło co chodzi... Pani Frisztacko, jo opowiyim Werze, bo to cheba moja wina.

WERA:

Wyście łobie coś nazgobioły, ale jo durś niy wiyim co, godejcie! Choby z małymi bajtalami!

WITULINO:

Bo jo zech je zapisano na tako strona, co sie nazywo zolyty kropka pl...

WERA:

Że jak!? Że niby z chopami zolycicie bez internet? Umawiocie sie?

WITULINO:

No ja... Przeca jezech sama, cosik mi sie tyż łod życio noleży. Łaża sie do kafyjów, łosprawiom sie z tymi chopami. Ale nic wiyncyj, nic z tych rzeczy, co mosz na myśli, Werka! No i zech pokozala somsiadce, no twoji omie, że jest takie cosik. Ino zech nie wiedziała, że sie tak wciągniecie, Frisztaccyno.

Witulino patrzy na Frisztacko.

FRISZTACKO:

No ja... Jo wiy. Ale jak żech sie zapisała na ta strona, to mi sie tak miyntko zrobiło, że te bele jakie chopy do mie pizsom, że sie im podobom, żech je gryfno dziółcha...

WITULINO:

No ja, ino żeście tam dali fotka, coście klipsnyli ze 30 lot nazod!!!

WERA:

Oma, jo to rozumia, ale czamu umówiyliście sie ze sztyrema chopami naroz, i to ło jednym czasie? Niy stykło wom jednego?

FRISZTACKO:

Jo boła ciekawo, czy łone przyjdom... A po wtore – jo żech sie chciała ich łobocyć, i terozki widza, że jak łone pizsom hajer70 i karlus72, to łone majom tela lot, a niy, że to jest łod nich rocznik. To som stare chopy!!!

WERA (*fest sie lacho*):

Oma, niy dość, że sztyrech, to jeszcze z modymi chcieliście zolycić? Po kim wy to mocie!?

FRISZTACKO:

Ty sie, Werka, niy śmij ze swoji omy. Na co mi stary chop, no godej? Tyś sie pojechała, dałaś mi tyn tablet, to terozki mosz!

WERA:

Oma, a co z Alojzym? Wiy, że zolycisz z innymi chopami?

FRISZTACKO:

Z jakim zaś Alojzym?

WERA:

Przeca z waszym somsiadym z dołu! Niy znom innego Alojza, a przeca łon już ze dwadziyścia lot sam miyszko we familoku, sprawunki wom wnosi, a plecyska go bolom, gybis zacisko i leci na drugi sztok. Grocie w karty, siedzicie na placu i pociskocie fleki, a wy Alojza niy znocie?

FRISZTACKO:

Aaaa... Tyn Alojz... No ja. Ale to przeca je już stary chop.

WERA:

No ja, oma, mo tela lot wiewa wy i jest tukej. A niy kajsik w internecie!

WITULINO:

Wera, bo trowa jest zawsze barzi zielono na innym placu! A z Alojza to jest naprowdy porzondne chopisko...

WERA:

Oma, wom trzeba dać jakisik szlaban na tyn tablet, jak bajtlom sie dowo. Jo już leca! I zostowcie już te zolyty kropka pl, bo niy wiadomo, na kogo treficie, jo wom radza!

SCENA III

*Witulino siedzi z Frisztackom przy stole.
Frisztacko mo na łebie mokry sznuptuch.*

WITULINO:

Toż łosprowiejcie, coż sie to stało takigo, że wos łeb boli i nikogo niy chcecie widzieć, Frisztaccyno? Bez połednie żech wos widziała, że idziecie wysztiglowano, dałerwele świyżo zrobione, włosy na fiolet, nowy klajd, bo ze zadku żeście metki niy uszczigli i boło widać. Nawet szczewiki na abzacu, co do kościoła tak niy łazicie łoblecono! Jo niy je tako gupio – zaś włazicie na zolyty kropka pl i żeście szli na randewu! A łobiecaliście Werze, że z tym już szlus!

FRISZTACKO:

Jo wiym, że pedziałach Werze, co niy byda sie umawiać... Ale łostatni roz żech tam włazła, coby skasować to pieroństwo... no i zaś żech niy strzymała! I żech zacza takimu jednemu fest gryfnymu chopowi łodpowiadać, i łon sie jeszcze tak piyknie nazywo: kusiolek72. I dzisiej żech sie szła z nim łobocyć.

WITULINO:

I co boło dali? Łosprowiejcie, ale gibko!

FRISZTACKO:

Poszłach na bana, pojechałach tam, kaj mi napisoł. A w rynce trzymałach... No ja, to jest blank dziwne, ale w rynce trzymałach blumkol. To niby tyż kwiotek, ino jak terozki ło tym myśla... to róża to niy jest. A i niy wonio za piyknie...

WITULINO:

To richtig fest śmiyszne tyn blumkol. No i co boło potym?

FRISZTACKO:

Stoja, czekom, niy mom dychu, bo z tych nerwów to miałach herckleoty, gorko mi boło... Narozki widza, że niydaleko mie stoi wysztiglowano baba i trzymie oberiba, trocha dali zaś inna wysztiglowano i trzymie szałot, a na końcu placu stoi jeszcze jedna – i mo krauza łogórków!!! I zarozki żech

wiedziała, że wszystkie czekajom na tego pierońskiego kusiolka⁷². Poszłach do tyj baby z oberibom i zapytałach ło niego, potym razym poszli my do tyj z szałotym i krauzom. Łone tyż zolycioły z tym kusiolkiem!!! Wycieplach blumkol do hasioka i przyjechałach do dom. Tako gańba!!!

WITULINO:

Somsiadko, a to wom czegoś niy przypomino? Kto sie chcioł zobejrzyć sztyrech chopów?

FRISZTACKO:

No ja... To bołach jo i mie srogo skorało. Zarozki siadom, biera tablet i frelka⁷⁰ przestowo zolycić.

WITULINO:

A jo żech sie terozki tak pomyślała, że to niy boł przypadek – te sztyry baby i jedyn kusiolek. I te gemizy w rynkach to boło fest, ale to fest śmiyszne. Kusiolek zrobiół wos w konia... Tak choby wos znoł!

SCENA IV

Frisztacko siedzi na ławce przed familokiym, podłazi somsiad Alojz.

ALOJZ:

Szczynść Boże, somsiadko, moga sie kole wos siednąć?

FRISZTACKO:

Siadejcie, Alojz, placu jest dość...

ALOJZ:

Cosik humoru łostatnio niy mocie... Wnuczka niy przyłazi, to wom sie ckni?

FRISZTACKO:

To tyż, ale jeszcze trocha i przyjyżdzo nazod. W Rajchu terozki jest, wycie, dyrehtorka, to sie durś szkoli. Jo z niom dziynnne łosprowiom, bo mom tyn tablet do godanio.

ALOJZ:

To co mocie tako mina, choby sie cosik stało? Przeca widza! Z doma mało kiedy wylazicie, w karty niy przyłazicie poszpilać, som żeście choro, niy dej Boże?

FRISZTACKO:

Zdrowo żech jest, tak jak każdy, co skończoł zibcich... A... mocie recht, mom swoje do myślńnio i aż mie łod tego gowa boli. Niy moga wom wiyncyj pedzieć, bo sie bydziecie ło mie źle myśleć, abo śmioć. Abo i to, i to.

ALOJZ:

Coż wy godocie za farmazony... Tęła lot sie znomy, a jo jest łostatni, coby sie śmioł z takij gryfnyj baby jak wy! Podźcie do mie, zrobia cosik do picia, zjemy zista, bo żech upiykł rano, i łotworzymy sie nalyweczka na smutki. Niy dejcie sie prosić.

FRISZTACKO:

Wyście, Alojz, zista piykli?

ALOJZ:

Jak chop jest tęła lot som, to sie wyuczzy bele co robić. Mom internet, tam jest wszystko łopisane, abo i film jest. Poleku nawet chop do rada zrobić zista, abo i dorta na gyburstag.

FRISZTACKO:

Jak tak godocie, to ida na zista z komputera. Terozki mi niy po drodze z tymi internetami, ale niych wom bydzie...

SCENA V

*W izbie siedzi Frisztacko z Alojzym, grajom w karty, popijają gorzółka.
Kłupanie do drzwi.*

FRISZTACKO:

Łotwarte! Właż, Werka, wiym, że to ty!

Wchodzi Werka, dowo kusika omie.

WERA:

Dziyń dobry, panie Alojz, co tam u wos?

ALOJZ:

Je lepij niż dobrze! Nawet sie, dziółszka, niy spodziywosz, jak dobrze!

WERA:

Godałach wom, że tak bydzie. Ponbocek niyrychliwy, ale sprawiedliwy, jak to sie godo.

ALOJZ:

Mosz recht, dziółszka, mosz recht!

FRISZTACKO:

Ło czym wy godocie? Jo zaś nic niy rozumia co to, że Ponbocek niyrychliwy?

Alojz głasko Frisztacko po rynce.

ALOJZ:

Nic sie niy nerwuj, dzióbecku, my sie ino tak z Werkom łosprowiomy...

WERA:

Oma, czy jo sie przesłyszała? Dzióbecku? Wyście som dzióbeckiem łod pana Alojza?

FRISZTACKO:

Jo tam niy wiym, ale jak łon tak godo, to cheba ja... Jeżech dzióbeckiem.

WERA:

Trocha mie niy ma i tukej takie zmiany! Alojz i dzióbeczek, moja oma! Witulino już wiy?

FRISZTACKO:

Łona by niy wiedziała, co sie we familoku dzieje? Tak chobyś jom niy znała!

ALOJZ:

Witulino to jest FBI i CIA dwa w jednym. A nawet wiyncyj. Łona wiy nawet to, co sie pomyślisz! I czego niy pomyślisz tyż...

FRISZTACKO:

Ale przeca niy wiy, że jo jest dzióbeczek łod Alojza! Lojziku, godoleś z niom łostatnio?

ALOJZ:

Niyyyy, ale wiym, że durś kajsik wysztigłowano loto. Widza bez łokno. Wetna sie, że z kimś zolyci. Ale niy jest to kusiolek72, bo za stary dlo niyj i już zajynty!

FRISZTACKO:

Jaki kusiolek72? Alojz! Skąd ty ło nim wiysz? Kto ci pedzioł? O ja! Witulino! Ta pierona mie wyzdradziła. Ino łona wiedziała. Już jo ji nazdom. Niy ch ino sam przylezie, to ze schodów bez gylynder sleri!!!

ALOJZ:

Ty sie, dzióbecku, niy nerwuj, przeca wiysz, że ci niy wolno. Witulino nic niy pedziała. Jo to wiym, bo jo żech jest tyn kusiolek72.

FRISZTACKO:

Ty, Alojz? Jak to? To tyś mi kozoł z blumkolym stoć z fioletowymi dałerwelami przy ludziach w bioły dziyń? I tym babom z oberibom, szałotym i krauzom łogorków?

ALOJZ:

Niy gorsz sie na mie, ale to boł jo...

WERA:

Oma, i moja wina to tyż jest... Bo jo pedziała panu Alojzowi ło tych sztyrech karlusach na skrzyżowaniu, co na ciebie czekali. Ale żech niy wiedziała, że somsiod tyż wlezie na zolyty kropka pl i bydzie z tobom zolycioł...

Frisztacko wylazi do kuchni.

Wera i Alojz siedzą przy stole- i patrzą na siebie.

Frisztacko włazi nazod do izby.

FRISZTACKO:

Wiyecie co, niy gorsza sie na wos. Ani na ciebie, Werka, ani na ciebie, Lojzik... Mieliście recht, coby mi dać nauka. Źle żech zrobiła z tymi chopami: karlusym72, hajerym70, gryfcokiym z glacom, co boł podobny do tego aktora Neinerta z tyjatra w Katowicach. I nawet z tym gorolym1943, choć to gorol. Chopy się wysztiglowali, przyjechali, a jo żech nawet do nich niy wylazła, niy zagodała, ino żech kukała bez gardina. I kusiolek72 mi pokozoł, jak to je niyfajnie. I powiyom wom jeszcze, że łostatni roz frelka70 wlezie na zolyty kropka pl i tych wszystkich chopów przeprosi. A można i zaprosza na jako kawa...

ALOJZ:

Ty sie, dzióbku, niy rozpyndzej z tom kawom. Styknie, jak przeprosisz, i... szlus! Jeszcze mi cie kieryś łodbije!

Frisztacko przytulo sie do Alojza.

FRISZTACKO:

Bydzie, jak chcesz, Lojzik. Ino przeprosza i już żodnego zolycynio bez tyn internet. Terazki byda zolycić ino z tobom!!!

STEFAN, HELA I NIYDZIELA

Anna Kandziora

OSOBY:

HELA *lat kole trzydzieści, pedziołbyś, że fajno frelka, szło by z niom konie kraść i na torgu przedować*

STEFAN *karlus konkretny, lat kole trzydzieści dwa, niy pedziołbyś, że typ sportowy, bliżyj mu do działkowca*

GOŚĆ *tego to my niy znomy wcale*

Hela i Stefan we łóżku. Jest blank wczesne rano w niydziała, dyć dzisiaj niy cza sie do roboty uwijać, to sie idzie pospać.

Hela otwarła oko, leży cicho, myśli, czy wstawać już, czy niy, krynci się z boku na bok, ale cicho, niych sie Stefan jeszcze chrapie...

W końcu decyduje sie wstać.

HELA:

A dobra, i co z tego, że jest niydziała! Jo niy umia tak długo spać. We łbie mie potym łupie, kawy to ze trzy musza wypić i cołki czas myśla, kaj mi tyn czas uleciał... Jak niydziała, to bumela... Niy, to u mnie niy działa. A kaj łobiod, a szpacyr i te inksze rzeczy... Może potym się jeszcze legna.

Wstowo, idzie do kuchni przez antryj, a wielki majom tyn antryj, i stowo jak kolek, patrzy, przeciyro łoczy, jeszcze roz patrzy na miejsce kole drzwi.

HELA:

Jeronie, świnynty walniynty! Biołe szczewiki!? Jo chyba źle widza! Stefan by sie kupioł biołe szczewiki i nic niy pedzioł ? Ach biołe, to jeszcze nic, ale że adidasyl?!

Idzie do sypialni, budzi Stefana, czułym głosem szepcze do ucha.

HELA:

Stefanku, a co jo widza w antryju? A tyś mi nic niy pedzioł...

Stefan ino mruży cosik pod nosym.

HELA (*czule szepcze*):

Stefan... Tyś sie kupioł nowe szczewiki, widziałach, w antryju stojom...

STEFAN (*otwiera jedno oko, przekryncio sie na drugi bok, rynkom macho, jakby łostudno mucha przegonioł*):

Cooo zaś... Dej mi spać, babo...

HELA:

No dom ci spać, ale czemuś nic niy pedzioł, że sie nowe szczewiki kupisz?

STEFAN:

Co? Nowe? Jo? Dej mi spać, jest niydziała rano, a ty mie budzisz przez jakieś pierdoły!

Zakrywa głowę pierzyną.

HELA:

No przeca widza, blank nowe szczewiki w antryju stojom.

STEFAN:

Dej mi spać! Jakie nowe szczewiki? Hela, o czym ty godosz?

HELA:

W antryju stojom blank nowe biołe szczewiki! Przeciyż widza, i ty pieronie diosecki nic żeś mi niy pedzioł, że sie kupisz nowe.

STEFAN:

Hela! Co ty bredzisz?! Jo niy mom nowych szczewików, a ciebie sie chyba coś przewidziało...

HELA (*leci do antryju, patrzy na szczewiki, ale tak wyraźnie, coby Stefan widział, że łona patrzy. Leci nazod*):

Stefan!!! Niy powiesz mi, że jo źle widza, abo że cie robia w konia, ty adiasie! No som, sie obejrż, stojom tam szczewiki! Biołe! A wczoraj niy stoły! A ty paciuloku jedyn, jak bydziesz mie dalij robioł w konia, to ci łeb urwia i spakuja do kartonu po tych szczewikach i łoddom w reklamacji!

STEFAN (*znerwowany, wyciepuje kołdra na podłoga, ostentacyjnie depto po niyj jak po kapuście w boncloku i idzie prosto do antryju*):

Hela, prima aprilis dzisioj niy jest, ale za to moga ci zrobić ekstra śmigus-dyngus, jak mnie... Co?! Co to za szczewiki?!

HELA:

No chyba niy moje, jaśnie panie Stefanie! Dyc już pół godziny godom o tych adidasach!

STEFAN:

Ale jo pierwszy roz widza je na łoczy! No godom ci!

HELA:

Ja? A to ciekawe, kero baba ci w szportowym doradzała? Bo mie sie wydowo, że taki bioły kolor to ci do fuzekli niy pasuje! A te oryginalne, z tego, co wiym, to trzy paski majom, ale w pionie, a ty mosz jakies pomyłone! Niy dość, że biołe, to jeszcze podróby!

STEFAN:

Kurde bele! Hela, robisz mie w bambuko! Skąd mosz te szczewiki, godej!

HELA (*w tym momyncie robi sie blado, patrzy za siebie, wprost do wielkij izby, a tam...*):

Ty, Stefan... Patrz do izby! Tukej ftoś leży.

STEFAN I HELA (*jednym głosem*):

Oż jasny kur... dywanie!

Stoją jak wryci, na kanapie we wielkij izbie leży sie jakiś chop, przykryty dekom aż po same brwi. Patrzom nazod do antryju, a tam nad szczewikami wisi mantel. Żodyn ani słowa nie puści z gymby, ino patrzom na siebie coraz większymi łoczami.

HELA (*po chwili szeptem*):

Stefan, fto to jest? Znosz tego chopa?

STEFAN (*tyż szeptem*):

Jo niy... Piyrwszy roz widza. A ty go znosz?

HELA:

No przeciyż że niy. Co łon tu robi? Jak tu wloz?

STEFAN:

Niy mom bladego pojyncia! Weż go łobudź.

HELA:

Jo? A czymu jo? Ty weż go łobudź.

Stefan bez słowa stanowczo kręci głową, że niy ma bata.

HELA:

Dobra, jo byda ta baba z jajami. Mhm... Halo, panie. Co wy tukej robicie?

*Gość wydaje pomruk, łobraco sie z boku na plecy,
widać jego gymba, ale cołkiem nieznamo.*

HELA:

No, halo! Co wy tukej robicie?

GOŚĆ (*widać trocha, że jest chyba wczorajszy*):

Co? Dejcie spać...

HELA:

No jak dejcie spać, jak to jest naszo izba! Co ty tu robisz, chopie?

STEFAN:

Ja żeś tu wloz, godej!

HELA:

Niyy, to jest jakiś absurd – w niydziała rano wstowosz i mosz obcego chopa w doma! Jo w to niy wierza!

GOŚĆ:

Jak obcego chopa? A kaj jo jest?

STEFAN:

No tukej, u nos! My sie niy znomy!

GOŚĆ:

Jo tyż wos niy znom...

HELA:

Ale my tu mieszkomy.

GOŚĆ:

Ale jo miał sam przyjechać, chopcy godali...

STEFAN:

Jakie chopcy?! Kaj?!

GOŚĆ (*siada chwiejnie*):

No, chopcy godali, że do Gliwic mom jechać, to żech jest. Łoni jeszcze zostali, ale jo miał już dość tyj imprezy, spać mi sie chciało. Przyjechała banka i żech pojechał...

HELA:

Jeronie, jakie Gliwice? Tukej jeździ bana, ale niy do Gliwic, tu jest Zgoda.

GOŚĆ (*wydaje się, że patrzy bardziej przytomnie, ale nazod się kładzie i zakrywo dekom*):
No, i zgoda...

HELA:
Chopie, łobudź się, co ty tukej robisz?

GOŚĆ:
No przecież bana przjechała, jo miał być w Gliwicach!

STEFAN:
Toś się, chopie, zrobił fajno impreza, a jeszcze lepszo po niyj wycieczka! Ale jak tyś tu włoz?

GOŚĆ:
No drzwi były łotwarte, no to żech włoz. Pożno było, a co miołżech po ćmo-ku tak łązić po dworze?

HELA:
Ale do cołkiem obcych ludzi?

STEFAN:
Drzwi były łotwarte?! Hela, tyś niy zamkła drzwi? A godom ci zawsze – jak do dom włazisz, co byś zamkła na klucz.

HELA:
Ja, no i piyknie! Teroz to wszystko bydzie moja wina... Jo niy zamkłach drzwi, o jakichś szczewikach durś godom jak pomyłono, w niydziała niy dom ludziom spać...

GOŚĆ:
To jest wszystko prowda...

HELA:
Co?! I jeszcze jakiś obcy frompel bydzie mi marudziół, że go w niydziała budza rano! A może łon by się społ jeszcze do dwanostyj?!

STEFAN:
No dyc, tak jest! Jo bych społ jeszcze do dwanostyj!

GOŚĆ:
Jo tyż.

HELA:
O niy! A co wyście się tak zbratali jedyn leber z drugim, co? I łoba bydom mi teroz na zmiana przytakiwać? Tyn by się pospoł, a tyn by się do Gliwic banom nie pojechał, bo po co, jak może tu posiedzieć i nikt mu gowy nie truje?!

STEFAN:
Helusia, ty się niy nerwuj, dyc jest niydziała! Już my tu z panym...

GOŚĆ (*wyciąga rękę*):

Ignac.

STEFAN:

Już my tu z panym Ignacym pogodali, styknie mu tego spania po biglu w naszym izbie i sie pojedzie do dom, do Gliwic. A my sie pudymy legnonć, dyc jeszcze kawał niydzieli przed nami...

HELA (*znerwowano, ale już jest lepiej*):

No niy wiy...

STEFAN:

No dobra, to sie, chopie, zbiyrej do dom i niy włącz ludziom do chałpy, jak niy twoja.

GOŚĆ:

Ja, wiy, ino sie niy nerwujcie. Już ida.

Wstowo, biere te swoje białe szczewiki i mantel.

GOŚĆ:

W sumie to wom powiy, że mi sie całkiem dobrze u wos społo.

Wyłazi.

STEFAN:

A jo sie ciesza, Ignac, żeś jest porządny chop...

STEFAN (*zamykając drzwi na klucz*):

Hela, jo bych sie w życiu takich szczewików niy kupioł!

HELA:

Wiy... Coś mi tu łod samego poczontku niy pasowało.

ŁOJCIEC PRZOŁ POLSCE

monodram

Grzegorz Sztoler

Pamięci dr Bronisławy Spyry,
pszczyńskiej archiwistki,
i jej ojca, Ludwika Pisarka,
powstańca śląskiego z Królówki

*Na bina wlezom roztomajte ludzie, pierzin wiy, czy to sie omie zdo...
Wlezie powstaniec, zanim insi powstańce, wyńdzie i farorz.
Bydzie też jakosikej babka, modo pani, bajtle...
Łobejrzycie sami...*

*Bina. Na stołku siedzi Oma z kryczkom, spomino.
Kole ni na stole leży sterta albumów familijnych, briefów, knigów,
cajtungów, kej w archiwum. Kolybie tom krykom roz w lewo, roz w prawo...*

OMA:

Już za niyskorzi przidzie mi zemrzeć... Ja, prowda padom, dyć mi łosmy krzyżyk pizło... Zaroski przidzie ku mie ta łona z kosom, pierzinie... Jo se ani niy dała pozor, kej tyn czos mi przelecioł... Kej mi te lata minyły... Bożyczku świynty... Ludwiczku kochany...

Ja, na Ludwika to my radzi łazili na łodpust do Panywnika. My, wszyscy, Pisarki z Królówki, moji braty, siostry do kupy hań my szli... Porzykać w bazylice, łobynś Stacje Mynki Poński, pota ku budom i pojeś se na łonakch. Jo wdycki s uciechom szła ku budziorzom podziwać sie, co zaś majom. Niy coby kupować, nom sie niy przelywało... Ino sie podziwać... Tusz braty wiedziały, kaj mie szukać, bo żech – jo, tako mało strzyga – gibko sie familii traciła. A łoni, nasi łojce, łujki i ciotki, wdycki mieli do pogodanio – ło polityce, ło krowach, ło robocie... Szli my tam ze srogom pompom, bo mój łojciec mianował sie genau, kej tyn świynty z Panywnika, Ludwik. Inoś my naszymu Ludek padali.

Mój łojciec, wycie, to rychtyk wielki Polok i powstaniec był... Komyn-
dyrowoł chopom, kierzi do powstano szli, komynudyrowoł na cołki dawny
powiat pszczyński. Łon ważno figura był, tyn mój fater.

Ponbóczku! Łósmy krzyżyk mi przeszeł! Zdo mi sie, cozech niy wszystko
srobiła, cozech miała do sprawiwnio tuckyj, na ziyymi... Nale robotno zech
wdycki była. Jo je z bydy chowano, jo sie roboty nikej niy boja, pierzinie...
Mie do nij łojce gonily... To, co zech przeżyła, to sie niy wróci, przeszło...
Ja... łojciec to był wielki Polok...

*Muzyka (gajgi na piyrszym planie). Na bina włazi powstaniec kole sztyrdziescki,
z karabinem, kierey przykłodo, sprawdzo... Oma godo dali...*

OMA:

Mój łojciec, rocznik 1888, przyszeł do Królówki z Lipin, tuckyj sie wżynił.
Wzion se Rozalke łod Juranków. I tam gospodarzyli...

Na bina włazi modo pani i biere za rynka powstańca.

OMA:

Łożynili sie w 1915. Miłowali sie fest... I robili ciyszko... Porodziły sie hań
dziecka: Władysław, rocznik 1917, i Stanisław, w 1919 roku, w kerym wy-
buchło piyrsze powstani. I zemrzyła bydno Rozalka...

Ze biny słazi Rozalka, panna młodo.

OMA (*myndykuje, je cicho i godo*):

Rozalka wziyna i łumarła zaroski, kej porodziła drugigo synka... Zacho-
rzała... I skuli tego, co tyn jej chop, a mój łojciec, tak politykował... To były
ciyszki czasy... Dyc i chałpa budowali s czerwonej cegły, kerej Antoniczek
we forbale pilnowoł. I gospodarzyli... A łojciec to wielki organizator był...
Tyjatry robił... Powstańcami komynudyrowoł... Ło Polszcze godoł, kej sie to
jeszcze mało komu śniło, co ta Polska tuckyj przydzie... Dyc wszyńdzie były
Niymsy, niymiycki cysorz, niymiycki pon, na kierych my, Ślonzoki, robić
musieli... No ja, niywiele sie pomiyniło... My dali som ino łod roboty... Kej
tyn koń...

*Oma machnyła rynkom.
Powstaniec słazi z biny, gro marszowo muzyka.*

OMA:

W 1920 roku, kej było drugi powstani, mój łojciec sie łożynił drugi raz... Tak downi robili, coby sie spomóc... Wzion se młodszom ło dziesiyńć lot Marta Janasikowom ze Zgonia, kiero miała dwadziyścia jeden roków.

Muzyka, Mendelssohn, na bina włazi drugo panna młodo. Włazi i słazi.

OMA:

Miyszkała s nami babka, matka łod mojigo łojca, Pisarkowo z Lipin. Łonej sie mój łojciec boł, jom szanowoł... Mioł przed niom reszpekt.

*Muzyka, łodgłosy napońnianych, trzaskanych kuflów,
harmider gospody, godka ludziów.*

OMA:

A łojciec to rod politykowoł... Rostomajte mityngi, spyndy łorganizowoł po karczmach, na kerych łopowiało ło tej wielgi Polsce, co tukyj przydzie i nos wyzwoli. A godane to łon mioł, pierzinie... Łumioł sie wypedzieć, a ludzie radzi go suchali... Kupa jich tam przyłaziło... A pota, jak se podpili, to sie prali... Niby Niymców ku Polsce nawrocali, chachory jedne, łopszczymordki łodrzistane... A Pisarkowi to pasowoł, skuli co łon tysz świynty niy był... Tosz niyroz przyłaził piechty do dom niyskoro bez noc, a babka Pisarkowo już wachowała na łonego we dźwiyrzach... I ino słychać było „klac, klac”, jako Ludwika matka piero po pysku... A łon ino do nij kej taki bajtel: „Mamulko, mamulko, niy bijcie!”. A jego matka jużaś „klac, klac”... Dyć łon sie ani niy broniał, ino stoł borok we dźwiyrzach i dowoł sie prać. Nale ino matce, kiero straciła sie w 1929 roku, ino matce dowoł sie łoć po pysku. Bo matka mogła, insi niy, niy śmieli...

*Babka Pisarkowo przelazi bez bina skulono, z krykom.
Na chwila sztopnie, podziwo sie przed sia i dali póndzie.*

OMA:

Jo tedy miała ze trzy roki, kej babka zemrzała. Spominom se, co jeszcze zdonyżła dać krzyżyk mojemu bratu, Bronkowi, kery porodził sie w tym samiuśkim roku, w kerym babka Pisarkowo wziyna i łumarła... Poszła ku Ponbóczkowi na wiyrch.

Muzyka. Na bina włazi powstaniec.

*Starszy, z brodom, abo wonsem, nale to je tyn som chop,
co nejprzódzi, inoś mu ździybko roków podeszło.*

OMA:

Jo sie porodziła, jakeście se porachowali, w 1926 roku, siedym lot po piyrszym powstaniu, piyńc lot po plebiscycie i trzecim powstaniu... Łojciec chcioł synka... Nale dziółcha sie mu porodziła... Myśloł, co jak bydzie łojcem siodmego synka, to jego potkem łostanie som przyzydent Polski. Taki było prawo... A tukyj psinco! Podziwejcie się, pierzinie, synków już Pisarkom niy przybyło... Frelka sie przidarzyła... Nale to trza pedzieć – po mie przyszło eszche pota trzech synków... Tosz wiycie już sami, co moj łojciec niy był za fest rod skuli łonego, co mu boczoń do Królówki dziółcha przynios, a niy synka.

Powstaniec marszczy brwie, mronczy cosikej i słaży z biny.

OMA:

Tosz skuli tego, co chowały mie braty, rosło zy mie dziółszysko. Pamiyntom, co mie wozili na takim drabinioczku, co my kupiyli łod takigo jydnegu górola, kery łaził i handlowoł po Królowce. Tosz wozili mie, małom, w takim rafioczku, a kejsikuj łostawili tyn wozyczek na drodze kole chałpy. A mie, skisz tego, coch usz gupio nie była, mie sie hań rychtyk mierzło... Tosz wylazłach stego rafioczka na ta czesta... I raczkowałach kej jaki piys po tej drodze, miyndzy kolyjinami, bo łażić żech przeca eszche niy poradziła... No i jakisikuj gospodarz zy Zgonia jechoł koniami, pyndził, pierzinie, kej jako dymfmaszina, inoś w łostatnim momyncie zawołoł: „prrrrrr”, ściongnoł łopraty i wywinoł te konie na bok... Boby mie rozjychoł... Placek by ino zy mie łostoł... Niy trza godać, co łon, tyn pampoń, fest pieronił i szpetnie przezywoł na moich łojców... „Czyj tyn bajtel tukyj je?” – rozpytywoł sie ludziów. A kej sie dowiedziło, to zawios mie do chałpy, a z pyskiem wloz na

plac, bo wrota były łotware do korzon... A chopcy, wylynkani, przysli pota do chałpy z pustym wozykem. Nale łojciec jusz na nich ta czekoł, pra... Cheba nie musza wom prawoć, co za larmo było pota w chałpie łu Pisarków... Niy trza godać, iże łu nos był Sond Łostateczny... Chopcy mieli fest zeprane rzicie, łojciec sie ta niy smolił... Łu niygo roz pedziane miało być suchane... Łon niy drzistoł po darymnicy... Ani staro Pisarkowo gymby niy łotwarła, kej sie łojciec s nami łużyroł, a dyc miał praje... Ordnung downi musioł być... A dziecka miały reszpekt dlo starszych... Niy to co teroski, kej ci taki najduch, podciep pierzyński, ani „harnij mie w zadek” niy powiy... Przełazi kole cia, kejby cie niy widzioł, kejbyś luftem był, a niy czowiekym...

*Bez bina przeżyżdzo pusty rafioczek, ciongniony bez pora synków,
kierzy co chwila podskakujom, trzymajom sie za rzicie i rycom:
„Ałaa, ałaaaa”... Łojciec, dejcie pokój, my jusz niy bydymy”.*

*Za nimi leci powstaniec z poskem/biczem w rynce i rycy:
„Wy huncwoty, chachary jedne, jo wom dom, jo wom pokoża...
Dziolcha byście mi potracili, najduchy jedne soroński...”.*

OMA:

Tosz nie dziwejcie sie, co moja matka wdycki padała, że łona łody mie woli dzisyńciu synków, bo mie łupilnować niy szło. Tak żech rojbrowała. Taki synczysko zy mie rośło...

Na bina włazi powstaniec z babom. Muzyka – gajgi. Tańcujom.

OMA:

Ino łojciec mi rychtyk przoł, chociosz niyros mie sztorcowoł... Nale przed matkom mie bronil... Wszyski ciotki, somsiadki ino załomowały rynce i padały: „Co tysz wyrośnie stego dziolyszyska, cheba jakisikuj łokropeczny chachor”. Ino łojciec wiedzioł, iże w życiu ino tacy se rade dajom, a niy jakisikuj ślimoki... Tosz łojciec mi przoł – i zdo mi sie rod był skuli tego, coch była tako charakterno... A te wszyski łusmolone ciotki durch ino mi wygadywały, mie, młodej frelce, co to zy mie za darymnica je i bydzie, iże se w życiu niy poradza. Nale to jo pokończyła szkoły! To jo robiłach w ksionżyncym archiwum na samiuśkim zomku we Pszczynie, pra...

To jo żech pisała ksiożki, jo, prosto dziełcha z Królówki... A kej ino łojciec doł mie posłać do szkół, to łony, ciotki, siostry jego, padały, co dziełcha sie niy śmij kształcić, co mo siedzieć w doma, robić przy chałpie, prac i łoporzondzać wszysko, coby chopa późni znodła. Inacy toby sie świat zwyrtnoł... I tak sie rychtyk kopyrtnoł...

*Na bina włazi fetny farorz. Słazi powstaniec z babom.
Farorz stoi, łotwiyro brywiorz i rzyko, roz za kedy grozi palcem Omie.*

OMA:

Do szkoły to żech miała ze dwa kilometry piechty za drogom. Szkoła stoła we Woszczycach, Królówka była za mało, coby w ni łuczyć dziecka. Tukyj ludzie wdycki mieli pod gorka... Nic sie niy pomiyniło, pra...

Wdycki my sie śpiychali do tej szkoły abo kościoła. Nale podwiela¹ sie przylazło ze szkoły, trza było gibko krowy łodbyć, is snimi na pasionek² abo cosikuj inszego wyporzondzić na dziydzinie³. Tosz skisz tego nazot my sie niy śpiychali do dom... Żodne ciubaryki⁴ s nos niy były, wdycki my wydzieli, co w doma robota na nos czeko... Tusz wandrowali my, smykali sie, kaj ino szło... Czesta⁵ ku Królówce szła bez las, nale kole stowów. I dziwejcie sie, poradza se spomnieć, jako sie niykierne, te rybniki⁶, kaczoki, a glienioki mianowały, ano: Mostownik, Stodrobelnik, Warszowka, Baraniok, Piosek Wielki i Maty, Farski Stow... Tosz kompali my sie w nim bez lato... A w lesie zbiyrali my maliny, łostrzynżyny... Dziki gruszki... Nale łazili my tysz na chaby i bralimy ze sadów jabka, śliwki... A chopcy sie spinali po gojach, ścigali sie, ftory wyżyj wylezie... No ja, jo tysz próbowała... Zy mie śwyntej by niy srobili... Ani s moich kamratów... Pochali my całom bandom i w żodyn roz⁷ niy śpiychali my sie do roboty przy chałpie.

Farorz dziwo sie na Oma.

¹ Jak tylko

² Pastwisko

³ Gospodarstwie

⁴ Głupki, niedorajdy

⁵ Droga

⁶ Staw z rybami (hodowlany)

⁷ Wcale

OMA:

No ja, wiyom farorzyku. Pamiyntom, coście mie sprzezywali, spominom se to... Szło to tak... Siedziałach ze starszom kuzynkom Anielkom w kościele... Farorz godoł i godoł kozani, i niy poradziol wyłonaczyć, ło co Ponbóczkowi sie rozchodziło... Plontoł sie borok i plontoł, srobił sie cały czyrwiony po pysku. Podany był coroz barzi do radiski⁸... I dali erklerowoł, nale niy wiedziol jusz, ło czym beblo... A ludzie jusz spowali... ziywali... Naroski zaczanach lotać po kościele... Nogi s rziciom mie bolały łod tego siedzynio w ławce, tusz jak to bajtel, chciałach se polotać... Ino polotać... Dyć było mi możne ze śtyry roki... No i fajnie mi sie tupało, echo na fol sie niosło po cołkim kościele. Tupałach a tupałach, wiela wlazło... I rada lotałach łod jednego ołtorza ku drugimu... Farorz rychtyk stracił wontek, zaczon jynkotać⁹, a ludziska zaczeni sie chichrać... Kościelny, borok, mie gonił wele wszystkich ołtorzy, bo mu farorz kozoł, nale niy łumioł mie chycić... A w doma zaś haja... Chopcy dostali po rziciach, bo mieli na mie dować pozór... Nale jako to szło łupilnować tako dziolszyca, takigo rojbra? Takoch była, pra, farorzyku?

Farorz kiwie gowom...

Na bina wlazuje powstaniec, stowo kole farorza,

dziwo sie na niego, marszczy brwie, łodwraco sie bokym.

Farorz wzruszo ramionami, tysz sie rziciom łobraco do łonego.

OMA:

No ja, mój łojciec z Hazokem, to je z farorzem Zajoncem, sie niy ciyrpiyli... Mój łojciec, wielki Polok i powstaniec, a farorz, kery z Łopolskiego musioł ponś po podziale Górnego Ślonska w 1922 roku. Pieron wiy, czamu sie żarli, kej i farorz był za Polskom i skisz tego musioł łuciekać, bo jego parafia łostała po niymiecki stronie. Moźne inacy na to wolno Polska sie dziwali, koźdy mioł swoja i koźdy mioł praje, jak teroski, pra?

Farorz i powstaniec łobrucyni zadkami, filujom na sia po leku.

⁸ Rzodkiewki

⁹ Jąkać się

OMA:

Łojciec wdycki łąził na wielkie, na suma, matka na ranne, bo łobiod dzieckom trza było łuwarzyć... Łaził, rzykoł, nale farorza łunikoł... Po kolyndzie wielybniczka toch samach z matkom i bratami witała, łojciec wdycki z chałpy natynczos wybywoł... Przali my farorzyczkowi, dyć nos krzciał, komunia dowoł i spowiadał w suchatelnicy... Katechizm erklerowoł nom s ambony, w kościele, bo hań hormija dziecek przyłaziła – a tych rojbrów, skierymi se niy poradzioł, wołoł na ambona i na swoł proł po gymbie. „Jak cie strzelam bezta paliłam” – padoł po swojimu, bo przyszeł z Łopolskiego. Nale nikej żodnego niy zeproł... Przoli my łonymu durś, na kozaniach neprzod prawił ło Ponbóczku, a zaroski pota padoł to o przyrodzie, zwierzyntach, ło świyn-tej Ziymi, kaj kiejsikuj pontowoł¹⁰. My, dziecka z Królówki, radzi my suchali tych światowych historyji... Nikej sie nom niy śniło, iże kaś dali pojadyemy... Do nos była ino robota i robota... Do roboty my byli wyłonaczyni... A kaj zyci było, jo sie pytom? Dyć nom sie tysz cosikej noleżało, pra?!

*Muzyka, łorgany, farorz i powstaniec
słazom z biny w rostomajte strony, każdy łosobno.*

OMA:

No ja, miałach wom pedzieć cosikej ło tych powstaniach, prowda...

Na bina włazi powstaniec.

OMA:

Łojciec – wielki Polok s niego był, pierzinie. Łu nos w chałpie prawilo sie ino po polsku, ja, moji łojce znali niymiecki ze szkół. Nale godali f nim, kej niy kcieli, coby dziecka wiedziały, co łyznowajom.

Powstaniec spoziyro na Oma.

¹⁰ Pielgrzymował, od pońc – pielgrzymka

OMA:

Jeronie, doczkej, jo tuckyj rozkazuja... Łojciec, tyś jusz komyndyrowoł we powstaniu, pra...

Powstaniec salutuje, stoi na bacność.

OMA:

Wiysz co fater... Poczytom ci, cozech ło cia naszkryflała we ksionżce...

Oma wyjmuje kniga i czyto:

Idzie pedzieć, co we Królówce życi kulturalne kwitło kej łonka na wiosna. Chociesz była to nojmyjszo dziedzinka w parafii woszczycki, dycki była w łonym do przodku, do porzondku zrychtowano.

OMA:

Mom praje, łojciec? Było tak?

Powstaniec kiwie gowom.

OMA (*czyto dali*):

Wszyske fajry łorganizowoł nasz fater, Ludwik Pisarek, kery sie mianowoł wielkim Polokem (chociesz mały był, nale dociyrny pieron). Dziynka niymu już za kajzyra Królówka była bastionym polskości i promiyniowała przoniyem ku Polsce na cołko łokolica. A za Starej Polski rychtyk fajerowali my we Królówce a na Woszczykach polski narodni świynta. Kōżdego roku, na trzecigo maja, mój fater łurzondzoł festelny pochod we Woszczykach dlo cołkij parafije. Szło hań łoboczyć powstańców z fanami, strażoków, grubiorzy i inszych, no i młódź, harcerzy, a i szkolorzy tysz... Jak tysz miyjscowo ludność.

OMA:

No take były czasy, pra, łojciec?

*Bez bina przelazi grupa powstańców, młodzieży, ludzisków z fanami,
śpiywajom piosynki powstańcze. Oma i powstaniec sie no to dziwajom.*

OMA:

Pamiyntom, łojciec, jak żeś jechoł na koniu na samym przodku, naleś był wysztrychniony, galantny, jerrrrroonie... Matka aże blykała ślypiami za cia, fater... Dyc to pamiyntosz?

Powstaniec kiwie gowom, że pamiynto.

OMA:

Doczkej, dali ci poczytom, cozech jo, twoja cera, ło cia wyłonaczyła...

*Łoblykoł sie zowdy w mondur galowy ze wszyjskimi medalami, jake dostoł
za udział w powstaniach...*

To jakeś jechoł na tym łonym koniczku...

*W koźde norodne śwynto przemowioł gorko do zgromadzonych z balkonu
we centrum wsi.*

Tyś, fater, mioł rychtyk godane...

*Był śniego festelnie dobry godocz¹¹, przemowioł dugo i z przekōnaniym,
bez jakich ino zapisek.*

Tyś mioł łep, fater, jerzinie...

*Ludwik Pisarek był znany w cołkim krysie pszczyńskim ze swoich gorkich,
patriotycznych godek, potrefioł zruszać do płaczek hormija ludziów naros...*

¹¹ Mówca

Prowda to była, muter niyroz to spominała, jusz po twoji śmierci, łojciec...
Bo bez wojna to my mieli rychtyk ponywyrka... Nale ciebie juże z nami nie
było...

Powstaniec słazi po cichuśku z biny. Zapado ćmok, ino Oma je łoświetlono.

Czyto dali:

*Koźde norodne świynto za Staryj Polski szartowało łod mszy świyntyj w kościele
farnym we Woszczycach i tym łonym wielkim pochodym. Popołedniu był tref
miyszkańców wsi na sali w gasthausie tu Bańczyka na Królówce. Roczyli¹² hań
ludziów grochówkom z wusztem i ślonskim kołoczym. Wszystko to rychtowały
siodłoczki s Królówki.*

OMA:

Łojciec! Kajś je?

Cisza.

OMA:

Fater, kajżeś poszeł?

GŁOS POWSTAŃCA ZZA BINY:

W 1918 roku, w grudniu, kej ksiynża larmowali¹³ z ambon, ize to je grzych
śmiyrtelny, jak kto niy pońdzie welować do konstytuanty niymiecki, jo żech
namowioł ludzi, coby niy szli. Łorganizowolech mityngi we Suszcu, Zgoniu,
Gostyni, Orzyszu i we Woszczycach. Przyszło hań z tysionc ludzi. I mie su-
chali, pieronie, niy tych maślanych, niymieckich farorzyczków.

Na bina włazi hyrski¹⁴ powstaniec.

¹² Częstowali

¹³ Wołali, krzyczeli

¹⁴ Dumny

OMA:

To je prawda, to mi muter prawia... Pamiyntom...

POWSTANIEC:

I juzech nazbiyroł z dwiesta chopów, kierzy chcieli sie strzylać ło ta Polsko. Podzielilech ich na sekcje, plutony... I dali zech namowioł inszych za tom Polskom... W Godni Świynta w 1918 roku, jakech wołoł do ludziów, co trza Polszcze przoć, stoło wele mie sześcdziesiynciu grynszuców¹⁵, z karabinami i handgranatami... Łostatek niymieckich wojoków walił śniygem w łokna gasthausu... Nale co to dało? Nasi ludzie sie niy boli. Przyšli... Sala była pełniuszko... Suchali mie, pierzinie, suchali... Nojlepszy mityng, na jakim zech agitowół za Polskom.

Na bina włazom grynszuce i łobtoczajom powstańca. Oma wylynkano stowo.

POWSTANIEC:

Jeszcze lepi było, kej Nymce wyłonaczyły dupny wiec we Suszcu dło Polokow, po polsku. No jo tam poszeł, we sali łu Badryjana to było. Rosprowioł hań i namowioł za Nymcami jakisikej wojok. A jo godoł ino ło tym, co Polska nom przaje i zech wygroł. Ludzie mie poparli i wygonili tego łonego wojoka z jego kamratami. Farorz Pampuch som, pieronie, citnoł, bo sie boł, co go wyniesom... Wiela by szło ło tym godać... Jeronie...

OMA:

Wiy, łojciec, żeś jeszcze kupa tych wieców wyłonaczył...

POWSTANIEC:

Prowda...

OMA:

Tyś i sondów sie niy boł... Dyc cia w Mikołowie stroszali, co cia zamknom w hereszcie skuli tego, coś sprowił¹⁶ trefiyni¹⁷ pełowioków na grubie Brada, we cechowni...

POWSTANIEC:

Prowda prawisz, dziołcha...

¹⁵ Członkowie niemieckiej formacji zbrojnej, Grenzschutzu

¹⁶ Zorganizował

¹⁷ Spotkanie

OMA:

I jużaś polsko władza żeś tukyj skłudzoł. Dyc w 1918 roku, w grudniu, zrychtowołeś z inszymi kamratami Rada Ludowo w Warszawicach, kerej żeś łostoł prezesym...

POWSTANIEC:

Pra, szli my łod chałpy do chałpy i sbiyrali datki na łodbudowa Polski na Górnym Ślonsku.

OMA:

I tak sie zaczyno przygotówka do powstano...

POWSTANIEC:

Spomino mi sia, kej my lipy sadzili...

OMA:

A skisz czego, łojciec?

POWSTANIEC:

Kożdo lipa była kej powstaniec, kery szeł walczyć ło Polsko, była blank piykno i młodo... Fajnieste, gryfne synki kciały sie prać ło swoboda, ło prawo do zocnego życio tukyj, na swoji ziymie...

OMA:

Poczkej, łojciec, cosikej ci poczytom... Ło tym żeś mi erklerowoł, kej byłach mało – skond sie hań te lipy wziyny... Piszom ło tym w „Powstańcu”, takim starym cajtungu, kery żech niydowno znodła... Poczkej, kajsikuj tukyj żech to ciepła... Jezderkusie, podziwejcie sie, cheba sie traca...

Oma sznupie w szlufłodzie.

OMA:

Mom!

Oma łotwiyro cajtung, poprawio bryle i czyto...

Powstaniec zamor, niy ruszo sia...

OMA:

W łońsko niydziała łodbył sie we Woszczycach, w krysie pszczyńskim, szumny fest sadzynio pamiontkowych lipów w siedymnasto rocznica historycznyj chwile słożynio przysiyngi bez dwustu powstańców na ryncie komyndanta Pisarka. Podziolo sie to genau 3 kwietnia 1919 roku w lesie wele Zgonia na

Chlyburadzie. Siedymnoście lot tamu nazad dwustu powstańców z rejonu VIII POW Królówka ło północy skłodało hań przysiynga przonio Polsce.

Oma łodkłodo cajtung, zdyjmuje bryle i przeciyro łoczy.

OMA:

Łojciec, jo to pamiyntom... Wziones mie, swoja cera, pokazowoleś wszystko – kaj żeście przysiyngali. Spominom se to... Wielu hań fanów niyśli, a ludzisków z całego krysu naściongało... Starosta, fojty, organizacje i chóry, kapele i muzykanty rostomajte... Godali, grali i śpiywali ło tyj Polsce, co ło nia walczyli... Co miała festelnie przoć Ślonskowi i Ślonzokom, pierzinie... Wierzyliście, co tak bydzie, i chwała wom za to, coście sie byli ło nasza prziszłość...

Oma spoziyro na powstańca.

Stowo i wyciongo ku niymu rynce kej jaki mały bajtel, cerezka do łojca.

OMA:

Łojciec, dyć my do kupy te lipy sadzili... Spominosz se to jedna, tako krzywo, tyś mi jom pomog do dziury wsadzić i zakopać... A potem tako szuuumno sie srobiła...

Bina sie zećmiła. Oma stoi, niy dycho, ino stoi.

*Powstaniec tysz stoi, nale kej dońdzie ku niymu grupa powstańców,
łobruci sie ku nim, a łoni obtoczom go kołem.*

POWSTANIEC:

Karbidki my mieli, pamiyntom. Cima było... A my hań na Chlyburadzie we dwustu chopa stojmy. I przysiyngomy Polsce przoć...

*Powstaniec czyto rota przysiyngi, reszta za nim powtarzo.
Rynce wyciongnione. Powstaniec dowo fana jednymu z grupy,
łon bydzie przewodził. Żodyn nic niy godo. Grupa słaźi z biny.
Oma cołki czos dziwo sie na to z boku. Siado. Powstaniec stoi.*

OMA:

No ja, prowda, znom to... Prawiłeś ło tym łonym niyroz, łojciec... Ta przy-synga łobserwowoł niymiecki konfidynt, wojok Grenzschtzu ze Zazdrości, pra... Judosz jedyn, pierzinie...

*Na bina włazi grynszuc, stowo kole powstańca, dziwo sie na łonego,
marszczy brwie... Stojom chwila, mierzom sie wzrokiem.*

OMA:

Nale psinco ci srobili te chachorski podciepy... Łuciykżeś do lasa...

Powstaniec gibko śłazi z biny.

OMA:

A nos, lasoków, tak gibko niy znojdóm, pierzinie... Lasy tu u nos szumne... Tosz cie mogli szukać i szukać...

*Grynszuc rozglondo sie, udowo, iże czegoś szuko,
i śłazi z biny z tej strony, kaj na nióm włoz.*

Gównó znodli... Ani za piyrszym, ani za drugim, ani za trzecim razym pod Anabergym... Niy dali rady nom, Polokom. Przy plebiscycie jusz my wiedzieli, co ta Polska za niyskoro do Królówki i Woszczyc przidzie. A te niymiecki chachory, kierzi nos niypoważali, se stond póńdom. My ino chcieli być na swoim, a niy coby cudzi durch nom roskazowali... Dyc my tu gospodarzymy, tukyj na Górnym Ślonsku, pra?

Oma wyciongo heft z szuflody.

OMA:

Łojciec, jo to wszystko spisafa, coby ludzie wydzieli i coby niy zapodzioli pamiyńci ło wos, powstańcach... Ja, prowda, wojna to je przeklynty czos, nale przyłazi tako chwila, co sie inacy niy do pedzieć tym łonym, kierzi nami ponywyrajom... To było, minyło... Nale ludzie winnowaci wydzieć, cza-muşcie sie prali ło ta Polska, kiero Ślonskowi i Ślonzokom przoć miała, pra?

Powstaniec kiwie gowom i słazi z biny.

Oma zapolo świeczka, zećmiywo sie leko.

Oma siado i dumo.

OMA:

Mój łojciec był zamynczony. Musioł se som grob wykopać... Jezusie Nazaryjski!!! Niymsy, kierzy tu wylżyli w 39, łoni to wyłonaczyli... Ludwik poszeł s Królówki ku Wyrom, poszeł z tymi chopami, co na Chlyburadzie przysiongli bie sia ło swoboda... Chycili łonych... Bili, kopali... Bez miłosyrdzio... Niymsy jich katowali... Łojciec wykopać se grob musioł... Podpuszczali go: „Zawołej Heil Hitler, tosz cia puszczymy!”. Ludwik wiedzioł, co go i tak łubijom... Ryknoł: „Niech żyje Polska” – a te bezbożniki przestrelili mu nogi, pota rynce. A gowa rozwalili kolbami... I ino go przyciepli ziymiom. Skludzili my go pota i pochowali na kirchowie we Woszczycach.

Cisza. Oma zdmuchuje świeczka, wszystko gaśnie.

Kej sie zapolo światło (blysko), Oma klynczy, rzyko.

Powstaniec podnosi jom z klynczek. I przytulo.

Przaje, jak Polska Ślonskowi miała przoć...

Wojciech Szwiec

*Jak głupio czyni człek,
co z kałuży pije,
Nie widząc fontanny,
która w domu bije.*

Angelus Silesius, 1675

BINA PIYRSZO

*Na leżance siedzi Roman, jest to chop trocha glacaty, trocha rubawy,
trocha do żodnego nie podany. Kole 50 lot stary.*

*Roman siedzi przed telewizorym, trzymie w pazurach pilota i cyko.
Kawa już wypił, cygaretów nie kurzy, to mu sie trocha mierznie.*

*Do izby włazi baba kole 50 lot staro, ale jeszcze dość fajno.
Idzie pedzieć, że jest jeszcze 50 lot młodo, mianuje sie Aniela.*

*Tapczan, abo leżanka, stoi w izbie naprzeciwko telewizora.
Pomieszkani je tak zbudowane, że widać łokno i kawał placu za łoknym.
Widać droga, po kieruj roz za jakiś czas jedzie auto, i chodnik,
po kierym łożom ludzie – dość czynsto z psami, kiere sie czasym zatrzymują,
żeby sie wyjść. Nojlepij, jakby zamiast łokna projektowano tu przodzij nagrany film.*

ROMAN:

Nic nie grajom w tym telewizorze. Durś yno ło tych warszawskich gównach,
kiere im z omsów i gulików do Wisły wybiło.

ANIELA:

To pocykej yno.

ROMAN:

Jedno i to samo...

ANIELA:

Widza, że ci sie mierznie, idź sam do garażu abo do pewnice.

ROMAN:

Na wieczór pońda, nie byda piwa pił przed połedniym.

Łoroz pokazuje na telewizor.

ROMAN:

O! Wejrzyj ino! Zaś tego Gorola pokazujom, co z naszymy, ślonskij, listy sztar-towoł do syjmu. Szakieciorz!

ANIELA:

Zaczym żeś poszeł na pyndzyjo, godołeś, że to dobry chop.

ROMAN:

Bo powiadoł, że nie zawre żodnyj gruby, a jo chcioł pyndzyi na Bolesławie doczkać, a nie smykać się po Budrykach abo Wujkach. Terozki mom to w rzici.

ANIELA:

Gruba to nima cołkie życie, znojdź se jakiesikej zajyncie, można jako robotą. Łazisz zmierzły po chałpie i mie yno nerwujesz. Tu mosz cajtung osiedlowy.

ROMAN (*zły wyciągo rynka i chyto tyn cajtung*):

Dej ta hadra. (czyto): „Przy Plantach”? „Gazeta osiedlowo” zmiyniyli miano?

ANIELA:

Roman, pojakimu?

ROMAN:

No dyć nazywała sie „Trzidziestka”.

ANIELA:

Dwa lata tymu nos zdekomunizowali, a ty sie dziwosz? Nima już osiedla Trzydziestolecia PRL!

Biere krziżówka ze stoła i wychodzi z izby.

ROMAN:

Nima? I skuli tego cajtung tyż zdekomunizowali... i niy śmiy sie mianować Trzidziestka”? O jeronie! I co łoni tu pizsom? Wybory do rady osiedlowyj – szukomy nowego prezesa naszego osiedlo? Co za ciule! Czytałaś to, Aniela?

ANIELA (*z daleka*):

Nie słysza, co godosz, jestech w haźlu!!!

ROMAN:

Bydymy mieć sam na placu wybory! (czyto durś): Na szajsplacu za osiedlem nie bydom budować garaży. O, jest krzyżówka, można bydzie łatwo.

ANIELA (*wchodzi*):

Pojakimu nie bydzie garaży?

ROMAN:

Czy jo wiyw... Ekologowie sie nie zgodzili.

ANIELA (*siado kole Romana i chce mu wziąć gazeta*):

Dej mi tyn środek.

ROMAN:

Co ci sie ło te garaże tak chechle?

ANIELA:

Nie. Wcale, rada bych wiedziała.

ROMAN:

Jezderkusie, tak tu pizsom, richtik ekologowie sie nie zgodzili skuli tego, że psy z bloków nie bydom miały kaj chodzić srać i ten szajsplac, kaj miały stoć garaże, jest dło tych psów pierońsko ważny.

*Łoroz słychać ujadanie psa i słychać, jak po siyni schodami na dół
leci jakiś kundel i robi pierzynowe larmo.*

BINA DRUGO

*Roman siedzi przed telewizorym i ziywo, kole niego Aniela durś sztrykuje.
Z telewizora słychać głos jakigoś polityka, kiery tuplikuje,
że skuli LGBT terozki chcom bajtłom robić seksualizacja.*

OFF:

„Nie możemy się zgodzić na seksualizację naszych dzieci przez środowiska LGBT”.

ROMAN:

Bydom sie gozac bajtłom macać, skuli tego zesmolonego LGBT bydom same pederasty i zboczyńce.

ANIELA:

Ja. Ty sie na tym prawie znosz?

ROMAN:

Toć sie znom. Wejrzyj se na swoigo synka, chciałabyś, żeby mu wtoś tuplikowoł, kaj sie mo macać? Doczkej, aż Marcinek przykludzi jako lipsta. A nie chcesz wiedzieć, co zrobia, jak łona sie bydzie mianowała Łukasz abo Tomek!

ANIELA:

Musza ci pedzieć, że twój synek mo już dziewiyntności lot i psinco ci do tego, jak sie bydzie mianować jego frela. Jestech ciekawo, kaj łon sie zaś smyko!

*Za oknem widać zbliżając się do bloku postać – to Paulek z epom z Tesco.
Paulek włazi do siyni, klupie, a potym odmyko drzwiryza jak u sia.*

ROMAN:

Cześć szwagier, dobrze, żeś już prziszłoł, bo sie tu zaczynomy z Anielom wadzić.

PAULEK *(od progu)*:

Roman, cześć! Czytoleś cajtung?

ROMAN:

Ja. Łostatni roz!

PAULEK:

Pojakimu?

ROMAN:

Bo nazwa zmiynili i sie skuli tego gorsza.

PAULEK:

To je mało ważne. Ogłoszynie je ważne – czytołżeś?

ROMAN:

Ja.

PAULEK:

No i...?

ROMAN:

I co?

PAULEK:

Ty żeś jest nojlepszym kandydatym na szefa rady osiedla. Mosz dużo czasu, mosz prezencja, robiłeś na grubie i jeszcze dodom, że dobry z ciebie katolik, bo twój łojciec był kościelnym.

ROMAN:

Czy jo wiyom! Aniela, można tyn twój bracik dobrze godo?

ANIELA:

Łód kiedy wyście som takie kamraty? Paulek, ty mosz chyba we gowie nasrane i nieuklackane.

ROMAN:

Dej yno tyn cajtung, można tam pizsom, kaj sie trza zgłosić.

PAULEK:

Dyc jo cie już zgłosił, bo wiedziolech, że sie zgodzisz. Łostana szefym twoigo sztabu wyborczego.

ANIELA:

Ale to trza mieć trocha pojęcie o świecie, a tyn cep yno przed telewizorym siedzi. Romek, przeczytoleś można kiedy jako książka? Jak zech je z tobom od dwudziestu lot, toch cie jeszcze przy czytaniu niy widziała.

ROMAN:

Toć, czytolech tako nie za rubo – „Puc, Bursztyn i goście” – i musza ci pedzieć, że richtik nie była ciekawo. Jo mom za to szeroko wiedza o świecie, bo oglądom telewizor.

ANIELA:

Mosz poglądy polityczne choby urwany na borsztajnie kromflek: gupie, zacofane i żodnymu do szczynsio niepotrzebne. Siedz se, chłopku, lepij w doma. Nie musisz sie topać w kałużach i marasie lokalnyj polityki.

PAULEK:

Ciszewski tyż sztartuje! Już plakaty wiyszol
„Dobro osiedla twego tylo w rękach Ciszewskiego!”. Tak napisol!

ROMAN:

Bernat Cipa sztartuje?

PAULEK:

Nie godej na głos! Jego łojciec zmiynili nazwisko na Ciszewski jeszcze w latach dwudziestych.

ROMAN:

Jakby Poloki tu sam nie przyszli i nie zrobili porządku, to w co drugij chałpie by Cipy miyszkali na przemian z Chujami!

ANIELA:

Jak ty szpetnie godosz!

ROMAN:

Jo swoje wiym, mie to tatulek godoł. Jak na Gniotku łojce miyszkali, to żeby dońć do Cipów, trza było przynść bez Chujowe pole. Poloki prziszły,

nauczyły ich normalnyj godki i już żodyn nie chcioł sie tak mianować. Kożdy zmiynioł.

ANIELA:

Co ty to opowiadosz za stare pieczki!

ROMAN:

Bo Bernat Ciszewski vel Cipa to dziad zesmolony i cygon pierzyński! Jaa... a do tego komunista!

PAULEK:

Możno mu utrymy kichola? Jak wygrosz wybory, to pokożesz mu, wto na tym osiedlu rżądzi – dziad eli jego tasza.

ROMAN:

Toć! Zarozki ida sie zapisać, byda kandydatym opozycyjnym, zrobia tu sam porządek.

ANIELA:

Doczkej, doczkej, jak cie kole szynku po pysku wyszczylajom, to ci przyńdzie.

ROMAN:

Dyc sama godosz, że musza mieć jakiesikiej hobby. Jo we bloku pultów chować nie byda! Marki we klaserach tyż mie nie ciągnom. Jo musza działać, i byda działoł. Jak trza bydzie, to byda jak tyn nowoczesny poseł, kiery sejmik oddoł za wysokie stanowisko! Byda jak Lis! Uwidzicie!

PAULEK:

No to terozki jako działacz musisz zrobić analiza elektoratu.

ROMAN:

Mom ich w rzici. Łoni majom na mie głosować i szlus. Jo nie byda nic analizować, bo nie poradza.

PAULEK:

Beztuż musisz mieć swój wyborczy sztab. Jo byda twoim asystyntym, a Aniela bydzie malować plakaty. Aniela, co tak na mie filujesz? Dyc pomóż swojemu chopu, sam żeś przyrzykała przed farorzym, że na dobre chwile i złe. Terozki idom te dobre!

ANIELA:

Jo sie tego właśnie lonkała.

ROMAN:

To do roboty. No a co z Marcinkiyem, dyc łon tyż może nom pomagać! Na kogo mom liczyć, jak nie na swoja familio?

ANIELA:

Możno zaraz przidzie i nie bydzie sie długo smykoł.

PAULEK:

Koždy bydzie miał coś do roboty. Terozki trza pomyśleć, wto na ciebie bydzie welowoł. Na naszym osiedlu miyszkają pospołu i Ślązoki, i Gorole. Ślązokom musisz godać tak, żeby sie czuli jak u siebie. Dyc to je jeich haimat i sami muszom zadecydować, jak bydzie sie żyło na tym osiedlu, i żodyn tego za nich nie zrobi. Jednak Gorolom musisz godać, że som dlo społeczności fest ważni, a to, co robiom i godajom, mo wieli sens. Musisz im sie przychlybić i pedzieć, że Polska to jest bardzo dobry kraj i tuki tyż je Polska, tako Polska, richtik Polska od Hanysów i od Goroli.

ROMAN:

Jo dobrze wiyom, wto bydzie na mie welowoł! Koždy sam! Dyc żodyn nie chce, żeby tyn zesmolony, pierzyński ormowiec Cipa wygroł!

ANIELA:

Jo sama sie jeszcze zastanawiom, czy na ciebie welować. Na pewno za tobom bydom Paulek i Eelis, te dwa chopy, co miyszkajom nad nami, Krawczyki z naprzeciwka i Potyloki z drugigo sztoka. To chyba jedyni z naszyj siyni, kierym jeszcze żeś niy naubliżoł. Już terozki moga pedzieć, że Walino z trzecigo sztoku na pewno za tobom nie pońdzie, boś kopnoł do rzici jeji psu.

ROMAN:

Anielko, dyc wiesz, że jo nima rod tym zasranym psom.

PAULEK:

Ludziom trza pedzieć yno to, co sami chcóm usłyszeć.

ROMAN (*skruszony*):

To wom powiyom, że nie zagłosujom na mie tyż: Cila z drugigo sztoku i Faruga, tyn z trzecigo bloku. Ryczołech po nich, że ich psy srajom po chodnikach i pedzieli mi w łostudzie, żech je gupi i nima, żech miłośnikim zwierząt...

ANIELA:

Ja, ponoć żeś starego Farugi gonił i chcioł w niego tym gównym ciepać! Całe osiedle o tym godało!

PAULEK:

Bezuż muszymy ocieplić twój wizerunek.

Patrzy za łokno – idzie chodnikiem młody synek. Ciśnie ku siyni.

PAULEK:

O, idzie Marcinek, dopomoże nom.

*Za oknym widać synka w czerwonyj bluzie z kapucom, idzie ku siyni.
Obleczony jest tak, jak sie koźde młode karlusy oblykajom, czyli byle jak.
Chnet we antryjju otwierajom sie drzwyrza.
Synek sebylyko szczewiki i ciśnie ku izbie.*

ANIELA:

Marcinek, puć sam, łojciec musi z tobom godać.

MARCINEK:

Jo nic nie napochoł, pojakimu?

ROMAN:

Synek, chnet twój łojciec łostanie prezesym tego osiedla i w koźdym bloku, na koźdym sztoku musi wisieć moj bild z mojom gymbom i hasłem wyborczym.

MARCINEK:

Tata, jo cie prosza, nie rób cyrku. Jak jo sie na placu pokoźa, tako siara...

ANIELA:

Dej pokój, synek, dyć koźdy ci bydzie zowiścił, że mosz takigo ważnego łojca. Weź z meblościanki, tam na wyrchu je knipsaparat, zarozki zrobimy fotografka.

MARCINEK:

Mama, łosmól tego starego klamora, zarozki mu fajno fotografka zrobia moim mobilniokiyom.

PAULEK:

Roman, to idź sie przeblyc w ancug, yno weź wybiglowano hymda i binder.

ROMAN (*wyłazi z izby*):

Dyć wiyom, przeca nie byda łąził choby walcman.

BINA TRZECIO

*Siedzom w izbie Roman, Aniela, Marcinek i Paulek.
Marcinek ustawio statyw, a na statywie mobilniok.
Paulek siedzi przy laptopie i durś coś klepie choby na klawiyrze.
Aniela poprawio Romanowi binder, a Roman stoi choby mamlas.
Za łoknym widać porozwiyszane byle kaj plakaty wyborcze,
na kierych widać dziób łod Romana.*

MARCINEK:

Jo już je fertig, zarozki mogomy nadować na cołki świat.

PAULEK:

Jo tuki tyż mom pochythane. Roman, na twoim profilu zalogowało sie już chyba cołki osiedle.

ANIELA:

Jeronie... yno nie fanzol gupio. Cobyś jakij łostudy niy narobił.

ROMAN:

Spokojnie. Aniela, jo już je wyluzowany, zarozki im pokoża, wto tu rządzi!

PAULEK:

Pamiyntej, musisz ich tak fajnie cyganić, jak to yno ci z telewizora poradom! Zaczynomy, robi sie nieskoro. To sztart.

*Roman siedzi przed kamerą (mobilniokiym).
Na wyrchu obleczony w szakiet z ancuga, mo tyż binder,
za to poniżyj pasa mo galoty z owerola, kierych i tak w kamerze niy widać.*

ROMAN:

Witom wos piyknie roztomili miyszkańcy naszego osiedla. Nazywom sie Bedła Roman – znocie mie sam wszyscy. Raduja sie poparciym moich somsiadów, bestuż jestedch nojlepszym kandydatem na szefa rady osiedlowyj. Chciołech wom w poru słowach opedzieć mój program, jaki mom. A mom taki (wyciągo kartka i czyto): Chciołbych, coby rada do każdego czynszu dopłocała każdemu lokatorowi 50 złotych. To je program 50 plus. Piniondze te pozyskomy od tych, kierzy majom psy, kiere duś szczekajom na siyni i srajom po trownikach i szczajom byle kaj. Zrobiymy z tym porządek! Każdy zesmolony psiorz i jego zesmolony pies bydzie musioł co miesiąc bulić

nom 200 złotych, a kiery niy bydzie płacił, dostanie mietła i bydzie śmiało płac! Zrobimy z tym porządek!

Paulek macho rynkami, chyto sie za gowa i kiwo ku Romanowi.

PAULEK:

Miołeś przychlybić sie Gorolom, a nie straszyc!! Pieronie! Pieronie!

ROMAN:

Dalij! Uważom, że nasze osiedle jest i musi być otwarte na roztomajtych austryndrów i uchodźców, beztuż rod byda wszystkim Gorolom, kiere tu miysz-kajom. Zakoża im ubliżać. Bo najgorsze, co może być, to jak sie te nasze Gorole wykludzom nazot w boże strony i przidom Gorole cudze. Musza wom roztomiłe Gorole pedzieć, że tu jest Polska, i po to mój opa walczył w powstaniu, cobyście wy mogli przyjechać na Śląsk i pedzieć, żeście som w Polsce i żodyn element animalny ani jakiś zesmolony Hanys z ukrytyj opcji niemieckij nie śmiy wom ubliżać! Zrobimy z tym porządek!

ANIELA (*szepcze*):

Mosz to inaczyj napisane. Jeronie!

ROMAN:

Dalij! Kultura! Za moich rządów nie bydzie malowania po ścianach szpetnych słów. Koždy mo dbać o swoja godka. Nie można używać niemieckich słów! Tu jest Polska! Dzieci nie bydom już sie mianować Brajan abo Dzesika, yno Krzysiu i Małgoła. Śląsk jest polski, jakby tu Polska nie przyszła, to durś koždy by łąził bez Chujowe pole do Cipy, abo i nazot! Polska w sferze kultury nom dużo dała i mogymy z tych łask i dobroci korzystać! I korzystać bydymy. Zrobimy z tym porządek!!!

MARCINEK:

Tatooo, godosz niy na temat. Wszystko ci sie pomatlało!!!

ROMAN:

Dalij! Kolejno ważno sprawa dlo naszymy społeczności to je seksualizacja naszymy bajtli i młodzieży. Bloki nasze stojom przy samym parku, w kierym rozgrywo sie sodoma i gomora. Mamlajom sie na ławkach, macajom po krzokach. A niykiere baby poseblykane do badykostiumów, bez lato, leżom po próżnicy i wystowiajom rzić do słońca! Muszymy tam założyć monitoring i durś filować, coby im było gańba! A krzoki muszymy wystrzyc, coby

sie tam żodyn nie smykoł. Tak obroniymy nasze bajtle i nasze osiedle! Zrobimy z tym porządek!!! Głosujcie na mie. Bedła Roman!

*Aniela, Paulek, Marcinek trzimiom sie za łepy i nie poradzom spokopić,
wto Romanowi tych gupot do gowy nacis.*

BINA CZWORTO

*Siedzom na tapczanie Aniela, Roman i Marcinek. Mody mo otwarto komputra
i durś tam zaglądo. Aniela maluje pazury, a Roman sie jak zawsze nerwuje.*

ROMAN:

Marcinek, kiedy bydom wyniki?

ANIELA:

Tak żeś sie zblamił, a jeszcze na co liczysz?

MARCINEK:

Na razie tu nic nima. Ale tato, tato, doczkej!

ROMAN:

Ja? Godej, godej! Wygrołech eli niy?

MARCINEK:

Raczyj niy. Tu pizom, że zdobyłżeś dwa głosy...

ROMAN (*znerwowany*):

Dwa?! Marcinek, Aniela – kiery mie zdradził? Kiery niy głosował?

ANIELA:

Jo musiała coś źle pokrykłać.

MARCINEK:

Jo tam był trocha nieskoro i było zawarte...

ROMAN:

Jeronieeee!!! Cipa wygroł!!!

Loroz dzwoni mobilniok. Załomany Roman odbiuro na głośnogodającym.

ROMAN:

Nooo?

GŁOS:

Czy dodzwoniliśmy się do pana Romana Bedły?

ROMAN:

Noo, a o co idzie?

GŁOS:

Ja dzwonię z Warszawy. Obserwowaliśmy pana dynamiczną kampanię wyborczą, może zechce pan przyjąć zaproszenie i zasili swoją wiedzą i umiejętnościami nasz sztab wyborczy?

KURTYNA.

JEDNOAKTÓWKA PO POLSKU

Dejcie pozōr! Kōnszt yno dlo majorantnych! Roztoliczne sorōnstwa!

Irek Widera

Skuli tego, co akcyjo kōnsztu fōnguje we spōłczyństwie hiphopowcōw, persōny roz za kej frōnkajōm ōszkliwymi ausdrukami. Ōsobliwie idzie dosłyszeć wyrażynia: pierōnie, pierōmbol, psinco, nasarmater, pulok a inksze. Kej ftoś je imfintlich, niech sie zawczasu przitko uszy. Ku tymu bohatyry sļepiōm bez cołki czos biyr. Beztōż kej ftoś je fest imfintlich, niech sie zawczasu przitko uszy a zawrzy ōczy.

PERSŌNY (*stykñōm same przemianki*):

YNKOT, SHAUOT, VŌNFARA wszystkie persōny ōblyczōne jednako:
jake ōd ōwerola ze kapucami, bōnte
treski, poprzeciyrane galoty ze krokiym
wele klina, żarōwiaste, funkel nōwka
adidasy; Shauot mo na gowie szyldōwka
zwyrtniōno do zadku.

BINA – mikro sztuba we sztokowcu; ańfachowe naczynia – szrankwand, szeslōng, mikry tisz na krōtkich szłapach; zol wyłōżōny panelami bez tepicha; borajstwo choby za Gomōłki. Na fynsterbrecie flaszki, zasuszōno bluma we dorniczce, na zolu pociepane bele kaj roztomajte szwory; bajzel choby za Gierka. Yno na szranczku porzōmny adapter, a wszystkie fachy ōd szrankwanda nafolowane pļytami ze muzykōm.

*Vōnfara roztopiyrzōny leży na szeslōngu. Szrajbuje coś we hefcie.
Ōtwiyrajōm sie dźwiyrza i do sztuby ze szwōngiym bez klupanio wlazuje Shauot.
Vōnfara ciepие heft za szeslōng.*

SHAUOT:

Pyrsk, Vōnfara, staro pierdoło!

VŌNFARA:

Jo ci dōm pierdoło! Sie ōdezwoł... chop wyzgerny choby woda we szpilōngu!

JYNKOT:

Pie... pie... pie... Pierōmbol! Fōnfa... fafafafara! (*we dźwiryzach stowo drugi chop; trzimie żōłto epa z wymalōwanōm božōm krōwkōm; idzie dostyszeć szczyrkanie flaszek*). Tyyy... żyyjeesz? Jo... jo... jo...

VÖNFARA:

Jo! Jo bych mioł niy żyć? Chopie! Po jakimu?

SHAUOT:

Cołkie dnie w dōma wysiadujesz choby jako ōmka dziewiyndziesiōnt lot staro ze tōm... (*strzylo palcami*)... No! Ōsteoperōzōm!

VÖNFARA:

Ja, Shauot! Tyś je cołki jak ōsteoperōza!

SHAUOT:

Egal! Ōsteoperōza czy inksze pierōństwo! Cwek w tym, co ōd jakiegoś czasu niy idzie cie, Vōnfara, nikaj na sidlungu trefić.

VÖNFARA:

Ja! Ty, Shauot, sie lepiej niy ōdzywej. Sōm rajzujesz koždy dziyń podug jednego mustru, jednako choby kōń ōd starego Czymbki! Sztujc yno: arbajt, ōd arbajtu do Kusia, ōd Kusia do muter poobiadować, a na wieczōr do tego lebra Kyjzy poszpilać na kompie abo do tyj szajdowanij Nyszki ze Swadźbōwki poszpilać na czym inkszym...

SHAUOT:

Tōż terozki smolisz, Vōnfara, kej praśniynty! Można i mōm cołki dziyń na folowany, nale miarkuja przy tymu, co je louz na sidlungu. A już fest osobliwie, co sie wyrobio u kamratōw ze manszaftu.

JYNKOT:

No a jo... jo... jo cie tyyyż cho... ooo... pie niyyyy wiiiiiduja. Mo... mo... mo... mosz yyyyyfner?

SHAUOT:

Na pierōna ci yfner do biyra we biksie?

JYNKOT:

Joooo dziisiej fla... fla... flaszkoowe lajstnōł.

SHAUOT:

Jynkot! Mosz ty wszystkich dōma? Flaszkowe piynć czeskich drogsze ōd takigo we biksie!

JYNKOT:

Ja... aaa. Mo... osz reeeecht, nale fla... fla... flaszkowe stoło we aaa... aisszranku!

SHAUOT:

Ty sie piźnij w dekiel, Jynkot! Mōmy nowymber! Kebyś zaczōn ślepać tyn biyr na placu, toby ci ôd szlagu pysk do flaszki przimorz!

JYNKOT:

Na... na... na drugi roooz sōm sie za... za... zaleecisz dooo Bieeedry! Ciu...
ciu... ciu...

SHAUOT:

Dowej tyn biyr, a niy ciurlikej mi sam choby ćwiyrbel!

JYNKOT:

A yyyfner?

SHAUOT:

A na pierōna ci yfner?! Zymby mosz? A ty, Vōnfara, skoż mi yno, cōż tak szkryflosz?

VōNFARA:

A tam! Psinco niy szkryflōm!

SHAUOT:

Vōnfara! Można mōm pora kilo za tela, nale ślypia mōm dobre! Heft żeś pociępnōł wartko za szeslōng, kej my wlazowali. Nale tyn filok cie wyzdradził... Chopie! Jo żech cie niy widzioł ze filokiyem w gorści, ôdkōnd cie wy-
cieplei ze arbajtszuli we dwatysiōnczym drugim!

VōNFARA:

Tyś je ale świtniōny, Shauot! Ja! Jak jo we dwatysiōnczym drugim już kłod piyrsze rymy, to ciebie jeszcze fatry do szuli ôdkludzać musieli.

SHAUOT:

Ciebie się, Vōnfara, rymy ze rymōm pofyrlały!

VōNFARA:

Dej pozōr, Shauot, cobych nie musioł spōminać, za kim na placu wołali Ciōmpa!

SHAUOT:

Wartko przestali, kej poczuli siyła szlagu (*dziwo sie bez chwilka na zaciśniyn-to prawica*)... Ô! A lewyj to jo sie sōm boja. Fto sie niy pochtoł zawczasu, mioł tref ze jednōm eli drugōm.

JYNKOT:

Jo... jo... jo tyż to wiidzioł!

SHAUOT:

O! Jynkot tyż to widzioł!

VÖNFARA:

Nale co?

SHAUOT:

No! Tyn heft, kery terozki leży zamotlany we pajynczyny za szeslōngiym!

VÖNFARA (*bez chwileczka woży, co ôdpedzieć*):

Heft?

SHAUOT:

Niy rōb się gupim, Vōnfara! Niy ma cie na sidlungu, dekuješ sie dōma, uni-
kosz kamratōw. Co je louz? Zaš cie naszło?

VÖNFARA:

Naszło... (*wezruszo ramiyniami*) A eźli?

SHAUOT:

Jerōnie, Vōnfara! Tyś je ôporny choby Jynkot na robota! Godej ofyn!

JYNKOT:

Nooo, po... po... pochwool sie. Ôoonaczysz co naaa JuuuTuba, pra? Zee Ca-
aauberym?

SHAUOT:

Ja! Wy tak zowdy po cichušku, nic wielgigo, a za chwila... Dup! I szlagier fōn-
guje bez haltōngu bez pora miesiyncy! Wiysz... tyn ôstatni wasz kōnsek durch
boruje mi mōzgownica! (*napoczyno gymbōm udować szlagcojg*) „Niy mōmy
krzideł i beztōż niy furgōmy. Niy mōmy krzideł, blank nic niy mōmy. Niy
mōmy aureole i szat biołych niy mōmy. Sztujc sie ôbalōmy, i sztyjc zaš sto-
wōmy. My sōm ludzie, niy anioły, choby jo, jo i ty”... Jerōnie! Za! Gry! Fni! Ste!

JYNKOT:

Ja! To bōł ale sro... sro... srogi szlagier!

VÖNFARA:

Weż ustōń, Jynkot! To bōło za starego piyrwyj! Cauber sztudyruje, a jo... Jo
mōm terozki blank frysny ajnfal...

SHAUOT:

Co ty godosz? Ôszydzisz nasza muza! Pierōmbol! Chopie! „Klangoholika” to
je przeca Twōj bajtel! Piytnoście lot nasarmater pōndzie? Weż ustoń! A Cau-
ber co na to?

VÖNFARA:

Caubera widziołech ôstatnio bez lato! Cis wysztiglowany na wielkie ze takōm
jednōm frelkōm...

JYNKOT:

Niyyy wierza! Ca... ca... cauber terozki do ko... ko... kościooła lazuję?

VÖNFARA:

Kebyś uwidzioł ta frelka, to tyż byś sie nawrōcił! Padōm wōm. Warto grzychu!

SHAUOT:

Niy wierza!

JYNKOT:

Joo tyż!

SHAUOT:

Niy wierza, co chycieś sie czegoś inszego! Klangoholika fōnguje bez piytnoście lot! I ty chcesz to terazki pociepnōnc? Wyzdradzisz kamratōw a nasza muza?

VÖNFARA:

Niy! To yno taki ainmal hib. Nale trufōm, co bydzie ôd tego lepszyjszy geld!

JYNKOT:

Ja! Sro... sro... srooogi?!

SHAUOT:

Przestōn fandzolić, Vōnfara, bez kwiotki, yno godej ofyn, cōżes snokwił!

VÖNFARA:

Gańba mi trocha. Bydziecie sie potym lachać sy mie.

SHAUOT:

A wela my sie znōmy, Vōnfara? Bezma ôd kolybki. Jo niy ma przeca pośmiywny...

VÖNFARA:

Nō dobra!... Kōnszt rychtuja!

SHAUOT:

Ha ha ha!!! Posmoliło cie już na fest, ja? Ty? Kōnszt?

JYNKOT:

Ja... ja... jaaak tyn... Feeedro?

VÖNFARA:

Fredro! Spōmniało mi sie ô tym na ôstatni driker...

SHAUOT:

Ja! Zicołeś sie sam we tyj sztubie i ôroz ci sie spōmniol Fedro?!

VÖNFARA:

Fedro?! Fedro, niy Fedro, Shauot! Tyn, co szrajbnōł „Zymsta”!

JYNKOT:

A niyma... Ma... Makuula to szra... szra... szrajbnōł? Czy... czy... czyto-
ołech...

VÖNFARA:

Makula szrajbnōł „Pomsta”, a Fredro te piyrsze!

SHAUOT:

Doczkejcie, chopy, yno, bo coś nōm sie ta godka robi fest wodnito! Mio-
leś nōm, Vōnfara, wytuplikować, po jakimu ci wpod do gowy tyn pieroński
kōnszt?

VŌNFARA:

Skiż tego, co musiolech wysiednōnć ze busa za lasym na Kamiōnce za jsca-
niym.

SHAUOT:

Jo cie zaroz pizna, Vōnfara! Możesz mi wyklarować, co mo jscanie na Ka-
miōnce spōlnego ze Fredrōm?

VŌNFARA:

Ze Fredrōm? Dej pokōj tymu chopu! Mie przy tymu jscaniu na Kamiōnce sie
spōmniało, co óńskiego roku, jakoś dwa tygodnie przed Godnimi Świyntami,
trefiłych do tyjatra...

SHAUOT:

Ja... Do tyjatra?... Weż ustōń, chopie! Pogrōnzosz sie coraz bardziej!

VŌNFARA:

Cōż ci to taki dziwne?

SHAUOT:

Ty a tyjater? Ja! Yhm! Pryndzjy modroka Pestki we szalu Gōrnika by szło
trefić!

VŌNFARA:

Niy bydź podśmiywny, Shauot! Bez cufal hań trefiłych! Suchej! Matoush...
Wiysz kiery?

SHAUOT:

Tyn lajermōn, co hań downij przeōnaczył szlagier Jona Kyrzka na rap?

VŌNFARA:

Tyn sōm! To ón terozki ónaczy nowo nuta. I ódezwoł sie do mie bez messa.
Umyślił sie mieć roztolicznych autorōw. No i zeszi my sie cuzamyn u ónego
na Paderewie...

SHAUOT:

Doczkej yno... Jako autorōw? To Matoush niy poradzi szrajbować?

VŌNFARA:

Poradzi, nale... To mo być płyta nagrano yno blank po naszymu. A wiycie,
po mojemu to Matoush szrajbuje tak bardziej po wasserślōnsku. U ónego to
tako bardziej gwara ślōnsko niżli echt godka.

JYNKOT:

Jaaa! Naa kneefel pa... pa... pado guuzik. Jooo to wa... wa... wartko wy... wy... wychyć!

SHAUOT:

Jak ty, Jynkot, niy ustoniesz nōm pauzować, to braknie biyra, zatym sie do-wiyemy, kaj tyn pieroński tyjater ôd Vōnfary!

VŌNFARA:

Ôba mi sztyjc pauzujecie! U Matousha do szwortyj nic my niy wymyndy-kowali. Za to kista tyskigo roz dwa sie rozeszła. Ftoś zaszoł do skłodu, ftoś ikszy dobył z rukzaka jakoś parfinowano gorzałka, a mie to niy podłazi. Matoush siod do klawiyrza i ôdfurnōł na szlag. Zista a Karasol zacзли zoly-cić we ece, Jon śpiywać te swoje blusy, a Achim ze piyrszego Mauser⁴³ coś zakurził i zacžōn deklamować Majakowskigo. Posiedziōlech śnimi jeszcze chwilka i sebrofech sie na cug. Ôd Paderewy na bana doś daleko, a mie już na smyntorzu na Francuskij po tym biyrze zacžło ciś na wyntil.

SHAUOT:

Ty zaś ô tym jscaniu! Trza bōło...

VŌNFARA:

Ja! Na kerchowie pod dynkmalym?!

SHAUOT:

Do bibliotyki trza bōło wlyż ze jscaniym...

VŌNFARA:

Ja! Do bibliotyki?! We ôwerolu? Czyś ty ôcipioł, Shauot?

SHAUOT:

A cōż to takigo? Taki jedyn w ancugu pod bindrym maratōny loto. Po moji-mu taki ôblyczōny na szportowo mo prawo lazować we ôwerolu do biblioty-ki, pra? Godej, Vōnfara, po jakimu żeś do tego tyjatru trefił?

VŌNFARA:

Dyć ci klaruja bez ôstatnie piyńć minut! Iże mie jscanie brało i wiedziōlech, co na bana na zicher niy zdōnża doniyś, a na Francuskij a Jagiellōńskij same stawiynia. Żodnych krzokōw. Naôbkoło yno same latarnie i tulma na bussz-teli. A ku tymu mi sie zdo, co jeszcze kamerujōm wele tych wszystkich sro-gich amthauzōw. Padōm wōm, gańba puloka dobywać, a jeszcze wyynkszo popuścić do galot. Tōż krocza wartko, skurczōny choby mie heksynszus trefił. Nale ôto dziwōm sie, po lewicy... co mōmy?

JYNKOT:

De... de... DecyMBER Palac!

VÖNFARA:

Hipnoza! A hań gryfny wychodek! Urial, ausgus, woda, mydło. Same luksusy. Ciepło a wõnio. Wiym, bo my ze Cauberym hańdownij roz za kej lazowali do Hipnozy na sztudyntki filować.

SHAUOT:

Hipnoza! To wiym kaj! Wele tego epnego farorza!

JYNKOT:

Fa... fa... faroorza?

SHAUOT:

Tyn taki srogi dynkmal na pøjstrzodku placu. Chop w dugich szatach dziwo sie na stawynie...

VÖNFARA:

Tyś je ale gupi Shauot, ja! Dyc to je Korfanty!

JYNKOT:

Koorfanty bõł fa... fa... fa... farorzym?

VÖNFARA:

Jakim farorzym?! Zawrzyj sie yntlich, Jynkot!

SHAUOT:

A kiery normalny chop lazuje w takich dugich szatach? Yno farorze a prince za starego piyrwyj. Nale tyn õd dynkmala na żodnego princa niy ma podany.

VÖNFARA:

Artysta, kiery tyn dynkmal õbcyrklowoł, usõndził tak pokozać Korfantego i szlus!

SHAUOT:

We szatach? Te! Korfanty bõł LGBT?

VÖNFARA:

We takim dugim mantlu, niy szatach! Chopie! Mie to egal! Można to je yno tako alegoryjo? Wiysz jako? Można wyrobiocz chcioł ukozać, co Korfantomu lang zima bõło, kej õnego wywiezli do tyj Berezy... A można ganz ańfach tyn rzeźbierz niy poradził do porzõndku galot a strzewikõw wyõnaczyć i beztõż woloł je schrõnić!

SHAUOT:

Smolić chopa! Ty mi sam lepiej godej, co z tym tyjatrym, a niy bydziesz sie terozki zastawioł jakimś dynkmalym!

VÖNFARA:

Toż suchej a sztyjc niy pauzuj! Cisna wartko bez tyn plac dyrekt ku Hipnozie, klamkuj, a tukej zawarte na sztyry spusty! Pierõna kandego! Filuja wartko

na wszystkie stróny i widza, co tulma gōwnym wyńściym wlazuje rajn do DecyMBER Palaca. Aby tela! Padōm, cisna hań, bo we takim srogim stawiyniu musowo bydzie jakiś ôtwarty haździel. Wartko po słodach na wyrch, hań, kaj lazuirom te wszystkie ludzie. Dalij na prawica. Przeciskōm sie bez ta tulma. Smolić, co jo jedyn we ôwerolu, a inksi w mantlach. Ciśnie mie jak pierōn, jeszcze chwilka i popuszczza. Filuja za dźwyrzami ôd haźla i bez cufal wlazuja na jakiś sztand. Sztuchōm sie rantym plata ôd szrajbtisza we pacharzina, czy pacharzinōm ô plat. Egal! Na zol ślatuje pora buchōw, a jo prōbuja jakoś wyzgernie to, co jeszcze furgo, pochytać. Jedyn buch chytōm nale niygramotnie i prawicōm ściepuja przy tymu trzi inksze. Ku tymu świtōm te, kiere pospadōwały przodzij. Tako frelka we strzewikach na wysokim kromfleku ô mało wela niy ôbklojzła, kej nastōmpiła na jedna. Za sztandym tyrczy taki chop we siwym cwitrze i ze srogōm machōm buczy coś, co mōm sie dować ale pozōr. A dyc jo sztyjc dowōm pozōr. Jak jo bych sie niy dowoł pozōr, to downo by mie jakie chachary pogōniły. Juź mōm chopu frōnknōnc jakim ausdrukiym, nale akuratnie bez cufal widza dźwyrza ôd wychodka.

SHAUOT:

A jo dalij, Fōnfara, niy widza, kaj tyn tyjater!

VÖNFARA:

Doczkej, chopie. Juź widza te dźwyrza, juź chytōm za klōmka, aże ôroz czuja na plerach czyjaś gorść. Zwyrtōm sie dopolōny i widza srogigo glacatego chopa we brylach, kiery chyto mie za ramie i kludzi ku takimu ôkiynku. „Pan zostawi kurtke w szatni”, pado. Dziwōm sie na chopa. Piyrszy roz ônego na ôczy widza, nale dwa razy taki jak jo, gorści choby pecynki, a macha lagramyncko, kejbych ônymu fatra cyjōm zatrzasa. Wadził sie z takim niy byda, pitać tyż ciynżko, bo mi zastawił cołki tyn wōnski antryj. Haździel coroz dalij, bo chop mie ciśnie ze szwōngiyem przed sia ku tymu ôkiynku. Myndykuja wartko, co je sam tak rychtig louz. Filuja naôbkoło. W cołkij siyni wōnio fest roztolicznymi parfinami, a ôdy mie ciōngnie biyrym, cigareta-mi a przepocōnym treskiym. Jakeś chopy w szaketach pod bindrami, gryfne baby ôblyczōne w szumne klajdy choby na niydzuela. Żodnego larma, szkamarajōm yno, witajōm jedyn drugigo, rozdowajōm kusiki, roz za kej forskejōm śmychym. Padōm wōm, zocnie a szykownie choby we kościele na wielkim.

SHAUOT:

Tego niy poradza za pierōna spokopić! Jak idzie dziyń w dziyń lazować we ancugu? Przeca to je fest niyzdrowe. Binder ciśnie na karku, hymda przy sztulpach lang uciorano i na zicher pacharziny sie poradzōm przepocić. Taki

ôwerol je przeca bardzij porynczny. I ô wiela bardzij szykowny. Jednako zdatny do arbajtu, na szpilplac, na zolyty, a na impreza tyż!

VÖNFARA:

Mi sie zdo, co te chopy sôm rade tymu ôblyczu. Za to mie wtynczos niy ma nic do śmiychu, bo haździel coroz dalij, a mie już blank napiyro. Chop mie uwziyncie ciśnie i durś coś tam smoli ô ôddowaniu jupki. Padôm sie, chop niy dowidzi abo co, bo jo przeca żodnyj jakle niy môm, yno tyn ôwerol ze kapucôm. I tak rychtig to jo przeca sam yno wloz, coby sie wyjscać i zarozki ciś dalij na cug. Piyrszy roz widza, coby do jscanio trza bôło sie sebylkać z wiyrchnigo ôblyczo. Nale môm gyfil, co z tym chopym niy bydzie żodnyj godki. Przebiyrôm szłapami choby mody źrebok. Jeszcze chwila i bydzie forbaj. Cołki glik, co ku tymu ôkiynku niy bôło gynal raje. Przeciepołech mobilniok i portômel do kapsy w galotach i ściepuja ta moja jakla. Pod spodkiym miołech drugo, jednako jako ta wiyrchnio yno bioło i ze szrajbônkiym, nale padôm sie, co tyj już niy sebylkôm...

SHAUOT:

Côż ty nôm sam fulosz! Przodzij ô dynkmalu, a terozki ô szworach. Godej, co dalij?

VÖNFARA:

Ô dynkmalu to tyś napoczôn godka! Dalij cisna drab do wychodka! Chop sie dziwoł na mie sleksza zgorszony, nale mie już wszystko bôło egal. Miołech glik, bo we pojstrzodku blank prozno i môm gumina, a niy rajsfeszlos eli knefle do rozpinanio przy bôntku. Chopie, ani sie niy poradzisz uzdać, co to je za folga... kej sie tak stojisz przy urnale i...

SHAUOT:

Fônfara! Przedstow sie, co jo tyż kej ôwdy używôm wychodka!

VÖNFARA:

Ja! Nale wtynczos to jo zdônżył na ôstatni driker. A lołech bodej...

SHAUOT:

Ty mi, chopie, terozki niy klaruj, jak sie cedzi po poru tyskich. Z tym jestech ôbeznany! Ty mi godej, kaj tyn tyjater!

VÖNFARA:

No! Dyc ci tupluj, Shauot, ôd samego poczôntku, co tyn cołki tyjater bôł we haźlu! Na ôpy! Môm padać! Haździel bôł we tyjatrze!

SHAUOT:

We tym Hipnozie je tyjater?

VÖNFARA:

Tyż sie udziwiłech. Kortez czy jakoś tak... Suchejcie, co dalij! Wylazuja ze tego wychodka, a tu czeko na mie zaś tyn glacaty. Wrażo mi do gorści žetōn ôd szatnie i ciśnie w drugo strōna niżli wynście, na taki winkiel. Pado mi, co mōm sie ale uwijać, bo tref sie zarozki napocznie. Durś niy bōłech przeświadczony, co sam je tak rychtig louz, nale uzdołech, co terozki niy musza sie nikaj uwijać. Cug ô siōdmuj tak by mi już pitnōł, a mōm siedzieć na banhowie i dziwać sie na tych roztomajtych elwrōw, to siedna sie sam, w ciepłym, pofiluja po ludziach, po tych wszystkich gryfnych frelkach, a można trefia tyż jakigo swojoka. Tyjater to żodno atrakcyjo, nale kej mi sie już trefiła tako przileżytoś, a jeszcze na faty, to padōm się: ôstana bez chwilka. Słyszōłech tyż, co kej ôwdy we tyjatrze idzie ôbejrzyć coś do śmiychu, a jak byda miōł glik, to możno i sagie baby. Yntlich, jak mi sie zmierznie, to wezna i pōnda weg.

SHAUOT:

Niy godej, co ci tak blank po dobroci ftoś tyjater naporynczył...

VÖNFARA:

Ja, po dobroci... Yhm... Tyś ani niy widziōł tego glacatego pakra... Wkludził mie za taki forhang i skozōł cajgerfingrym wolny zic, kajś we ôstatnij raji. Małowiela lichtu, a zala nafolowano. Zatym trefiłech na plac, pora razy świtnołech kōmuś w szłapa, jakiś babie zdeptōłech strzewiki i yntlich siodłech na klin takimu bulatymu chopu.

JYNKOT:

Aaa te sa... sa... sagie baaaby?

VÖNFARA:

Sagie baby? A, dej pokōj. Ani jednyj. Za to suchejcie! Zarozki na poczōntku, kej yno sie napoczōn tyn tref, na bina wyloz taki ôszrōniały sleksza, sztyjc roześmiōny, modernie a szykownie ôblyczōny chop w ancugu. Sie ôkozało, co ôn napoczōn tyn cołki fest. Zatym sie rozfechtowoł, to fuloł, co je rod i mo w zocy i takie tam inksze farmazōny. Nale, suchejcie terozki! Kōńcym pedziōł, co mōmy sam we Hajmacie ale moc autorōw, kiere szrajbujōm yno po ślōnsku, a niy mo fto szrajbować po polsku. Inkszy, tyż we ancugu, nale taki bardzij bulaty, a blank glacaty, wajōł ôd biny, co mało je echt dramatōw. Takich cniwych a uwoźnych. Do myndykowanio eli do płaczu. Myśla sie – mało! Po mojimu cołki świot to jedyn wielki dramat! Nale padōm wōm, co lamyncił takim gryfnym, głymbokim gosym, aże frelka po mojij prawicy napoczōna cinyżyj dychać. Jeszcze troszyczka tyj godki i miōłech gyfil, co bydzie fuczyć a stynkać na fol. Nale zaroz wyloz na bina taki wyynkszy, ze

czornôm welôm zaciepnijntôm na czoło. Tyż miół gryfny klang we gosie, nale przy tymu frelka już ustała kwiynczeć. Tyn drugi tymu piyrszemu przykwolił a padōł, co zrobiła sie terozki tako moda, coby szrajbować yno same kōnszta do śmiychu. Ańfachowe komedyje. Mocka tego, a wiynksza zouwizou ô rzić roztrzaś. Padoł, co ônymu sie widzi taki ekstra kōnszt, kiery by szło wystawić na binie we tym epnym tyjatrze na katowickim ringu. Wiycie, hań rajzuje banka. Dalij taki inkszy chop we cwitrze podany na Szōna Kōnery'ego, yno ôn sie mianowoł jakoś tak bardzij po norwesku. Fil Cwist czy jakoś tak... To ôn padoł: „Szlus! Dowōmy nowe prawidła! Na bezrok bydzie kōnkurs na dramat we jednym akcie po polsku!”. Na to taki inkszy, mikry chop we brylach aże hopsnył i pedzioł, co jak yno zyndzie ze biny, to ściepnie szakiet a stanie na gowie, tak je cołki fōrt. „Doś już mōmy tych ślōnskich kōnsztōw. Siedym buchōw my wypuścili i styknie. Terozki bydymy szrajbować a wydować, ale po polsku!” – ôdezwoł sie jeszcze inkszy glacaty chop pod maskōm, nale ôn zarozki na poczōntku trefu sloz ze biny i ônego ani niy bōło widać.

SHAUOT:

A tyś się, Vōnfara, wtynczos umyślił sztartnōncć we tym kōnkursie?

VŌNFARA:

Chopie! Tam idzie milijōn ugrać!

JYNKOT:

Pie... pie... pierōnie! Milijōn?!

SHAUOT:

Ja, yhm...! Toż terozki to już nōm sam nudle wiyszosz!

VŌNFARA:

Przeca bych wos niy cyganił! Wtynczos taki jedyn autor tela dosto! I to za trzeci plac!

SHAUOT:

Ja! Cołki melōn?

VŌNFARA:

No dyc! Padōm wōm! Leki geld!

SHAUOT:

Nale to trza mieć troszyczka grajki do szrajbowanio eli ôbcyklowany jakiś sprowny muster. A ty yno poradzisz rymy frōnkać, i to echt ze gowy bez szrajbowanio.

VÖNFARA:

Chopie! I tu żeś sie szajsnōł, bo jo już szrajbnōł jedyn kōnszt, nale mi sie zdo, co ōn je troszyczka podany na taki inkszy, co ōnego już kajś grali... Zatyń niy wymyndykujaj lepszyjszego, tyn zmianowōlech: Hochcajtfajer.

JYNKOT:

To je... je... je po polsku?

VÖNFARA:

Przeca godōm, to yno arbajtmiano! Nale przeciepać to ajnfach na polski niy idzie.

SHAUOT:

Po jakimu?

VÖNFARA:

Po polsku by sie mianowało „Wesele”, pra? A to już hańdownij grali.

SHAUOT:

Ja! Jo to znōm! Bōł taki film! Hań durch sie yno prali a ślepali gorzołka. I moc sorōńsko godali. Nojbardziej taki mikry z dugszymi kudłami. Jako ōn sie mianował...

JYNKOT:

Ku... Ku... Kubik?

SHAUOT:

Ja! Kubik!

VÖNFARA:

Padosz sorōńsko godali? To niy. To hań niy przyndzie dalij. Wiycie jakie tam zocne persōny do takigo tyjatra przilazujōm? Forsztelujaj, co takie persōny niy pierōniōm jednako kej my. Kej już sie ponagrodzali, to napoczyni czytać ōd biny bezma trzi kōnszty. I przedstowcie sie, co jo niy dostyższōł wtynczos bodej jednego sorōństwa.

SHAUOT:

Smolisz! Sōm takie ludzie? Dzisiej bajtle na mamlasplacu siarōniōm choby werbusy z wulchauzu. Aże jo sōm niykierych ausdrukōw niy znōm!

VÖNFARA:

Nale przeca my inaczej niy poradzymy! Jako mōm szrajbować? „Rudo Ślōńsko, mōj faterlandzie, tyś je kej zdrowotnoś. Wela cie trza mieć we wercie tyn yno sie dowiy, fto wybnōł fort do Rajchu...”.

SHAUOT:

Godoleś, co mo być po polsku!

VÖNFARA:

No ja! Toż „Rudo Śląska, moja ojcowizno, ty jesteś jak zdrowie. Ile jesteś warta ten tylko się dowie, kto wyjechał do RFN”... Niy, no! Chopie, ty to słyszysz? Jaki to mo faleszny klang?

SHAUOT:

I mi sie zdo, co jo już coś takigo hańdownij kajś słyszol...

VÖNFARA:

I skuli tego mōm utropa ze tym szrajbowaniym. Zrychtować taki porzōmny kōnszt to niy ma tak rucug! Czytolech trocha ô tym. Ponoś dobry kōnszt to taki, kaj je ździybka kwie, troszyczka płaczek, leko do śmiychu. Sowym, rozchodzi sie ô to, coby ukozać cołki wachlyrz roztomajtych przitrefiyń, a ôsobliwie tych niycherskich. Tymu ludzie zowdy przajajōm, a sōm moc ônym interesantne. Wiycie jako? Pożōndliwość, zowiść, ôszyda, cygaństwo, ôbmiłowanie, pragliwość, mordyrstwo, wichlyrstwo... To je zowdy ale fest powobne. Wela bardzij ôszkliwe, lagramynckie, tym lepszyjsze. Tydziyń sie już zwyrtoń choby brynoł Kwoska na karasolu. Sztyry kartki pokryklane i blank bez cweku. Jedna srogo ôstuda. Skiż tego, co: po polsku, blank bez soroństw, zocne a szykowne... Już mie pieron biere!

JYNKOT:

Tooo po pie... pie... pierōna sie taaak starosz?

SHAUOT:

Snadnie Vōnfara mo boczynie na tyn srogi geld!

VÖNFARA:

Skiż tego cołko ta moja utropa. Srogi geld, nale mōm tyż zdziybko ambicyje. Jo widza tyn mōj kōnszt moderny. Mo być wartko akcyjo. Hań niy majom lazować po binie dwa pynzyjisty i ôsprowiać ô fedrowaniu na grubie, zimōwkach do matiza, fto sie stracił ôńskigo tydnia eli ô sklerōzie kamrata ze elymyntarszuli! A już w żodyn roz niy majōm sie mianować Wiluś, Zeflik eli Jorguś...

SHAUOT:

To można Zdzisław, Wiesław eli Stanisław? Bo mi sie zdo, co rychtig polski miano musowo mo wyrażyni „sław”. Dejmy na to Mirosław.

VÖNFARA:

Ja! Te miana idzie tupłować! Mirosław to „sławiōncy pokōj”.

SHAUOT:

Nō widzisz! Już mosz piyrszy sztych! Władysław to tyn, co mo w zocy władza! Mieczysław ôd miecza. A Bronisław? Bardziej ôd brōniynio sie wziyno eli ôd brōnowanio?

JYNKOT:

Te! A Ja... Ja... Jarooosław?

SHAUOT:

Jynkot! To niy ma dobre miano dlo bohatory! Sławiōncy co? Ziele? Zwyrтка? Kurzynie? Vōnfara niy bydzie przeca szrajbowoł ô jaraniu, bo tedy to niy bydzie zocny kōnszt!

VŌNFARA:

Doczkej yno! Jako niy! Jynkot mo recht! Bydzie gynał fest modernie. Gorzołka, cigarety, zwyrтки, można troszyczka cetli. Wiycie. Takich co bamōncōm pomyslōnek.

JYNKOT:

A kuuu tymu la... la... lajera. Nasza!

SHAUOT:

I musowo sorōństwa! Fol sorōństwa! Kej to mo być po polsku, to jo bych zrychtowoł kōnszt ze samiuśkich sorōnstw!

VŌNFARA:

Cołki karasol roztomajtych persōn! Politykiery, farorze, policaje, Negry, nacjonalisty, skorumpowane fiskoły, pobożne baby, rechtōry, roztomajte dewianty...

JYNKOT:

Sa... sa... sagie baaby!

VŌNFARA:

Ja! Ukożymy cołko ludzko słabowizna. Kożdo sromota. A miyndzy to już lekuśko sie do wpływ wicherstwo, ôstuda i cygaństwo! Pra? Styknie ôpisac tyn świot wele nos.

SHAUOT:

Padosz, co tela ôszkliwości w nos?

VŌNFARA:

Te! Fanzolisz! W nos! W nos niy! My sōm przeca Ślōnzoki! My sōm blank insze!

JYNKOT:

Jaaa! Moosz ôoopisowac Po... Po... Polska!

VÖNFARA:

Yno jo poradza szrajbnōnc co po polsku? Kej to mo być tak echt... Ôd herca... To mi sie tak zdo, co jo po polsku to bydzie fest sztuczne. Bo jo je do imyntu samstōnd. Poradza godać, myndykować, fabulać, rapować, a rzykać yno tak. Po naszymu. Tōż szrajbować tyż.

SHAUOT:

To wołej Matousha. Ôn to jakoś wyzgernie szafnie. Ôn po polsku poradzi!

VÖNFARA:

A dej pokōj! Matoush ksiōnżka szrajbuje!

SHAUOT:

A ty sie lepi dej pokōj ze tym cołkim szrajbowaniym! Przeca geld to niy wszystko! Tyjater ôstow dlo tych wysztiglowanych. „Niy mōmy krzideł i bez-tōż niy furgōmy...”.

JYNKOT:

I biy... biy... biyra niy mōoomy!

VÖNFARA:

Biyra brakło? Tōż trza sie zbiyrać, chopy! Cisnymy na sidlung!

SKROWKI Z ŻYCIO ZEFLIKA SUCHEGO

Anna Wojtkowska-Witala

WYSTEMPUJOM:

ZEFLIK SUCHY *kiery sie urodził we 1899 roku*
ANDRZEJ SUCHY *łociec Zeflika*
FRANCISZKA SUCHY *z doma Jastrzymbsko, matka Zeflika*
WILUŚ SUCHY *brat Zeflika*
KNIP SMAJSTER
MONIKA *młodszo siostra Zeflika*
ANTEK *siostrzyniec Zeflika*
TERESKA *ślubno Antka*
SZTEFA *siostrzynica Zeflika*
ŚPIYWOKI *(sztzyrech aktorow, abo wiyncyj, wela mocie)*

SKROWEK PIYRSZY

*Na scynie wele stoła siedzom Andrzej i Franciszka
i ich dziecka – Zeflik i Wiluś.
Na scyna pomału wlazujom Śpiywoki w białych szatach.
Stowajom na boku (bydom tam stoć do łostatnigo skrowka),
leko sie kiwajom.*

ŚPIYWOKI:

Momy rok tysionc dziewiyńset szternosty.
Za łoknym podzim, trocha kido dyszcz.
We izbie przy stole siedzi familio:
Łociec, Matka, dwa synki.
Matka ślimto, Łociec nic niy godo.
Młodszy synek, Zeflik, je wylynkany.
Starszy synek, Wiluś, siedzi sztram
Łobleczony w szwabski wafynrok,
W gości trzimie mydalik z Paniynkom.
We izbie przy stole siedzi familio,

tukej sie dziejo ich tragedyjo:
Wilusia – nojstarszego żegnajom,
na wojynka wysyłam...
Żodnymu godać sie niy chce,
Rebelować nima co, kozali mu iść, to idzie.
Jeszcze ino porzykajom wroz,
Wejrzom w markotne ślypia Wilusia.
Terozki wstowajom, idom ku drzwiryzom...

WILUŚ:

Bydźcie zdrowi, ło mie sie niy starejcie. Pryndzy byda nazod niź sie spomiar-
kujecie.

FRANCISZKA:

Niy ch cie świynto Paniynka mo we łopiece, niych... (*zaczyno fest ślimtać*)

ANDRZEJ:

Cicho, matka! Wilusiowi niy trza tera twoich płaczek. A ty, synek, trzimej
sie tam, patrz, cobyś był gibko nazod. Rzykej koźdy wieczor i do matki brify
szkryflej.

WILUŚ:

Przyrzekom wom to, łociec. A ty, Zeflik, (*targo bracika za kudly*) dej pozor
na matka i łojca. Terozki ty tu bydiesz nojstarszy synek.

ZEFLIK:

Ja, Wiluś, ja... (*Zeflik puko sie bez płaczki i łobejmuje bracika*)

WILUŚ:

Toż chowcie sie.

ŚPIYWOKI:

Drzwiryze sie zawarły. Poszed.
Ślonski synek w szwabskim wafynroku.
Łociec trzimie sie za herc, tak mu gańba.
Gańba przed samym sobom, co psinco poradził zrobić.
Przisoł przikoz, synka trza było dać na wojoka.
Szwabskiego wojoka.
Matka ślimtajom, Zeflikowi już tyż płaczki lecom.
Terozki łostoł som, bo co tam cwilingi we kinderbecie.
Dyć łone nic s tego niy kapujom.
Zeflik łostoł som. Pierońsko mu ckliwo.
Przeca jeszcze przy śniodaniu sie śmioli.
Przeca jeszcze przy łobiedzie godali.

Przeca, przeca...
Terozki przy wieczerzy cichuško i markotno.
Markotno i cichuško.

SKROWEK DRUGI

*Na scynie stojom knipsmajster ze knipsaparatomy,
Wiluś łobleczony w ancug i Zeflik w szwabskim wafynroku.*

KNIPSMAJSTER:

Stoj sztram jak wojok, a niy jak byś mioł anglicko niymoc.

ZEFLIK:

Ale jo niy je szwabski wojok.

KNIPSMAJSTER:

Szwabski niy szwabski, kóźdy wojok stoi sztram.

ZEFLIK:

Nale jo by chcioł być nasz wojok.

WILUŚ:

Dyc wiysz, że to ino na skwol. Uwijej sie, bo zarozki mom cug.

ZEFLIK (*sztramuje sie*):

Tak może być?

KNIPSMAJSTER:

Tak je perfekt. Już cie, Zeflik, knipsuja.

WILUŚ:

Ja, to było perfekt, a terozki sie przeblykomy i leca na cug. Niy moga być niyskoro, bo bydzie, zech pitnoł i mie zawrom. Kaj moja flinta?

ŚPIYWOKI:

Momy rok tysionc dziewiyńset siedymnosty.

Lato mo sie ku końcowi.

Niy chcioł Zeflik sie przeblykać w szwabski wafynrok,
nale bracik sie upar.

Wojynka tego Wilusiowi niy zebrała:

Wiluś dali je pośmiywny, dali trzimajom sie go gupoty.

Ino ło wojynce niy chce godać,

zawiyro ślypia, nic niy godo...

Nale zarozki zaś wynokfio jakieś gupoty.

Tak go durś w doma wspominajom:
Tyn jego wiecznie roześmiony pysk.
Terozki ciśnie na cug.
Zeflik stoi za szybom u knipsmajstra i zaś mu ckliwo.
Ckliwo mu za Wilusiym, był w doma ino trzi dni,
i nazod, nazod go wojynka wziyna.
Już wsiod do cuga z innymi wojokami,
już jadom do Francyi.
Jeszcze sie łoglonhajom, mono łostatni roz.
Mono łostatni roz sie łoglonhajom na dom.
A Zeflik nic niy godo, ni ma mu gańba, że lecom mu płaczki.
Chce łobetric płaczki i łoroz sie skapnoł, iże trzimie w gości pika.

ZEFLIK:

Wiluś, Wiluś! Przepomniołżeś pika z twoi flinty!

KNIPSMAJSTER:

Łon już pojechał. Już cie niy słyszy.

ZEFLIK:

Sztyry, jedyn, jedyn, siedym.

KNIPSMAJSTER:

Co to godosz?

ZEFLIK:

Czytom cyfry z piki.

SKROWEK CZECI

*Przi stole siedzom Franciszka i Andrzej. Pijom tyj.
Łoroz do izby wlatuje Zeflik. W gości trzimie brif.
Stowo przed łojcym i wyciongo do niego rynku z brifym.*

FRANCISZKA:

W imie Łojca i Syna.

ANDRZEJ:

Cicho!

ŚPIYWOKI:

Momy rok tysionc dziewięset łosiymnasty.
April. Koniec aprila.

Drzwiyrze się łotwarły. Wlecioł.
Wlecioł do izby luft z Francyi.
Luft z Beugny.
Luft a s nim śmiyrтка.
W izbie zawoniało śmiyrtkom.
W izbie stało sie cichuśko.
W izbie popłynęły płaczki.
Ni ma już kaprała.
Ni ma już Ślonzoka.
Ni ma już Wilusia.
Ni ma już bracika.
Ni ma już synoczka.
Łojciec nic niy godo.
Zeflik łyko płaczki.
Matka ślimto na cołki głos.

FRANCISZKA:

Wiluś, moj Wiluś! Niy wierza, niy wierza. (*klynko*) Byda cie wyglondała do
moi śmiyrтки. Byda na ciebie czekała...

ANDRZEJ:

Cicho, matka, cicho... (*klynko przy ni i łobejmuje jom. Zeflik łobciyro płaczki*)

SKROWEK CZWORTY

*Zeflik stoi w drzwiyrzach.
Łobleczony je w hymda, galoty, wysoki szczewiki,
na rynkowie mo biolo-czerwono łopaska, na gowie czopka z orzelkiym.*

ŚPIYWOKI:

Momy rok tysionc dziewiyńcset dwadziesty piyrszy.
April już sie mo ku końcowi.
Już maj puko do drzwiyrzy.
Już Ślonsk mioł być polski,
jeszcze trza trocha na to poczkać.
Jeszcze trza powojować.
Jeszcze pora duszyczek trza Bogu posłać...
Andrzej durś pamiynto ło Wilusiu,

co doł mu wojować w szwabskim wojsku.
Andrzejowi durś gańba przed samym sobom,
bestuż Zeflika posłoł do powstania.
Do trzecigo powstania.
Ku łodkupiyniu winy...
Terozki sie żegnajom.
Żodnymu godać sie niy chce.
Jeszcze ino porzykajom wroz,
wejrzom w modre ślypia Zeflika.
Terozki wstowajom, idom ku drzewom...

ZEFLIK:

Bydźcie zdrowi, ło mie sie niy starejcie. Pryndzy byda nazod niź sie spomiar-
kujecie.

FRANCISZKA:

Niyh cie świnynto Paniynka mo we łopiece, niyh... (*zaczyno fest ślimtać*)

ANDRZEJ:

Cicho, matka! Zeflikowi niy trza tera twoich płaczek. A ty, synek, trzimej sie
tam, patrz, cobysz był gibko nazod. Rzykej koźdy wieczor.

ZEFLIK:

Toż chowcie sie.

SKROWEK PIONTY

ŚPIYWOKI:

Franciszka depto po łonce i zbiyro podbioł.
Żolte kwiotki ususzy w bradrule,
bydzie z nich zimom tyj.
Żodnyego niy chyci ryma i charlanie,
jak bydom to pić.
Franciszka je wele łolszyn,
już i sie zdo, iże cosik tam je.
Mono to jaki wieli pies, mono jaki pijok.
Depto po cichuśku,
cosik jom korci, żeby łobejrzeć, co tam je.
Jeszcze ino pora krokow i łoboczy...
Jeszcze ino pora krokow

i już ścisko Zeflika, kiery ledwo dycho.
Drałowoł piechty sztyry dni, dar do dom.
Spod Annabergu drałowoł,
ale Franciszka jeszcze tego niy wiy.
Wiy ino, iże jeji synek je nazod,
iże jeji płaczki go trocha opamiyntały.
Iże te wieli modre ślypia na nia wejrzały,
iże gymba leko sie uśmichnyła.

ZEFLIK:

Mamulka!

SKROWEK SZOSTY

*Przi stole siedzom Franciszka, Andrzej i Zeflik.
Na blacie leżom powstańcze łodznacznia,
kiere dostał Zeflik po trzecim powstaniu.*

ANDRZEJ:

Trza to kajś schronić.

FRANCISZKA:

Łojciec mo recht.

ZEFLIK:

Dobra, jo wom pomoga to kajś zakopać.

ANDRZEJ:

Niy. (*wstowo i wylazi z izby*)

ŚPIYWOKI:

Momy rok tysionc dziewiyńset trzidziysty dziewionty.
Tysionc dziewiyńset szterdziysty, szterdziysty drugi i trzeci...
Zaś niyftorym trza is za wojokow,
zaś łojce nic niy godajom,
zaś matki płaczki lejom.
I zaś trza sie boć ło swoich, ło sia...
Trza wiedzieć, co godać i komu,
niy wiadomo, kto swoj, kto cudzy,
a jeszcze wczora i ci, i tamci byli Ślonzokami.
Terozki jedyn Polok, a drugi Szwab.

Andrzej wylazi s izby na dwor.
Idzie po cimoku, idzie som,
trzymie w gości blaszano krzinka,
we kiery we szmacie som Zeflikowe łodznacznio.
Krziż za trzeci powstanie.
Andrzej po cimoku kopie doł,
s namaszczyniym wkłodo tam krzinka,
pomału suje zymia nazod. Uklepuje.
Depto do dom.
Po wojnie im powiy, kaj to zakopoł.
Po wojnie, jak już bydzie zicher...
Andrzej depto do dom i ni wiy,
iże Pon Boczek go zabiere w szterdziestym trzecim,
iże żodnymu nic już niy zdonży pedzieć.
Iże Zeflikowe łodznacznio bydom kajś we zymi na wieki...

SKROWEK SIODMY

*Zeflik czympie przed starom chałpom.
Wele niego stojom jego młodszo siostra Monika i siostrzyniec Antek.*

MONIKA:

Zeflik, niy dej sie prosić. Przekludź sie do nowy chałpy.

ANTEK:

Ujek, tam bydziecie mieć swoja izba.

ZEFLIK:

Niy. Tukej chca umrzyć. Tukej zech żegnoł Wilusia, jak szeł na wojna, tukej zemrzili łojciec, a potym matka i tukej doczkom śmiyrtki.

ŚPIYWOKI:

Momy rok tysionc dziewińcset sześdziesionty drugi.

Staro chałpa sie wali,

nowo piyknie wrychtowano.

Nic ino wziońć klamory i sie przekludzić.

Som tacy, kierzy sie przekludzajom,

a som tacy, kierzy łostajom na starym.

Starych drzew sie niy przesadzo –

tak ftoś han kiejsij pedzioł.
Starych drzew sie niy przesadzo –
tako i Zeflik czuł.
Chcioł być tam, kaj mioł swoi spominki:
ło matce,
ło łojcu
i ło Wilusiu, za kierym nojbardzi mu było ckiwo.
Dali mu pokoj. Pozwolili łościć.
Żył, jak chcioł:
kurzył cygareta za cygaretom,
łaził po hasiokach,
zaprawioł mlyko do krauzow,
czympoł cołkie dni przed starom chałpom.
Spominoł stare dzieje.
Dali mu pokoj, ale niy wszyscy...

SKROWEK ŁOSMY

*Zeflik czympie przed starom chałpom.
Wele niego stojom jego siostrzynica Sztefa
i jego siostrzyniec Antek ze żonom Tereską.
Przi Zefliku stoi wielo rajzyntasza.*

ZEFLIK:

Sztefa, jo niy chca sie wykludzać.

SZTEFA:

Jo wom znodła piykne miyszكاني w Katowicach. Tam bydziecie mieć łogrzywanie z miasta i ciepło woda.

ZEFLIK:

Ale mie tu dobrze...

ANTEK:

Sztefa, jak łon niy chce, to go łoštow.

SZTEFA:

Niy, tak postanowione.

TERESKA:

Ale łon niy chce...

SZTEFA:

Ty tu ni mosz nic do godanio.

Sztefa biere rajzyntasza i wylazi ze scyny.

SZTEFA (*głos zza scyny*):

Zeflik, idziecie!?

ZEFLIK:

Teresko, czamu łona mi koje sie przekludzać? Jo niy chca...

TERESKA:

Jo niy wiym, co łona se ubzdurała. Bydźcie zdrowi.

ZEFLIK (*wstowo i ścisko za rynce Tereska i Antka*):

Toż chowcie sie (*pomału ślazi ze scyny, a za nim Tereska i Antek*).

ŚPIYWOKI:

Momy rok tysionc dziewiyńset łosiyndziesionty szosty.

Zeflik wykłudził sie ze stary chałpy bez lato.

Lato gibko przeszło.

Zeflikowi sie cniło za starym,

Zeflik pomału sie tracił.

Przyszed podzim: wrzesiyń, październik i listopad.

Dziesionty listopad, pyndziałek,

we kiery duszyczka Zeflika poszła kajś tam...

Ku matce, ku łojcowi

i ku Wilusiowi.

.....

.....

Przeszoł rok. Prziszed nowy podzim.

Antek rozwalił staro chałpa,

oklupywoł cegła po cegle,

aże niy zostało nic ino pika.

Ja, Antek jom znod wciśniynto miyndzy stare dechy.

Terozki jom trzimie we swoi chałpie –

pika po Wilusiu.

Ino niy znod łodznaczyń łod Zeflika...

Śpiywoki ślżom ze scyny.

Łód autorki:

Terozki jo stowom na łące i wiyom, iże kajś tu, abo kajś tam, som zasute ziyymiom Twoi łodznacznio. Ino kaj? Jescze pamiyntom łolszyny, kajżeś ponoć pod ledwo żywy... Łojciec mi je pokozoł. Dzisioj ich już ni ma. Jo Cie, Zeflik, pamiyntom, miała zech dwanoście lot, jak Cie Ponboczek zebroł. Tak bych chciała, coby pamiyńć ło Tobie była durś... Niy miołeś swoi baby ani dziecek, ni ma Twoich łodznaczyń ze powstania, bestuż ta jednoaktowka. Ku Twoi pamiyńci.

Skończyłam pisać 10 listopada 2019 roku, trzidziści trzi lata po Twoim umrzyniu.

JEDNOAKTÓWKI 2020

Bożena Donnerstag

OSOBY:

PISTELOKOWO – 75 +
„WNUCZEK” – kole 20 lat
LASCYNO, SÖMSIADKA – 60 +
ŻYMŁA, SÖMSIOD – 60 +
POLICAJ W MUNDURZE

SCYNA I

Pistelokowo siedzi przy stole, rozwiönzuje krziżöwka. Mruczy cosik dlo sia. Dzwoni telefon (stacjonarny). Pistelokowo wstowo, poleku idzie do telefonu, dźwigo suchawka.

PISTELOKOWO:

Halo! Halo! Fto tam? Nic niy słychać! Dycki głośni godejcie, jo môm swoje lata.

Pistelokowo głośno ôdkłodo suchawka. Wraco do krziżöwki, siado.

PISTELOKOWO:

Jak chcôm zy mnôm godać, to niych sie nauczôm godać głośnij. Przeca jo niy słysza! Jeszcze jak ftoś tam stynko, choby miôł gumiklyjzy w gymbie... Abo i co gorszego robiôł!

Telefon drugi roz dzwoni. Pistelokowo ciepie filok na stôł i zaś poleku idzie ôdebrać telefon. Widać, co jest fest zło. Dźwigo suchawka.

PISTELOKOWO:

Halo! Pytôm sie grzecznie fto dzwoni, bo zech jest fest nerwyjs!!! Doczkejcie chwila, dôm sie na głośnomöwiöncy, bo nic niy słysza.

Nacisko kneflik.

PISTELOKOWO:

No już, terazki możecie godać ô co chodzi. Ino ôd razu wôm padôm, co niy kupuja żodnych gorkôw, niy jada na żodne wywczasy ani niy ida na żodne pokazywanie wełnianych pierzin.

„WNUCZEK”:

Dziyń dobry pani, jo dzwonia skiż waszego wnuka. Ôn mo wielgie problemy i mie poprosiôł, cobych do wos zadzwoniôł...

PISTELOKOWO:

Môj wnuk padocie... môj wnuk... A ja! Wnuk!!! A jakież to ôn może mieć problemy?

„WNUCZEK”:

Hmmm... wiyecie... finansowe... Trza mu pijôndze dać, co by wyłoz z tego problemu.

PISTELOKOWO:

No ja, pijôndze. To jak dlo wnuka, to byda mieć cosik w portmanyju. A wiela tego trza?

„WNUCZEK”:

Piynćdziesiônt chyba styknie.... To możecie te pijôndze prziniyść? Ja? Powiyw wôm kaj. Włyżcie do banki 7, włyżcie na przystanku „Kościôł”, wiyecie kaj to, pra? I potym musicie iść...

PISTELOKOWO:

Zaro, zaro, niy tak gibko... Po piyrsze – jo nikaj niy jada. Po druge – jo niy môm zamiaru wylazić z doma. Po trzecie – po głosie słysza, żeście sôm mode. Jak môj wnuk chce pijôndze, to musicie sie po nie do mie prziić, bo jo niy dôm rady...

„WNUCZEK”:

No ja... tego to żech niy przewidziôł... To jo zobocza czy moga do wos prziić, doczkejcie, jo jeszcze zadzwonia.

PISTELOKOWO:

Dobra synek, jo môm czas, nikaj sie niy uwijôm. Zrobia sie tyju i byda czekać.

Pistelokowo ôdkłodo telefon, siado nazod na stółek. Godo do siebie.

PISTELOKOWO:

Cõz to sie mogło przitrefić, że tyn mõi wnuk pijõndze potrzebuje. Przeca tyn kamrat õd niego nawet mi tego niy pedziõł... Oooo wezna sie go ino na spytki, niych sam przidzie, to sie dowiym.

SCYNA II

Słychać klupanie do dźwiryzy. Pistelokowo wstowo ze stolka i woło:

PISTELOKOWO:

Ida, ida, doczkejcie, przeca ja mõi chore szłapy, zarozki otwierõm.
Za dźwiryzami słychać głos:

LASCYNO:

Przeca to jo, Lascyno, õtwiryrejcie, a drabko, mõi do wos świyże kreple õd prywatnego, te, co lubicie.

PISTELOKOWO (otwiero dźwiryze):

Wlyżcie rajn, Klara, jo blank zapomniała õ tym, że dzisiej bydziecie. Mõi frasunek i cõłko noc zech niy spała. Krynciõłach sie choby karasol we lõzku...

LASCYNO:

A co sie to stało? Cosik wõi dolygo? Zarozki sie siednymy, zrobia nõi tyju i mi wszystko powiycie.

Pistelokowo i Lascyno idõm do kuchni, rychtujõm i przilażõm ze szolkami i kreplami na talyrzu do izby. Siadajõm do stoła.

LASCYNO:

No toż godejcie, Traudko, co to się dycki stało, że spanie wos õdeszło? Sõi żecie chore? Jakeś niyszczynście we familiji?

PISTELOKOWO:

Zadzwonioł wczorej do mie jakiś karlus, grzeczny bõł, niy powiym. Prawioł mi, co mõi wnuk mo problemy i trza mu pijõndze posłać, õn mi kozõł te pijõndze kajsik zawiyżć, ale jo mu godõm, co nikaj z doma niy wyłaża, przeca jo mõi lata, i żeby sie sõi po te pijõndze prziszõł...

LASCYNO:

Świyni Pańscy! Przeca to je jakiś kradziok! Jo õ tym słyszała i czytała we cajtungu!

PISTELOKOWO:

Jaki tam kradziok... Kamrat ôd mojigo wnuka przeca! Dobry synek, bo chciôł przeca pomóc! Cõż wy tam tyż godocie, Klaro!!!

LASCYNO:

No, toż Traudko, uwierzcie mi! Ône godajõm, że sõm kamratami ôd wnukõw i że potrzebujõm pijõndze, bo sie cosik stało, potym kożõm te pijõndze prziniyść w umõwione miejsce. I szlus. Te wszystkie omy i opy martwiõm się ô te swoje wnuki, bierõm gotõwka i niesõm w epie tam, kaj im kożõm!

PISTELOKOWO:

No, ôn mi kozõł kajś jechać z tymi pijõndzami... A terazki mõm czekać na telefon, bo prawiõł, że zadzwoni czy przidzie...

LASCYNO:

Wy go chcecie do dõm puścić? Kradzioka? Po moim trupie!

PISTELOKOWO:

Jeronie, wy sie nagodocie choby staro baba. A to jo je starszo. Przeca ôn mi nic nie zrobi, dõm mu te pijõndze i sie põdzie.

LASCYNO:

A jak wos klupnie i ôkradnie? Abo i co gorsze, jak wos zabije?

PISTELOKOWO:

To niy może być prawda... Tyn synek naprowdy miõł dobry głos...

LASCYNO:

Wyście sõm uparte, Traudko, jak tyn yjzel w zoo. Wiyecie wiela ludzi mo dobry głos, a sõm fest żadne? Przeca zech sie tego niy wydumała!

PISTELOKOWO:

Wierza, wõm wierza, ale to co terazki mõm zrobić? Dyc ôn może zaroz dzwonić.

LASCYNO:

Jo sie tak myśla, cobyście sie z nim zgodali, niych by do wos prziszõł.

PISTELOKOWO:

Klara, wy macie cosik z gowõm. Piyrywj godocie, żeby go niy puszczać, bo mnie klupnie bez łeb i zabije, a terazki mo przilazić!

LASCYNO:

Toż suchejcie mie do końca. Jak ôn zadzwoni, to powiydzcie mu, co macie te pijõndze i że mo przilazić. A zanim ôn wlezie, to jo i jeszcze ftoś – moźno pogodõm ze Żymłõm i sie zgodzi – siednymy sie we waszyj drugij izbie i by-dymy nasuchiwać co sie dzieje.

PISTELOKOWO (klasko w rynce):

No, terozki, Klara, mocie recht. Tak zrobimy. Dõm wõm znać jak zadzwoni tyn karlus. Zoboczycie, że to je porzõnny synek!

LASYCNO:

Ja, uhmmm. Drabko. Jezech ciekawo.

(Pijõm tyj j jedzõm kreple)

SCYNA III

Dzwoni telefon. Pistelokowo, tak gibko jak ino poradzi, leci go õdebrać.

PISTELOKOWO:

Halo! To jo, Trauda Pistelokowo. Fto tam godo?

„WNUCZEK”:

To jo, kamrat õd wnuka. Godali my, co moga do wos przyjś po te piynćdzie-siõnt... Byda jutro kole szõsty. Może tak być?

PISTELOKOWO:

Ja synek, przilaż, byda w doma, przeca jo nikaj niy wylaża.

Pistelokowo rozlõnczo się, biere notes, szuko czegoś i wystukuje numer. Dzwoni do Lascyny.

PISTELOKOWO:

Halo, Klara! To jo! Kokot wylõndowõł! Powtarzõm: kokot wylõndowõł!

LASCYNO *(na głošnomõwiõncyj)*:

Trauda! Jaki kokot? Co wy zaś fanzolicie? Co wyście dzisiej na õbiod zeżarli?

PISTELOKOWO:

Toż we filmie bõło „Oreł wylõndowõł”, to jo godom, że tyn karlus, mody kokot zadzwoniõł i jutro bydzie õ szõstj.

LASCYNO:

Kinomanka się znodła! Przida ze Żymłõm trzi ćwiyrcki na szõsto, coby sie kajsik schować. Żymła pedziõł, co weźnie laga, jakby tymu Kokotowi trza bõło przifanzolić!

PISTELOKOWO:

Jeronie, to sie robi choby jako kryminala! Przeca jo herclekotõw dostana õd tego wszyskigo. Ale niych bydzie. Zoboczycie, co to je porzõnny synek, i niy bydziecie musieli wylażić z tyj izby. Toż pyrsk.

SCYNA IV

*Pistelokowo, Lascyno i Żymła z lagōm w łapie stojōm w izbie.
Za chwila mo przyjś synek po pijōndze.*

LASCYNO:

Traudka, to my sie chowiemy, a ty ino te dźwyrza przimknij, coby my sły-
szeli co tam godocie. I głośno godejcie, Żymła mo aparat do ucha, ale mu
cosik szwankuje.

ŻYMŁA:

Mie tam nic niy szwankuje. Jak mōm słyseć to słysha. Nojważniejsze, co
laga uniesa i trefia w co trza!

PISTELOKOWO:

Zarozki sześć! Chowcie sie, ino mi tam niy narōbcie gupot!

LASCYNO:

Trauda, starszo kobyta i take bezecyństwa we lebie...
*(Lascyno i Żymła idōm do drugij izby i przywiyrājōm dźwyrza. W tym mo-
myncie słychać dzwonek)*

PISTELOKOWO:

Już ōtwiyrōm!
Podłazi do dźwyrzy, poleku ōtwiero. W dźwyrzach stoi mody synek.

„WNUCZEK”:

Dziyń dobry, to jo dzwoniōł do was skuli tych pijyndzy. To jo je ino wezna
i już wyłaża.

PISTELOKOWO:

Doczkej, doczkej, karlusie, włącz rajn. Seblykej bluza, siadej sam. Zarozki ci
dōm cosik do picia i pogodōmy. Mosz chwila?

„WNUCZEK”:

No ja... ale jak to... Jo tak niy moga. Musza te pijōndze zaniyść... Bo wycie,
tyn wasz wnuk potrzebuje.

PISTELOKOWO:

Dobra, dobra, nic mu sie niy stanie jak poczeko. Siadej, zaroz dostaniesz tyju
i kołocza. Lubisz?

„WNUCZEK”:

Jo wszystko lubia. Moja oma tyż piekła kołocz... I robiōła karminadle. U was
wonio karminadlami.

PISTELOKOWO:

Bo zech miała na ôbiod! Zjysz na zimno? Abo ci pokroja na sznita, jo tak lubia.

„WNUCZEK”:

Ja! Niy...! Jo niy moga, jo już musza iść.

PISTELOKOWO:

Siedz na rzici jak ci dobrze, zaroz dostaniesz sznita z karminadlym i tyj. Doczkej.

Pistelokowo wylazi szykować sznita i tyj, synek siedzi, ale za chwila wstowo i patrzy bez ôkno, macho do kogoś, włazi Pistelokowo z tabletem, na nim szolka i talyrz z jedzyniym)

PISTELOKOWO:

Toż siadej i jydz, smacznego.

„WNUCZEK” zaczyna jeść, Pistelokowo mu sie przypatruje.

PISTELOKOWO:

Tyś bôł chyba fest głodny synek... Jydz, jydz, kołocza tyż sie weź.

„WNUCZEK” nic niy godo, ino żuchlo. Popijo. W końcu kończy.

„WNUCZEK”:

Jo wôm fest dziynkuja, pomaszkeciôł zech, ale jo musza te pijôndze dostać i zarozki wylaża.

PISTELOKOWO:

Widzisz, że jo je staro baba, a stare omy są wražitkie i muszôm wszysko ô wszyskich wiedzieć. Jak cie mianujôm?

„WNUCZEK”:

To niy je take ważne... Jo ino pijôndze zbiyrôm.

PISTELOKOWO:

Toż godej, przeca musza wiedzieć jak sie nazywo kamrat ôd mojigo wnuka!

„WNUCZEK”:

Marek sie nazywôm, ale godajôm na mie „Smarkaty”.

PISTELOKOWO:

No ja, przeca żeś je smarkaty. No i co z tym mojim wnukiem? Na co mu te pijōndze mosz prziniyś i czamu ōn sōm niy wlezie?

„WNUCZEK”:

Jo tam niy wiym... bo to... no, jo mōm te pijōndze prziniyś, a fto inkszy je zanie sie do tego wnuka ōd vos...

PISTELOKOWO:

Cosik mi tukej niy gro... Chcesz pijōndze do mojigo wnuka, a terozki ktosik inkszy je zanie sie... Co je grane, „Smarkaty”?

„WNUCZEK”:

Lepij bydzie jak jo juź pōda, naprowdy, i dlo vos i dlo mie... dejcie ta kasa i leca.

Pistelokowo biere z kapsy portmanyj, wyciōngo 50 złotych.

PISTELOKOWO:

Toż mosz, jak niy chcesz godać, dobrze schowej i niy stroć. To je dużo pijyndzy do mie, tak, że uważej na to!

„WNUCZEK”:

Wy mi dowocie 50 złotych???

PISTELOKOWO:

A wiela? Tela bōło ugodane bez telefon przeca, głucho zech niy je.

„WNUCZEK”:

Bōło godane 50, ale to łąziōło ō 50 tysiyncy!!!

PISTELOKOWO:

Jo w życiu tela niy miała! Synek, czy jo wyglondōm na tako, co może mieć tela? Jak bych miała 50 tysiyncy to niy jadła bych dzisiej karminadli w doma, ino frykasy we resterze!

„WNUCZEK”:

Idzie pożycać... te 50 tysiyncy...

PISTELOKOWO:

Jo ci dōm pożycać! ōd kogo?! Mōndrala się znolozł! Ōd kogo mōm życać? Ōd mojih kamratek emerytek, kere w aptyce zostowiajōm koždy grosz? Idź juź, Marek, bo żeś mie znerwowōł!

„WNUCZEK” chowo do kapsy 50 zł, spuszczo gowa i wylazi.

Pistelokowo wylazi za nim:

PISTELOKOWO (woło na siyni):

A przidź zaś jutro ô 2, byda robić placki!!!

Zawiyro dźwiryra. Z izby wylażōm Lascyno i Żymła.

PISTELOKOWO:

Słyszeliście wszystko, pra? I co wy na to godocie?

LASCYNO:

To je kradziok, Traudko. Ino wyście go tak jakosik.... Że ôn zgupnōł na amyn!

ŻYMŁA:

Mie sie zdo, że jak na niego godajōm „Smarkaty”, to ôn je krōtko w tyj bandzie. Niy wiy co zrobić, bo miōł prziniyś 50 tysyncy, a wyście mu dali 50 złotych. Jo bych chciōł widzieć jako afa zrobiōł, jak żeście mu, Traudko, dali duzo myni, niż sie wydumōł.

PISTELOKOWO:

Szkoda synka... tak mie serce pikało jak ôn te karminadle jodł, borocek, można niy mo roboty, że sie wziōn za take kminiynie starzikōw na pynध्ये...

ŻYMŁA:

Jakby chciōł robić, to by cosik znolozł. Nawet u mie je robota, jakby bōł pracowity, to z ôtwartymi ramionami. Ino niy może być kradziok i ôszust... a chyba tak jest.

PISTELOKOWO:

Jo sie go jeszcze ôbejrza, można na te placki wlezie jutro... Pogodōm ś'nim... I powiy wōm cosik, ino niy godejcie nikaj, bo bydōm prawić we familoku, że Pistelokowo je staro i już głowa mo słabo abo i jakiego alzhajmera... Bez ta godka ô tych pijōndzach i ta akcja z lagōm, jo zapomniała cołkiym ô nojważniejszym. Przeca jo wcale niy mōm wnuka... Jo mōm dwie wnuczki i ôbie sztudirujōm, jedna we Krakowie, a drugo za granicōm, w Anglii...

*Pistelokowo cosik podśpiywuje pod nosym i rozkłodo talyrze.
Ciche klupanie do dźwiryzy. Pistelokowo ôtwiero, tam stoi Marek.*

PISTELOKOWO:

Tak żech cosik czuła w kościach, że przidziesz na te placki.

„WNUCZEK”:

Niy, niy, jo niy skuli tych plackōw... Ale wonio, aże mi słabo!

PISTELOKOWO:

Przeca zjysz! Napiykłach tela, że sama tego niy przerobia! Zjysz, a jak sie dychniesz, to połosprawiōmy.

*„WNUCZEK” posłusznie siado. Pistelokowo przinosi talyrz plackōw,
jedzōm i nic niy godajōm.*

„WNUCZEK”:

Ale żech sie pojod... Downo żech takich plackōw niy jodł, pani Pisteloko-
wo... Już niy wcisna ani jednego.

PISTELOKOWO:

Toch je rada, że ci smakowało. Kartofle terozki tonie, to trza placki piyc.
Napij się, kompotu, uwarzony z wieprzkōw, co mōm na ôgrōdku, tukej niy
daleko. Mroża i robia kompoty. Abo i jake ciastko upieka z owocym. Jak to
staro oma... No ale co to jo chciała pedzieć... Niy gorsz sie na mie, żech cie
wczorej wyciepła, żech sie nerwła skiż tych pijyndzy.

„WNUCZEK”:

No, jo właśnie w tyj sprawie... (*wyciōngo 50 złotych*). Chciōlech dać nazod.
(*dowo pijōndze na tisztech*)

PISTELOKOWO:

Niy sōm już potrzebne mojemu wnukowi? A ja, zapomniałach, to je za mało!

„WNUCZEK”:

Niy wiym co pedzieć... Wy mie sam futrujecie, i placki i karminadle, kołocz.
A jo ôd vos chca tela geltu... Przeca wiym, że 50 tysiyncy to niy mocie, bo
przeca z westy niy wyciōngniecie?

PISTELOKOWO:

A co z tym mojim wnukiem? Do sie jakosik rada bez twoji i moji pomocy?

„WNUCZEK”:

Na pewno się do... ôń... ôń mie już niy potrzebuje. Niy kolegujemy sie nawet. To ani niy je mōj kamrat.

PISTELOKOWO:

No, to dobra... Marku, a mōm take pytanie, ty mosz jako robota?

„WNUCZEK”:

Terozki to niy mōm... Ta ôstatnio ciepnołech wczora, bo mi niy leżała. To niy bōła robota na mnie. Za wielgi stres i niy na mōj charakter... Niy nado-wōłech sie i mie wyciepli, znaczy... zwolniōł zech sie. I terazki zaś czegoś byda szukać.

PISTELOKOWO:

Jo bych miała coś do ciebie... Żymła, sōmsiod szuko kogoś, dōm ci adres.

„WNUCZEK”:

Ale wy tak na poważnie? Czamu tak? Przeca wy mie niy znocie wcale... Jo niy je taki, jak wōm sie wydowo... Niy je zech wcale porzōnny synek...

PISTELOKOWO:

Nojważniejsze, że chcesz być porzōnny. A widza, że chcesz. Jak dostaniesz ta robota u Żymły, to bydzie już richtich piyrszy krok do inkszego życie.

„WNUCZEK”:

Nigdy zech niy spotkōł kogoś takigo jak wy... Ino moja oma bōła tako, ale ôna już downo na cmymtorzu...

PISTELOKOWO:

Koniec szkamranio. Weź się, synek, za siebie, a zoboczysz, co bydōm z ciebie ludzie!

Dzwonek do dźwiryzy. Pistelokowo zrywo sie i idzie ku dźwiryzōm.

Otwiero, w dźwiryzach stoi policaj.

POLICAJ:

Dziyń dobry, słyszeli my, że do syniorōw na naszym ôsiedlu dzwoniōm na telefony i chcōm ôd nich wyłudzać pijōndze metodōm „na wnuczka”. U wos wszystko w porzōndku, pani Pistelokowo?

PISTELOKOWO:

Nojlepiej jak może być. Je u mie mōj wnuczek Marek i prawie terazki jymy placki.

KONIEC

SONSIADY=NACHBARN

Anna Wojtkowska-Witala

(inspirowane prawdziwymi zdarzyniami)

WYSTYMPUJŌM:

WOJTKOWSCY – *Poloki, ale Ślōnzoki:*

MATKA, ŐJCIEC, DZIECKA *(wielu chcecie)*, w tym jedyn szesnastoletni.

KERNY – *Niyemce, ale tyż Ślōnzoki:*

MATKA, ŐJCIEC, DZIECKA *(wielu chcecie)*

GESTAPOWIEC 1

GESTAPOWIEC 2

RUSKI WOJOK 1

RUSKI WOJOK 2

CZAS AKCJI:

1937–1945

MIYJSCE AKCJI:

SCYNA 1–5 i 7:

GŌRNY ŚLŌNSK, MIKOŁŌW, STARO DROGA

SCYNA 6:

ZWIŌNZEK RADZIECKI, WOROSZYŁŌW

SCYNA PIYRSZO

Bina podzielono na pŏł. Po prawy kuchnia i po lewy kuchnia, we kierych żodnego niy ma. Bez środek biny idzie szyroki pas, choby droga pomiyndzy chałpami.

Őd strony drogi sŏm atrapy ścianŏw z dźwiryzami i ōknami. Nad binŏm wisi napis: Rok 1937. Na drodze stoi Matka Wojtkowsko, a wele nij Matka Kernowo.

Matka Wojtkowsko trzymie tablec z kołoczym przykryty biołŏm serwetkŏm, a Matka Kernowowo szpek z aprikouzami.

MATKA WOJTKOWSKO:

Witejcie, Kernowo, kaj to idziecie?

MATKA KERNOWO:

Do wos ida. Mōj nazbiyroł dwa kible aprikouzōw, tak piyknie latoś óbrodziły, toż wōm niesa waszpek.

MATKA WOJTKOWSKO:

A jo akuratnie do wos ida z kołoczym.

MATKA KERNOWO:

Ale przeca, jak se spomna, to u wos żodyn dzisioj niy mo gyburstaga. A dziecka mocie za mode na wydowanie abo żynioczka. Na jako przileżytość tyn kołocz?

MATKA WOJTKOWSKO:

Na żodno. Mōj miół smak, to żech mu upiykła na niydziała. Dzisioj już zaglōndoł, ale żech mu dała po pazurach, bo dyc kołocz mo być na niydziała.

MATKA KERNOWO:

Mogliście se ôstawić do sia cōłko blacha. Niy bydzie wasz przezywoł, iże rozdowocie tyn kołocz, kiery tak piyknie wonio.

MATKA WOJTKOWSKO:

Blacha srogo to i kołocza sporo, my tego niy przejemy, toć wōm niesa na skosztowani.

MATKA KERNOWO:

Z czym żeście to napiykli tego kołocza, z makiym abo z syrym? (*Matka Kernowo chyto za serwetka i kuko pod nia*)

MATKA WOJTKOWSKO:

Z syrym, bo mlyko swoi, a mak ôstatnimi czasy fest zdrożoł.

MATKA KERNOWO:

No ja, no ja.

MATKA WOJTKOWSKO:

Weźcie tyn tablet, bo mi sie spomniało żech żur ôstawiła na blasze, dyc mi zewre i wykipi i niy bydzie ôbiadu.

MATKA KERNOWO:

Ja, a wy weźcie waszpek z aprikouzami i idźcie gibko, można niy wykipi. *Matka Kernowo biere tablet z kołoczym i pomału idzie ku swoi chałpie. Co chwila stowo, dźwigo serwetka i wonio kołocz. Matka Wojtkowsko biere waszpek i gibko drałuje do swoi chałpy. Wlatuje do kuchni, stawio waszpek na stole i zarozki zaglōndo na piec.*

MATKA WOJTKOWSKO:

Niy wykipioł. Dziynki Ci, Ponbōczku!

SCYNA DRUGO

Tak jak w scynie piyrszyj, ino nad binōm napis: Rok 1940. We kuchni u Kernōw familio siedzi i jy ōbiōd. We kuchni u Wojtkowskich nerwowe poruszyni.

ÔJCIEC WOJTKOWSKI:

Gibko, gibko bo zarozki tukej mogōm przyjść.

MATKA WOJTKOWSKO:

Deka, zegłōwek, flaszka tyju, chlyb, wuszt, trocha bombonōw... Wszystko mosz? Łachy, jeszcze łachy.

ÔJCIEC WOJTKOWSKI:

Uwijej sie, Matka! Niyskorzij mi przyniesiecie inksze łachy. Terozki idymy. A wy dziecka tukej siedźcie i ani niy dychejcie.

MATKA WOJTKOWSKO:

Nikaj niy wylazujcie. A jakby fto prziszed, żodnymu niy ōtwiyrejcie aże byda nazod.

*Dziecka siedzōm wylynkane, ale usuchały Matka i Ôjca i nikaj sie niy ruszajōm.
Matka Wojtkowsko z koszym z jedzyniym i Ôjciec Wojtkowski z dekōm
i zegłōwkiym wylazōm z kuchni i idōm za bina, aże ich niy widać.
Niy mogōm widzieć, iże we ôknie u Kernōw ōbserwuje ich Matka Kernowo,
kiero wstała ōd stoła.*

MATKA KERNOWO:

Wojtkowsko ze swoim idōm za chałpa, chyba do stodoły. Majōm jakiś pakunki, ōn mo zegłōwek i deka...

ÔJCIEC KERN:

Siadej nazod i jydz. Niy interesuj sie.

MATKA KERNOWO:

Po jakimu?

ÔJCIEC KERN (*do dziecek*):

Jak żeście pojadyły to schraniać skorupy do zlywa i biercie sie sam na dwōr polotać.

Dziecka gibko schraniajōm skorupy i wylatujōm z kuchni.

MATKA KERNOWO (*siado przy stole*):

To terazki mi godej, po jakimu mōm sie niy interesować.

ÔJCIEC KERN:

Im myni wiymy tym lepi.

MATKA KERNOWO:

Ale po jakimu?

ÔJCIEC KERN:

Jeronie, coś ty tako niykumato. Dyc se przypomnij zeszyły tydziyń, było sam u nich Gestapo.

MATKA KERNOWO:

Ano było.

ÔJCIEC KERN:

Wojtkowski mi potym godoł, iże dostał wezwani do Wehrmachtu, ôn sie tym fest znerwowoł, mioł z tym utropa czy ís czy niy.

MATKA KERNOWO:

Przeca ôni sōm Poloki, katać mo ís do naszych wojokōw? No ja, ale po jakimu ôn kajsik terazki szoł ze swojom?

ÔJCIEC KERN (*godo po cichu*):

Niy kajsik ino do jejich stodoły, ôn sie tam schroni przed Gestapo. Bydōm go szukać, dyc sie przeca niy stawił na wezwani. We ty stodole mo taki ekstra schroniynie narychtowane.

MATKA KERNOWO:

A ty sam skōnd wiysz?

ÔJCIEC KERN:

Bo zech mu pomogoł to przyszykować. Ôn by to samo zrobił do mie.

MATKA KERNOWO:

Godosz?

ÔJCIEC KERN:

Godōm. I terazki posuchej, bo jak niy to cie spiera!

MATKA KERNOWO:

Ty mie? Przeca ty żeś mie jeszcze nigdy niy sproł. Ty mosz do mie poważani.

ÔJCIEC KERN:

A mōm, ale jak sie wygodosz, kaj sie Wojtkowski schronił, to cie spiera jak kota w miechu.

MATKA KERNOWO:

Niy, żodnymu niy powiym.

ÔJCIEC KERN:

Na żodnych klachach?

MATKA KERNOWO:

Na żodnych klachach.

ÔJCIEC KERN:

I jak przidzie Gestapo tyż niy?

MATKA KERNOWO:

(głos ji sie trzynsie):

Tyż niy.

ÔJCIEC KERN:

To terazki przysinygej na zdrowie naszych dziecek, iże tego niy wyzdradzisz.

MATKA KERNOWO:

Ale po jakimu na zdrowie naszych dziecek?

ÔJCIEC KERN:

Bestōż, iże niych sie tam pierōm Niyemce z Polokami. Jo tu niy chca mieć zwady z sonsiadami, bo se tam kajś ftoś ubzduroł, co my niy sōm kamratami ino wrogami. My tu cołki lata we zgodzie żyli i terazki jo mōm ich wyzdradzić? Niych sie tam żrōm Niyemce z Polokami i cołkim światym, my tu sōm Ślonzoki. Sami swoi. Sonsiady. Nachbarn. Jo tu niy chca zwady.

MATKA KERNOWO:

Mosz recht. Mosz recht. I jako tukej siedza, tak ci przysinygōm na zdrowie naszych dziecek, iże niy wyzdradza. Niy wyzdradza!

SCYNA TRZECIO

Tak jak w scynie piyrszyj ino nad binōm napis: Rok 1942. We kuchni u Kernōw familio siedzi i jy ôbiod. U Wojtkowskich nerwowe poruszyni, we kuchni stojōm Matka Wojtkowsko z dzieckami, przy stole siedzi gestapowiec, a drugi stoi sztram i nic niy godo.

GESTAPOWIEC 1:

Ôstatni roz sie vos pytōm, kaj je wasz chop?

MATKA WOJTKOWSKO:

Niy wiy. Jak ino dostoł wezwani do Wehrmachtu to sie stracił.

GESTAPOWIEC:

Jakoś wōm niy wierza.

MATKA WOJTKOWSKO:

Tak było. Jo bych tyż chciała wiedzieć kaj ôn je, ôstawił mie przeca sôm z dzieckami, już jo mu nagodôm jak przidzie nazod!

GESTAPOWIEC 1:

Niy cygońcie mi tu, ino godejcie kaj je wasz chop!

MATKA WOJTKOWSKO:

Dyc wôm godôm, niy wiym.

GESTAPOWIEC 1 (*do Gestapowca 2*):

Idź tam ino do stodoły i szukej, a jak ino sie cosik ruszy, szczylej. A szukej akuratnie!

Gestapowiec 2 wylazi z kuchni i idzie za bina.

GESTAPOWIEC 1 (*wyciõngo z kapsy wafynroka cygarety*):

No to jo se za tyn czos zakurza. A wy se tak postoiacie i poczekomy wroz.

*Gestapowiec 1 kurzy, Matka Wojtkowsko stoi we kuchni z dzieckami.
We ôknie u Kernõw ôbserwuje ich Matka Kernowo, kiero wstała ôd stoła.*

MATKA KERNOWO:

Jedyn z wojokõw wyloz na dwor. Idzie ku stodole, trzimie flinta choby zarozki miõł szczylać.

ÔJCIEC KERN:

Dyc cie widać zza tyj gardiny. Siadej do stoła.

MATKA KERNOWO:

Wloz do stodoły.

ÔJCIEC KERN (*nerwowo do dziecek*):

Jak żeście pojadyły to schraniać skorupy do zlywa i biercie sie sam na dwõr polotać. Ale za chałpõm, niy przy drodze!

Dziecka gibko schraniajõm skorupy i wylatujõm z kuchni. Ôjciec Kern idzie ku swoji babie i tyż filuje zza gardiny.

ÔJCIEC KERN:

Wylazi ze stodoły. Som?

MATKA KERNOWO:

Sôm. Niy znod go. Dziynki Ci, Ponbõczku.

ÔJCIEC KERN:

Wejrzi ino, tyn drugi terozki wylazuje z chałpy.

MATKA KERNOWO:

Jeronie, idôm do nos...

ÔJCIEC KERN:

Przestoń! Dyc niy momy sie czego boć. (*Ôtwiyro niby dźwyrze i kłanio sie. Włazi Gestapowiec 1*) Witomy, witomy.

GESTAPOWIEC 1:

Jo ino na chwila.

MATKA KERNOWO:

Tyju sie napijecie, abo kawy?

GESTAPOWIEC 1:

Niy, niy trudźcie sie. Jo sie wos chcioł ino zapytać ô tego waszego sonsiada. Doszły nos suchy, iże ôn sie tu kajś schowoł. Widzieliście cosik abo słyszeli?

MATKA KERNOWO:

A kaj tam schowoł. Pitnoł! Dyc ôna, ta jego baba, dziynnie z nudelkulôm na niego czeko. Samyj jôm ôstawił, z dzieckami!

GESTAPOWIEC 1:

A wy co mocie do pedzynia w tym tymacie, Herr Kern?

ÔJCIEC KERN:

Możno i sie schowoł, ale niy tu. Mie sie zdo, co ôn kajś uciyk za granica.

GESTAPOWIEC 1:

A tyn Kurczok, tyn co sam miyszko dwie chałpy dali tyż uciyk? My tam byli, ale tam ino tako szpetno baba po placu łąziła.

ÔJCIEC KERN:

Tyn Kurczok to z Wojtkowskim razym sie trzymali, to i pewnikiy wroz kajsik uciykli.

GESTAPOWIEC 1:

Môm nadzieja, iże mie niy cyganicie.

MATKA KERNOWO:

My? Vos? Przeca my sôm Nymce!

GESTAPOWIEC 1:

Ja, ja. Nymce.

Gestapowiec 1 wylazi od Kernōw i idzie na droga, kaj czeko na niego Gestapowiec 2 i wroz złażôm ze scyny.

ÔJCIEC KERN:

Ja, my sôm Niyemce, ale musza prziznać, iże te niyftore Niyemce sôm rychtych gupie. Szpetno baba, dyć to sôm Kurczok przebleczony w kiecki! (*chichro sie*).

SCYNA CZWORTO

Tak jak w scynie piyrszyj ino nad binôm napis: Rok 1943. Na drodze stoi Matka Wojtkowsko, a wele nij Matka Kernowo.

MATKA KERNOWO:

Coście tako markotno?

MATKA WOJTKOWSKO:

A bo mōj nojstarszy zaś niy przijechōł na noc do dōm. Niy ma go już drugi dziyń.

MATKA KERNOWO:

Dyć to niy piyrszy roz.

MATKA WOJTKOWSKO:

Ale to jeszcze bajtel, ôn mo ino szesności lot...

MATKA KERNOWO:

To już przeca chop. Jo go widziała w zesłym tygodniu, karlus z niego, ino jakiś taki markotny, choby wy.

MATKA WOJTKOWSKO:

Ôn sam przijyżdzo z roboty i nic niy godo. Czasym wrzeszczy na spaniu, czasym je taki wylynkany. Jo zech mu godała, coby tam niy jeździł, ale ôn godo, że jak mus to mus. Ôn niby je w tym ôbozie, a niby niy je.

MATKA KERNOWO:

Powiydźcie mi ino, ôn je we tym Auschwitzu?

MATKA WOJTKOWSKO:

Jo już sama niy wiym, dyć tyn mōj synek mi nic pedzieć niy chce. Pedzioł mi ino, iże naôglondōł sie tam takich rzeczy, comu sie to bydzie do końca życia berać we spaniu. Dziyinnie musi ciś na bana, tam ich wsadzajōm w cug i wiezōm kajś tam niydaleko Auschwitza. Pedzioł co robi we jakiś chemie-werke, czy jakoś tak. Ôn niby je we ôbozie, niby niy. Meldować sie musi, ale do chałpy na noc go puszczajōm. A terozki zaś go niy ma dwa dni.

MATKA KERNOWO:

Rzykejcie do śwyntego Judy, ôn je ôd beznadziei.

MATKA WOJTKOWSKO:

Rzykōm dziynnje do Ponbōczka, Nojśwyntszyj Paniynki, śwyntego Judy...

MATKA KERNOWO:

Powydźcie mi ino jeszcze, po jakimu go tam wziyni?

MATKA WOJTKOWSKO:

Bo żech niy wyzdradziła kaj je mōj chop i wōm tyż dziynkuja, żeście niy wyzdradzili, a wiyim, że wiyecie... A moigo nojstarszego wziyni, bo se tuplikowali, co jo zarozki im powiyim, ale tyn mōj synek mi tak pedzioł: „Matka, jo wytrzymia, to i ty wytrzymej i niy wyzdradź”. Toż starōm sie strzimać...
(*zaczyno ślimtać*).

MATKA KERNOWO:

Docie rada, a my wōm z moim przeca pomagomy.

*Słyhać kroki. Na scyna włazi nojstarszy synek Wojtkowskich.
Ze spuszczonōm gowōm włazi do kuchni i siado przy stole. Niyruhomieje.
Matka Wojtkowsko i Matka Kernowo patrzōm za nim.*

MATKA KERNOWO:

Dyć patrzcie, prziszōł do dōm. Idźcie do niego, a niy wypytujcie, bydzie chcioł, to wōm sōm wszystko powiy.

Matka Kernowo idzie do swoi kuchni. Matka Wojtkowsko wlazuje do swoi kuchni i głosko synka po gowie, ōn sie do ni przycisko. Nic niy godajōm.

SCYNA PIŌNTO

*Tak jak w scynie piyrwszy ino nad binōm napis: Rok 1945.
Na drodze stoi Matka Wojtkowsko, a wele ni Matka Kernowo.*

MATKA WOJTKOWSKO:

Coście tako markotno?

MATKA KERNOWO:

A bo mōj naszkryfłōł z Rusōw, z tego Woroszyłowa.

MATKA WOJTKOWSKO:

Widzicie, żyje, a takżeście sie ô to starali. Dyć durś żyje.

MATKA KERNOWO:

Żyje, ale kaj? Mie sie w łepie niy mieści jak to daleko ôd nos, wiera to je kilometrów? I po jakimu tam je, bo cza im chopa do roboty? Niy majôm swoich? Po jakimu u nos sie panoszôm, godajôm fto kaj mo robić? Czamu akurat moigo arestowali, dyc' ôn żodnymu niy ukrziwdził... Jak zech to czytała, co ôn mi naszkryfloł, to jo wiyim, iże ôn mie cygani i wcale mu tam niy ma dobrze. Ôni mu tak kożôm szkryflać, a mu tam pewnikiyim zima, głôdno i ckliwo za familiôm.

MATKA WOJTKOWSKO:

Godajôm, iże sporo chopa wziyni, modych i starych...

MATKA KERNOWO:

Ino czamu moigo? Ale, ale, powiydzcie mi ino, wasz sie tam cosik dowiadywoł?

MATKA WOJTKOWSKO:

Ja, widzicie, akuratnie zech do wos szła. Mōj wczoraj bōł w Katowicach z jakimis' urzyndowymi papiōrami i godoł mi, co ponoć sôm wojewoda sie w to zaangażowoł i ftosik tam jeszcze, ale niy pamiyntôm fto, bo niy mōm gowy do tych wszyskich mianōw.

MATKA KERNOWO:

Ale co robiôm? Mie trza konkretōw!

MATKA WOJTKOWSKO:

Godoł iże jakiś spisy robiôm tych, kierych wywiyżli i ponoć starajôm sie tyż, co by tych z niymocami i starych nojpiyrw skludzić nazod.

MATKA KERNOWO:

To możno i moigo, ôn mo czasym hercklekoty. Możno uznajôm go za słabego.

MATKA WOJTKOWSKO:

Możno ja. Trza mieć nadzieja.

MATKA KERNOWO:

Podziynkujcie waszymu za te dowiadywaniny sie. Fest mu podziynkujcie.

MATKA WOJTKOWSKO:

A za co tu dziynkować, przeca my sôm sonsiady. Trza se pomagać. Przeca sami to wiyecie, a godocie chobyście niy wiedzieli.

MATKA KERNOWO:

No ja, no ja.

MATKA WOJTKOWSKO:

Trza mieć nadzieja, iże hned a bydzie nazod. Rzykejcie do śwyntego Judy,
ôn je ôd beznadziei.

MATKA KERNOWO:

Rzykôm dziynnne do Ponbōczka, Nojśwyntszyj Paniynki, śwyntego Judy...

SCYNA SZŌSTO

*Nad binōm napis: Woroszyłow. Cōlko bina je pusto, ino na środku
na stołku siedzi Ôjciec Kern i trzimie w gości papiyr. Czyto.*

ÔJCIEC KERN:

Ja, ja... To żech sie doczkoł.

*Nogle wypuszczzo papiyr z gości, chyto sie za herc i zlatuje ze stołka.
Niy ruszo sie. Na bina włażōm dwa ruskie wojoki.*

RUSKI WOJOK 1 (*sztucho nogōm Ôjca Kerna*):

Kipnoł.

RUSKI WOJOK 2:

Godocie, iże umarty?

RUSKI WOJOK 1:

(biere papiyr i czyto po cichu):

Umarty, a jutro mioł sie brać do dōm. Niy zdonżył.

RUSKI WOJOK 2:

Trocha szkoda.

RUSKI WOJOK 1:

Co ty fandzolisiz? Dyc toNiymiec! (*kopie umartego Ôjca Kerna*)

Ôjciec Kern leży na binie, ruskie wojoki s nij złażōm.

SCYNA SIÓDMO

*Cołko bina pusto ino na śródku stoi ławka, na kiery siedzōm
Matka Wojtkowsko i Ôjciec Wojtkowski. Nad binōm napis: Sporo lot po wojnie.*

MATKA WOJTKOWSKO:

Wejrzij ino, co tyn chadziaj porobił z Kernowiznōm. Dyc to istno ruina.

ÔJCIEC WOJTKOWSKI:

Tyla dobrze, iże tego niy widzōm.

MATKA WOJTKOWSKO:

Możno im niyftorym w tym Reichu tera lepij. Možno sōm terazki rychtych na swoim? Matka Kernowo już tego niy doczkała, zemrziło ji sie zanim niyftore dziecka wywandrowały do Reichu. Ci co ôstali, to chyba czujōm sie Polokami. Ôbejrzij: jedno familia, a w ni Nymce i Poloki. Po jakimu jedni tukej ôstali, a tamci wywandrowali?

ÔJCIEC WOJTKOWSKI:

Sōm Ponboczek to ino wiy, po jakimu nasze życie taki pomatlane.

MATKA WOJTKOWSKO:

Tela lot my miyszkałi chałpa naprzeciw chałpy, tela my przeszli. Možno i lepij, iże Ôjciec Kern tego niy doczkoł, bo jakby doczkoł, to by tukej zarozki zemrził.

ÔJCIEC WOJTKOWSKI:

Ale przinojmij na swoim by zemrził, a niy kajś tam w Rusach. Dyc Kernowo nawet niy mogła go do truły ôblyc, nawet niy mog być pochowany.

MATKA WOJTKOWSKO:

A taki to byli dobre sonsiady. Świyć, Panie, nad jejich duszami.

ÔJCIEC WOJTKOWSKI:

Amyn

ZBYTE

POSŁOWIE

Helmut Kern, syn Samuela urodzony 01.11.1900 r., zm. 14.07.1945 r. we Woroszyłowiu. Uznany za zmarłego w 1947 r. Jego nazwisko zostało upamiętnione na tablicy pamiątkowej, znajdującej się na jednej z mikołowskich kamienic – tablicy upamiętniającej mikołowian wywiezionych w 1945 r. do sowieckich łagrów.

Losy rodziny Wojtkowskich i Kernōw przeplatają się ze sobą już drugi wiek. Monika Wojtkowska (Matka Wojtkowsko) i Mika Kern (Matka Kernowo) chodziły do jednej klasy szkoły powszechnej, a później przez wiele lat mieszkały w sąsiedztwie; Antoni Wojtkowski (syn Moniki i Antoniego Wojtkowskich, a jednocześnie mój ojciec) i Zygmunt Kern (syn Miki i Helmuta Kernōw) również chodzili do jednej klasy szkoły podstawowej, Zygmunt później wyemigrował do Niemiec; wnuczka Miki i Helmuta Kernōw obecnie uczy mojego syna języka polskiego.

(mōnolog dialogizowany)

FRANK FUTERECK... A DALIJ:

Kōnder Widera, Gizela Pyrchala, Ziga Lipiński, Helmut Wilke, Bercik Profaska, Lyjo Kolyn, Usik Bortel, Adolf Cipa, Gustek Pyrchala.

Pisza sie Futereck. Mōj urgrosfater pisōł sie Futter. Jednako, kej wszystkie inksze Futtry ôd familije pisali sie bez storocza. Nale przōdzij kajś sie straciła jedna szkryfa a dalij snadnie jedyn ale guchawy eli pitōmy farorz spisoł familijo tydniowego ôpy ze słyszynio i dodoł przy kōńcu trzi inksze szkryfy. Blank bez cweku. Nale erbowizna pitōmego farorza sie ôbstoła. Nale to je ale małowożne. Niy ô tym chca terozki ôsprowiać.

Mōm na miano Frank ôd piyntnostego lipiynia tego roku pańskiego, we kerym światu ukozoł sie Hochzeitsmarsch Mendelssohna, Muter Pōnbōczkowo Bernadecie we Lourdes, Hymen Lipman z Filadelfije wystaroł sie ô patynt na blajstift a Wilhelm Friedrich Ludwig von Preußen ôstoł regyntym pruskim. Nale to wszystko je ale małowożne. Mianuja sie Frank a niy Franz eli Francois skiż tego, co mōj fater poszoł mie zgłōsić do amtu fest chycōny a hań trefił na tyż trefiōnego byamtra. Żodyn tego niyskorzij już niy sprościł i skuli tego umfalu mianuja sie Frank i jestech persōnōm kiero tyrczy wyszpanowano miyndzy dziewiynnostym a dwadziestym storoczym. Nale to je ale małowożne. Niy ô tym chca terozki ôsprowiać.

Tōż mianuja sie Frank Futereck i jestech policajym. Fōndamyntnie wachmajstrym. Jestech policajym wachmajstrym we Nikolaikrais Plessprovintz Oberschlesien. Jestech policajym bezma trzidziściōziym lot. Jo, rodzōny we ece pruskigo landu, we sztacie Weissenburg provintz Elsass-Lothringen, kery wtynczos bōł przy Francyi, trzidziści lot do zadku trefiłech sam, ciepiynty bez cufal we ta drugo eka pruskigo landu i ôstōłech. Skludziłech sie sam, skuli mojij. I to bōł echt deckmantel po tymu. Nojlepszyjszy. Moja Adela. Dwajścia dziwiynć lot yno moja, a terozki to już pospołu – moja a Pōnbōczkowo.

Mianuja sie Frank Futereck i jestech piyndziēsōnt dziewiynć lot stary. Wieda żywobyçi na Gōrnym Ślōnsku. Roz za kej myndykuja, fto jo tak rychtig

je? Ślōnzok? Abo skiż miysco rodzynio Francuzok? A można jednako kej fatry ôd generacyjōw Alzaciok. A można ganz ajnfach Prusok? Myndykuja, ôd kiedy cudzy ôstowo swojokiyim? Można ôd szlagu a można w żodyn roz? Można sie do kōńca żywobycio ôstowo tym, kierym sie stanyło zarozki po rodzyniu? Nale to terazki je ale małowożne. Niy ô tym chca terazki ôsprowiać.

Mianuja sie Frank Futereck i jestech policajym we Mikołowie. Dzisiej mōmy dwadziestego marca dziewiyntnostego i na drugi dziyń nastanie jor. Nale terazki mōmy jeszcze zima. Dnie sie robiōm cieplyjsze i wele polednia resztōwki śniega przemiyniajōm we woda. A kapki wody ze drynicy klupiōm ô blachowy fynsterbret. Ôbdrzistany bez frechowne mikołowskie pultry. Siedza za srogim szrajbtiszym we ancli na odwachu i czekōm. Cołki żywobyci je jednym srogim ôczekowanym, nale zawdy tak rychtig to sie niy wiy ani na co. Nale dzisiej moje ôczekowanie bōło klarowne. Ôd rana czekołech na jedna baba a ôd pōł godziny na posterōnkowego Widery, kiery miōł przinijść ôd Ceglarka sztamfkartofle posute sznitlochym a świyżego brateringa i kufka zimnego tyskiego. Na ratuszu gynał pizło dwanoście a lichy klara zacza filować do ancli bez zmaraszōne ôkna. Na dole głymboko zawarczōł motōr jakigoś lajścioka. Dugo po tym, kej skryncił na ring, jeszcze brōnczoł glas ôd ôkiyn.

Jestech policajym i zowdy mōm ôrdnōng. We żywobyciu, we ôblyczu, we arbajcie, na szrajbtiszu i we papiōrach. Yntlich, we gowie. A ôrdnōng dowo spokojnoś. Dzisiej miōłech ôrdnōng, miōłech tyż ruła. Papiōry na jednyj kupce, aktyntasza na drugij, filok nafolowany tintōm, naszpicowane trzi blajstifty. Ôczekowōłech. Na baba i na brateringa ze szynku ôd Ceglarka. Bōło można trzi ćwierci na jedna, kej doszoło do mie klupani do dźwyrzi. Ôd szlagu uzdołech, co na zicher prziszła ôna... ta ôczekiwno. Sprowa. Przitrefiynie. Epizod we fachu.

Zatym zdōnżyłech coś ôdpedzić, dźwyrze sie uchylily i do ajncli wloz Widera. Mody, wyzgerny posterōnkowy. A za ônym pokozala sie baba we szadym ôblyczu. We siwym mantlu z rubego sztofu z pelckraglym, siwym szalu, siwych pōńczochach i czornych szczewikach na rubym krōmfleku. A pospołu ku tymu wszyskimu wymiynszane wōnie:

jakigoś ajnfachowego parfinu, drzywianego smōndu, czegoś wilgłego a chymje na mōle.

K.W. (sztram):

Herr wachmajster, prziszła ta baba kieryj daliście forladōng!

F.F.:
Hyjstycajt! Wkludzejcie, posterōnkowy, wkludzejcie! I sami tyż ôstońcie.
Bydziecie szrajbować!

K.W.:
Byfel herr wachmajster! (*siado za szrajbtiszym we ece*)

G.P.:
Dobry...

F.F.:
Dobry... Zicnijcie sie, ja? Jo je Futereck. Frank Futereck. Wachmajster. Posterōnkowy Widera sam ôstanie a bydzie wszystko spisowōł... Ales klar?

G.P.:
Ja...

F.F.:
Widera? Sōmeście fertich? Tōż zacyzyny! Wyście sōm Gizela po chopie Pyrchała?

G.P.:
Ja, gynał.

F.F.:
Ôńskigo roku zgłoszaliście stracynie waszego chopa, Augusta Pyrchały?

G.P.:
Herr wachmajster! Sami żeście przeca spisywali te zgłoszyni!

F.F.:
Ja! Nale takie mōmy prawidła! Ôrdnōng mus zain! Musza dopytać!

G.P.:
Tōż jo wōm terozki musza yno przikwolić... Ja! Zarozki po Godnich Świyn-tach zgłoszałach, co mōj ślubny August Pyrchała sie stracił i niy pokozoł dōma!

F.F.:
Skuli tego dołech wōm forladōng! Mōmy ale wiela do ôbgodanio, Pyrchałko. Beztōż lepij sie terozki zicnijcie.

G.P.:
Jezderkusie! Wiadōmo wōm co z mojim chopym?!...

F.F.:
Poleku, Pyrchałko. Do wszyskigo dońdymy... Szritwaisse, wycie jako? Krok za krokiym. A kej już dońdymy do kōńca to padōm wōm, lepij, kej wtynczos bydziecie zicać.

- G.P.:
Niy umiecie pedzieć ôd szlagu, herr wachmajster?! Znodliście mojego chopa?
- F.F.:
Znodli my umrzika, Pyrchałowo...
- G.P.:
Jezderkusie! Augusta?!... Niy! Niy! Niy! Jo nikaj niy ida! Do żodnyj marownie... mōmy marzec a mōj sie stracił trzi miesiōnce tymu... Forszteluja sie, co może ôstać ze korpusa człowieczego po takim czasie... Troszka kości a marasu... Rest ôd tego, co niy zeżarły roboki!
- F.F.:
A katać tam, Pyrchałko! Jo sie niy wybiyrōm z wami do marownie...
- G.P.:
Na kerchōw tyż niy ida!
- F.F.:
Powiydzcie mi, Pyrchałko, po jakimu mocie te przeświadczyni, co pońdymy kajś filować na umrzika?
- G.P.:
Co wy... herr wachmajster! Sōm żeście prziznali, co nojdziońy ôstoł umrzik...
- F.F. (*ôtwiyro akta*):
Akuratnie! Pokoża wōm terazki, Pyrchałko, aufnama... Powiyecie nōm, ezli znocie ta persōna, ja?
- G.P. (*filuje na fotografka, ôtwiyro gymba, przesłōnio ôczy*):
Jezderkusie! Weźcie to!
- F.F.:
Pra? Niy ma za fest urodliwy. Nale mało kiery ferbrant je gryfny...
- G.P.:
To je... August?
- F.F.:
Niy! To je Cipa! Adolf Cipa. Stary brynoł a elwer. Mioł untersztand kajś na Kiferbergu. Borok zgoroł bodej jeszcze bez zima. Musiōł usnōńc przy ôgniu. Ôńskigo tydnia trefił bez cufal na zgorałego umrzika feszter Kukla... Dzi-czyna tyż ônego już troszyczka napoczła ôgryzać...
- G.P.:
Fuj! Po jakimu pokazujecie mi jakigoś ôszkliwego umrzika!
- F.F.:
Musicie mi jedno wyerklerować... Skoźcie mi, Pyrchałko, wela wy mocie we wercie ludzki żywobyçi? Mocie jaki prajs na taki coś?

G.P.:

Co wy... herr wachmajster!

F.F.:

Wy sama sie niy możecie spōmnieć to jo wōm powiyim, Pyrchałko! Jo myndykuja, co podug was, Pyrchałko, człowiece żywobyci je tauzynmark we wercie. Mōm recht?

G.P.:

Tauzyn marek?! Herr wachmajster! Jo w żodyn roz takigo geldu niy widziała!

F.F.:

No! I taki, dejmy na to, Usik Bortel tyż niy!

G.P.:

Fto?

F.F.:

Jōzef Bortel. Taki jedyn ze Bujakowa. Mikry chopek w dziurawych galotach. Elwer, nale fest robotny. Chytoł sie wszyskiego. Siydmioro bajtli we chałpie to geldu sztyjc brakowało. Beztōż taki Usik sie uznowōł, co ludzki żywobyci je we wercie yno piyntnoście marek! Dowocie pozōr?! Usik uznowo, co ludzki żywobyci je warte piyntnoście pecynkōw. Mało, pra?

G.P.:

Niy poradza spokopić po jakimu mi godocie ô jakimś chopie, kierego ani niy znōm!

F.F.:

Ja! Wierza! Wy tego chopa na zicher niy znocie. Nale, dejcie pozōr bo można drugigo chopa już bydziecie znać? Mikołowiok! Helmut Wilke! Godo wōm to coś te miano? Tyż niy? Można i niy... wy przeca ôd Katowic...

G.P.:

Ôd Bogucic...

F.F.:

Ja! Egal! Ôd Katowic eli ôd Bogucic. To je terozki ale mało wōżne! Wyście sie sam przekludzili na Mokre we dwanostym za ślubnym, pra? Skiż tego rychtig możecie niy znać Helmuta. Wiycie... Helmut Wilke to taki mikołowski wigyjc a mylbuks. Ōn tak... halb tu halb. Pōł majorantnego żywobycio hauzyruje u muter na Tajchtsztrasse a drugo połōwka we cuchthauzie. Co prawda, po krigu sie troszyczka usatkwōł, roboty u Biszla chycił nale... Ōńskigo tydnia zaś trefił do hareshu po tym, kej we gasthauzie u Warzechy chycił sie ze jakimś chopym, kery ôkozoł sie być byamtrym we magistracie. I to jednym ze tych zocnijszych, wysoko postawiōnych. Ponoś to naprany

byamter sztuchnôł Helmuta, wylôł na szaket pól kufki biyra i przipolił gorść cigaretôm. Nale nostympny ruch wykludził Wilke. Byamter ze połômanym gryzokiym a wybitym lewym ramiyniym trefił do lazereta na Klosztorno. Krôm tymu, co wtynczos już niybôł za fest monter to coś jednak z tego przitrefiynio spamiyntôł. A nojbardziej to Helmutowo gymba. Tõž kej yno troszka wydobrzoł, podôł Helmuta na policyjo. No i trza bôło zawrzić rozwiezionego chachara. Ôd ônego sie dowiedziolech, co sie werci żywobyci... Niy zgodniecie...

G.P.:

Dwajścia?

F.F.:

Ja, yhm! Dwajścia! Helmut sie niy rozmiynio na drobne! Dziesiyńc razy tela! Ôn sie winszuje za żywobyci cołki dwiesta marek!

G.P.:

Dwiesta! Fulocie!

F.F.:

Ja! For got! Helmut pado dwiesta! Nale już taki Jorg Prohaska yno sto...

G.P.:

A to co zaś za persôna? Wyście sie herr wachmajster uwziyni dzisiej na mie? Wy sie forsztelujecie, co znôm wszystkich chopów we ôkolicy? Co jo je? Jako ańfachowo fuchtla?

F.F.:

A katać tam Pyrchałko! Powiym wiyncyj... Wy tych chopów, ô kerych godômy, blank niy znocie...

G.P.:

To po jakimu?... Co z tym umrzikiym?! Godejcie! Co z Augustym?!

F.F.:

Zetrwejcie jeszcze troszyczka, ja? Zarozki wszystko bydzie ales klar!

G.P.:

Tõž czekôm, herr wachmajster, choć mi sie zdo, co yno mitrynzymy sam czas...

F.F.:

Niy pedziołbych... Choć sztyjc môm gyfil, co czas je ôstatnio jakoś fest skyrkniõny. Leci za wartko... Nale... Jorg Prohaska. Ônego niy znocie na zicher, skiż tego, co Jorg pochodzi aże ze Przegyndzy. Wiycie kaj je Przegyndza? Niy? Jak sie rajzuje na Rybnik! No! Nale to je terozki ale małoważne! Toż tyn Jorg Prohaska se miyni, co ludzki żywobycie sie werci yno sto marek!

G.P.:

Wyboczcicie, herr wachmajster, nale jo zgupna zarozki przy tyj waszyj godce! My sôm na jakim torgowisku? Kartoflami idzie handlyrzyć, grincojgiym, gowiedziôm nale niy ludziami!... Jaki Jorg?! Jo niy widza w tyj godce ani fônta cweku!

F.F.:

No widzicie! Wy niy widzicie a jo widza! A taki Lyjo Kolyn! Chop pochodzi ôd familije, kiero kludzi roztomajte geszefty bezma ôd storoczy. Szynki, sztandy. Nale Lyjo niy mo grafki do handlyrzynio. Lyjo sie wyszaltrowoł ôd tyj familije i tych wszystkich gyszefcôw. Lajstnôł sie cyja i growôł po weselach a roztomajtych biglach! Padôm wôm, echt artysta niy żodyn gyszefciorz! Nale tyn Lyjo przedoł interesa tymu Usikowi, kierego już znocie! Przedoł interesa za trzidziści marek! Ludzki żywobyci za trzidziści marek! Bezma jednako choby Judosz!

G.P.:

Wiyecie wela mie to obchodzi, herr wachmajster?

F.F.:

A winno, Pyrchałko! Fest winno vos to ôbchodzić. Bo to jest blank inszy prajs za ludzki żywobyci niżli tyn wasz! Taki, bych pedzioł bardzij ajnfachowy, pra? Gańbiaty!

G.P.:

Jeszcze roz wôm padom, co jo niy môm prajsu na żodne żywobyci!

F.F.:

A mocie jeszcze ta gospodarka, Pyrchałko? Ôjcowizna Augustowo?

G.P.:

Hopsocie po tymatach, herr wachmajster, choby wancka po galotach! August prziszôł ôd wojska bez prawicy... Ułomny... Z takim felerym ciynżko sie porać gospodarzyniym. Przedali my wszystko i wykludzili na Mikołôw do familoka...

F.F.:

Przedaliście, ja? To można mi skożecie, Pyrchałko, jako żeście sie dowali rada na tyj gospodarce, kej wasz chop bôł przy wojsku? Dwa roki, pra? Bo ônego wziyni we piytnostym? A wy niy pochodzicie ôd gospodarstwa, pra? Wyście sie sam przibrali...

G.P.:

Chowałach sie we familoku. Fater bôł smelcyrzym na Laurze. Niy môm grafki do gospodorzynio. Fatry ôd mojigo pomarli jeszcze przed krigiym,

a bratek wybnōł do Goldberg. Je franiszkōnym. Ôstali my sie ze Gustkiym same. Juź pryndzyj, zatym jeszcze napoczōn sie tyn krig przilazowoł pomo-gać Lucek, kuzyn ôd mojigo. I taki jedyn ôd Śmilowic. Jakoś to fōngowało. Nale Gustek poszōł wojować, a rok dalij Lucka tyż wziyni do wojska i wtyn-czos bōło juź cinyżko bo tyn Śmiłowiczok fest ślepōł i wiyncyj bōło śnim ôstudy jak pożytku...

F.F.:

A Ziga Lipiński? Kedy ôn zaczōn u wos arbajtować?

G.P.:

Fto?!

F.F.:

Niy lycie sie żurym! Polok! Zygmunt Lipiński! Trefił sam we siedminostym eli pryndzyj?

G.P.:

A! Tyn! Ja... prziszōł sam za robotōm. Robił po gospodarzach...

F.F.:

Na zicher musieliście mieć fol tyj roboty, Pyrchałko, kejōnzaczōn yno u wos arbajtować!

G.P.:

Ôstałach samuśko ze wszystkim!

F.F.:

Z dnia na dziyń sie wkłudził ku wōm, pra? I dowaliście ônyemu plat eli yno kust? A można co wiyncyj? Chciołech pedzieć, co sōmeście ale fest imfin-tlich! Ja! Robotota dowocie cudzym, interesa doglōndocie. Flyjgujecie wszy-sko... A wasz chop przy wojsku kajś we Francyjji, ja?

G.P.:

Forszlagujecie co...

F.F.:

Jo nic niy forszlaguja, Pyrchałko! Jo yno anfraguja na gos! I tymu chopu że-ście dali kwatyr kajś przy gowiedzi eli ôd szlaga we waszyj chałpie?

G.P.:

Herr wachmajster! Wyście sōm ale wrazielaci! To mōj interes!

F.F.:

A to mōj fach! Wypytować a feslować roztomajte fakta! We siedminostym wasz chop dostōł szus i trefił do lazareta, pra? Ramie bōło fest felerne, a chi-rurgi musieli ône amputyrować! Kej wydobrzeło to prziszōł do dōm? Jakoś tak w połowce augusta siedminostego? A Lipiński ôd szlaga ôd wos wybnōł?

tymu i ôna mo na miano August! August Pyrchała! I ta zowada trza pobulić a prajs ku tymu to jedyn tautzyn marek, pra?! Tela żeście dali Lipińskimu za uśmiercynie waszego ślubnego?!

G.P.:

Fto wōm tak pedzioł?! Ôn?! Tyn Lipiński?! To je ônmyjglich!

F.F.:

Padocie, co to je ônmyjglich? A po jakimu tak godocie?

G.P.:

Bo ôn by nikyj... Bo jo wiyom co ôn tam snokwio?! Eźli już co padōł, to wszystko sie musioł sōm umiynić a ôbcyrklować! Ôn, niy jo! Jo je blank niywino-wato!

F.F.:

A my znōmy ale blank inkszo wersyjo, Pyrchałko!

G.P.:

Fulocie! Wszystko to je ale niyprowda!

F.F.:

Niyprowda?! Jeszcze niy wiyecie, co wōm chca pedzieć, a już padocie co cygania! Powiyom wōm jako je prowda, bo ôd kogo inkszego sie niy dowiyecie! Tyn cołki Lipiński wos ale ôcyganił! Cyganił ôd tego dnia, kej sie yno do wos wkłudził... Już wtynczos zaczōn wichlyrstwo, a wyście bōli yno werkcyjogiyom. Nale pewnikiyom mogliście tego niy zmiarkować skuli tego, co mody karlus fest wos zbamōncił. Wtynczos żeście zaczyni żyć ze sobōm, pra? Gyszichta znano ôd storoczy! Dwie mode wyposzczōne persōny majōm sie ku sia... Aże ludzie po wsi zaczyni godać... I już wtynczos prziszōł wōm do łepy tyn idyj, co wasz ślubny wōm yno zawodzo! Styknie sie yno ônego pozbyć, dalij przedocie bauerstwo i wyzbniecie kajś do świotu! Trufaliście pewnikiyom, co można August ôstanie kaj nad Marnōm. Pewnikiyom herc wōm zaklekotōł, kej dostaliście brif ô przitrefiyniu Augusta, nale nadziejo wartko zgosła kej prziszōł nazod ôd lazareta! Trza bōło zrychtować wartko jakiś ablyjzōng! Umiyniliście przedać bauerstwo. I mieliście Lipińskigo kiery miōł pozbyć sie waszego chopa! Tela yno, co Lipiński ôsobliwie przoł niy wōm a waszym piyniōndzōm, Pyrchałko! Mioł ôd wos ôbiecany geld za uśmiercynie Pyrchały! Tautzynmarek! I to bōł wasz prajs za żywobyci waszego chopa!

G.P.:

Suchać sie tego niy do! Już wōm padałach...

F.F.:

Niy pauzujcie Pyrchałko! Lipiński pokozoł sie mocny, nale w godce. Ôd-grywōł przed wami lagramynckigo bohatoryra a tak rychtig, kej prziszło co do czego, ôkozoł sie mamlasiaty. Tōż wymyndykowōł, co do zabicio Pyrchały znojdzie kogo inkszego. I znod. Chachara, kery niy roz bytowōł we cuchthauzie. Helmuta Wilkego! Nale Lipiński uznōł, co ônymu do yno pōł tego waszego geldu a reszt sie weźnie do sia.

G.P.:

Ônmyjglich...

F.F.:

Ônmyjglich to bydzie dalij! Wilke można i bytowōł po cuchthauzach nale niy bōł w zodyn roz mordyrzym. Chacharym, krodziokiym, rojbrym, ja! Niy mordyrzym! Nale spōmniōł sie, co hańdownij we hareszcie trefił chopa, kie-ry je masorzym. Uznōł, co masorz niy bydzie miōł problemy ze zbiciym. Ônymu przeca je egal. Gowiydź eli persōna. Wzion halba, siod do cuga i porajzowōł do Przegyndzy! Tela yno, co Jorg Prohaska rod rychtowōł roztomaj-te szpecjały, nale niy rod zbijoł gowiydź. A co dziepiyro czowieka. Nale Jorg tyż bōł chytry na leki geld. Zatym sie rozeszli, miglanc Wilke doł Prohasce przyôbiecka geldu, tela yno, co bōło tego dwiesta marek ze przyôbiecanych bez Lipińskigo piyńciu stōwek. Prohaska myndykowōł fest bez pora dni, aże wymyndykowōł, kamrata ôd wojska. I tukej sie pokazuje Lyjo Kolyn. Chop zatōnkany we chmōrach. Lajermōn. Poeta a muzykōnt! Można jeszcze niy fynfnikorz, nale ynterbowany bez fatra, wiod żywobyci jednōm gyrōm na ausie. Profaska bōł bardziej szczodliwy i przyobiecoł połōwka z tego geldu, kery miōł dostać ôd Wilke. Kolyn miōł dostać sto marek za pozbycie sie waszego chopa, Pyrchałowo! Widzicie, kej sie wszystko zaczyno nōm gryfnie kuplować? Nale jeszcze my niy sōm fertich! Lyjo Kolyn można bōł bydocina nale jeszcze niy ciarach. A juź na zicher niy mordyrz. Niy myndykowōł za wiela yno na drugi dziyń siod na koło i popyndalowōł na Dymbiyńsko. Spomniōł sie chopa, kiery miōł lang chyb geldu a przy tymu cołko hurma bajtli na kuście. Tego chopa znocie. Jōzef Bortel. Troszyczka sie Lyjo ze Usikiym targowali i stanyło na tym, co Usik zōnaczy tyn auftrag za trzidziści marek. Usikowi ôd szlagu zdało sie, co to bydzie ale leki geld. Forsztelowōł sie, co styknie zrychtować jaki umfal i sprawa sie rozploczce sama ôd sia. Myndykowōł, myndykowōł bez pora dni, nale kōńcym uznōł, co niy poradzi nic wyno-kwić. Wtynczos sie wybrōł bez Kolonijo do lasa na Kiferberg. Hań we dziu-rze w erdzie bytowōł jedyn chop. Bortel chopa znoł ôd czasōw, kej cuzamyn

arbajtowali po roztomajtych bauerach. Do czasu, aże chop przy jakimś trefie sie pozbył sztyrech palców u prawicy i lewego ślypia. Niyskorzij to tamtyn już yno ślepōł. Rozum miōł wypolōny bez bryna! Ja! Chop bōł ale srogi bry-nol. Tōż Bortel sie uznōł, co ōn niy bydzie za fest wymyślaty i za piyntnoście marek zōnaczy co yno a przy tymu niy bydzie ōnego tyrpać sumiyini. Ōbiecoł chopu tyn mikry doś geld i prziszōł nazod do baby a bajtli. A chop sie ōd szlagu wybrōł na Mokre! Trefił bez problyma do waszego bauerstwa. Zaczōn wachować na kraju lasa zarozki za płotym waszego bauerstwa. Miōł flaszka jakijś berbelōwy, miōł kōnsek żymyły. Miōł fol czasu. Czekoł aże sie troszyczka zećmi. I miōł glik! Wele szwortyj po połedniu przifilowoł chopa, kery wyloz ōd wos z chałpy i skryncił do lasa. A we lesie już ōczekowōł na ōnego tamtyn... Tak rychtig to niy ōczekowōł yno myndykowōł, jako zarobić na te piyntnoście marek. Nale kej uwidziōł, co ftoś wylazuje ze waszjy chałpy to uznōł we tym swoim zabelōntanym rozumie, co to musi być na zicher tyn, kerego miōł ukrziwdzić. Piznōł chopa pora razy sztechetōm bez gowa a kedy tyn ōstoł sie bez dychu zasmyczył nad stowek i ciepnōł do wody. Bez noc chycił mrōz i nieboszczyk znod sie pod lodym...

G.P.:

Ja! Ciekawoch skōnd wōm to wszystko je wiadōmo?

F.F.:

Spōmniōlech wōm ō Usiku... Kajś mōm sam ta aufnama...

G.P.:

Nie wiym czy chca... Jezusiczku! Matko Bosko!

F.F.:

Ja! To ōn!. Bajtle znodli wisieloka na gałynzi na Kiferbergu bodej niedaleko ōd miejsca bytowanie Cipy. Ōżyrok Cipa lazowōł po wsi i asił sie tym co spochoł kaj yno, choby ōczekowōł ōd ludzi jaki zocy! Tako już je czowieczo natura, co koże nōm sie angjybować. Nale ludzie za fest niy dowali wiary godce ōchlapusa. Nale Bortel już ja... Ōn jedyn uznōł, co Cipa godo prowda! Biydok nale hyski, prawy a tyż fest imfintlich. Dziepiyro na tyn czos spoko-pił, co zrychtowōł. I te myśli musiały ōnymu ciōnżyć choby berga na hercu, co yntlich ōpowożył sie zaciepnōńc powrōz na kark...

G.P.:

Jo niy widza żodnego cweku w tyj waszjy godce, herr wachmajster! Ōżyrok Cipa ubił jakigoś chopa, inkszy sie ōbwiesił a mie chcecie przypisać wina?! Jo niy miała z tym nic do czyniynio!

F.F.:

Tõž dowejcie pozõr! Cipa juž je umarty, nale mõmy glik! Przõdzij pokozoł sie u Bortla rozrachować a doł õpis cołkigo przitrefiynio. Tyn zaš zaty m sie õbwiesił wygodoł sie Kolynowi. Terozki Lyjo we sumiyni durch gorało, choby to õn bõł mordyrzym! Kõńcym, wybroł sie na Mokre. Musiõł miec ale dziwno macha kej trefił we szynku u Kusia żywego Augusta!

G.P.:

Nale... Niy kapuja! Kedy to bõło? Jezderkusie! To fto je zatõnkany w stowku?

F.F.:

Wy juž to wycie, pra? Nale wejrzycie jeszcze na ta aufnama... Chop ležõł pod lodym õd decymbra tõž niy ma za gryfny, pra? Jeszcze ta rozczaskano gowa... Ežli chcecie swrocać to godejcie zawczasu! Widera wõm zõndzie po jaki cynkajmer eli waszpek...

G.P.:

To õn... To... Jerõnie! ... Niy!

F.F.:

Ja! To je Lipiński! Korpus õnego znodli my zatõnkany we stowku! Ôzarty Adolf ubił niy tego kiery bõł nacechowany yno tego, kiery wyrok wydoł! Pamiyntocie co to bõł za dziyń? Piõntek! Torg we Mikołowie. August dycki hań rajzowoł i wtynczos mieliście prozno chałpa. To bõł dlo vos nojlepszyjczy czas na tref z Lipińskim. Wymõwić sie õd rajzy na Mikołõw niy bõło ciynžko. Stykło pedziec Augustowi, co mocie boleści õd tych waszych babskich sprow... Lipiński niy chciõł, coby õnego ftoš poznõł we wsi, tõž õd szlugu śmiatoł õd vos bez fõrtka do lasa. Nale hań juž lichtowała śmiertka. Idzie pedziec, co Lipiński naraił wlosno śmierc! Byliście możno udziywiyni, co Lipiński sie przestõł na szlag õdzywać, pra?

G.P.:

Lipińskigo znałach nale hań downij! I niy trefiłach õd aprila, kej poszoł weg! Wszystko żeście sie sprownie snokwili, herr wachmajster! Tela yno, co sie niy do powiõznać mie, Cipy i niyboszczyka Lipińskigo!

F.F.:

Kolyn trefił do nos na odwach i nõm gryfnie wyšpiywoł fto, wela i kedy. Trocha zetwało zaty m my znodli masorza Prohaski nale kõńcym skludzili my chopa do Mikołowa. A õstatnio tajla tych puzli juž my mieli u nos we cuchthauzie. Helmut Wilke po starjy znajõmości sprownie wszystko nõm wyzdrazdił. U muter we chałpie znodli my geld, kerego niy zdõnżył udać, słubno fotografka wasza i Augusta, kero Lipiński zachabił z waszego albõma, coby

Wilke poznōł tego, kerego mo ubić i kartka z adresōm waszego bauerstwa, coby wiedzioł kaj trefić.

G.P.:

A jo? Ha! Na mie nic niy mocie! Sami żeście przikwolili, herr wachmajster, co Lipiński wiōd wichlyrstwo za mojimi plecami!

F.F.:

Retōng nōm dōł wasz chop! August juź przōdzij zacōn vos posōndzac... Jeszcze niy ô wichlyrstwo nale ô wyzdradzynie! Juź hańdownij, kej bōł przy wojsku doszło do ônego co wy sam wyrobiocie! Beztoż Lipiński woloł sie ôd szlagu stracić, kej yno August prziszōł do dōm. Można sie lynkōł, a można niy chcioł aufalować. Wiyecie co August znod we waszyj tasi? Dwa abzyn-dry ôd telegrama a farkarta na cug do Ligoty! Lipiński wykludził sie na Li-gota, pra? A wyście hań ônymu roz za kej dowali byzuch. Lipiński trzimōł w pucyńce we nachtiszlu pora waszych brifōw. A hań gryfnie rozpisany coł-ki forplan! Someście ale fest nierozważno, Pyrchałko! Stykło frōnkōnc te brify do kachloka!

G.P.:

To niy ma prowda!

F.F.:

Prowda je tako, co Lipiński za waszōm namowōm miōł ubić waszego chopa, a trefiło na ônego samego! Tak to je, kej sie samymu czegoś niy poradzi spro-wić do porzōndku. A przy tymu je sie chytrym na lekszyjszy geld! Tōż mocie wyćwika na przyszłość choć ta przyszłość to vos czeko za gitrami, Pyrchałko! Mocie zōnaczcyc coś zocnego, zōnaczcie sie to sami a niy spuszczejcie sie na inszych. Mocie jeszcze jakeś wōnty?

G.P.:

Durch niy mocie na przikwolyni własnych sōw żodnego ale festelnego świo-dectwa!

F.F.:

Tōż wejrzyecie na to...

G.P.:

Niy! Jo sie niy winszuja juź dzisiej ôglōndać żodnych ôszkliwych umrzikōw!

F.F.:

To niy ma aufnama! To sōm papiōry! Akta przedanio chałpy i ziymie ôd waszego ślubnego! A to sōm skrypta najmu kwatyrōnku. I niy ma to ancla yno srogi miynszkanie we Mikołowie przy Glaiwitzersztrase! Dziwocie sie

ale uwoźnie? Widzicie hań unterschrift ôd Augusta? Niy! Yno same wasze!
A padaliście, co przedowaliście gospodarka cuzamyn... Styknie wōm?

G.P.:

A August?...

F.F.:

A ô ślubnego to wy sie niy starejcie! Mo sie blank dobrze. Skuplowoł włosne
podejrzynia a to, co godali ludzie! Piyrszym cugiyim wybnōł do Breslau!
Do bratka. Hań sie durch wywiadywōł, co pochocie dalij! Daliście znać, co
chop wōm sie stracił. Trufaliście, co na amyn! Uznaliście sie za gdowa i prze-
daliście gospodarka. Byliście na tela niyôpowoźni a można za tela frech, co
miast citnōńć kajś fōrt, wy lajstnyliście sie kwatyr we Mikołowie! Tōż chned
zwekslujecie tyn szykowny kwatyr na ancla we hareszcie we Mysłowicach!

G.P.:

Herr wachmajster...

F.F.:

Widera! Ôstowcie blajstift a weźcie ta baba i zawrzyjcie na sztyry spusty!

Agnieszka Sznober, Monika Koprowska-Ludwig, Marcin Przybyła, Izabela Szobak, Bożena Mozgała, Monika Bilka, Zofia Hrybik, Justyna Hrybik, Krzysztof Bogdoł, Radosław Matysek

(Kilkudniowy Kolektyw Dramatopisarski przy Siymianowskim Cyntrum Kultury)

OSOBY DRAMATU:

KLASA 10B:

JUSTYNA

MARCIN

MONIKA

ZOSIA

BOŻENA

AGNIESZKA

IZA

RESZTA KLASY (*ódtwórzane klangi, głosy, sugerujónce, iże klasa je wiynkszo*)

RECHTORKA HISTORYJE REGIONALNYJ NOJNOWSZYJ

SYNTEZATOR MOWY

Listopad roku 2065, Federacyjō Europejskō, Stan Gōrny Ślōnsk.

Skuli rozprzestrzenianio sie wirusa kōmputrowego DIVCO2 światowo sieć informatycznō przeżywō załōmanie. Internetu idzie co prōwda używać, ale jego fungowanie je niysztabilne; ókresowo sieć bywuje bez wirus szperowanō na danym przestrzyństwie abo óstówō spowolniōnō, działo tōż wadliwie (jak na zaczōntku XXI w.). Nauka zdólnō – bydōncō wszeōbecnōm abo jedynōm na cołkim świecie formōm edukacyje – stówō sie niymożebnō. Regyrōnek Gōrnygo Ślōnska decyduje ô przejściu wszyjskich ślōnskich szkōł na nauczanie stacjonarne.

Klasa 10 B Szkoły Elymyntarnyj nr 7 w Siymianowicach (cosik jak dzi-siejszo 2 klasa liceum) po rōz piyrszy trefiō sie w połnym składzie na żywo. Niykerzi widzōm swojā klasā piyrszy rōz w ryalności pozawirtualnyj; niykerzi po rōz piyrszy nawiydzajōm budōnek szkoły. Wszyjscy piyrszy rōz zobōczōm na żywo swojā rehtorkā.

Młōdź je w klasie, kōńczy sie pauza. Kej publiczność zajmuje zice, wszyscy aktory sōm w imyntnym bezruchu, jak we sztopklōtce – wyglōndajōm niczym manekiny. „Ożyjom” pod wpływem piyrszych słōw Justyny.

*Justyna nachylono nad stołym Marcina, spoziyrō na przedmioty,
kere Marcin trzymie przed sobōm. To filōk i heft.*

JUSTYNA:

Łooo pieronie, to niy do mie. Nale powodzinyo!

Ōdwrōcō sie i ōdchodzi w richtōngu swoji ławki.

*Do klasy na wōzyku inwalidzkim wjeżdžo Rehtorka. Po klasie rozłāżōm sie szepty
udziwniōnyj młodzi: „Tyś wydziol?...”*

„Pedziałabyś?...”

„Borocka... tako fajno babka...”

Itp.

REHTORKA:

No ja, tak sie woża. Co, niy wydzieli żeście? Wiela sie znomy? Sztyry lata? Nic no, to terazki wyicie. Kejs to by bōł problem wyynkszy. A tak... to tam...

Spoziyrō na Marcina.

Jeee! Coś to przynios? Zobejrzicie ino, Marcin, pokoż im. Filok a heft! No, to sie ōroz czuja jak we szule.

*Stōwō Monika, podłazi do ławki Marcina. Stōwō naprzeciw niego, przycupuje,
coby być z Marcinem twarzōm w twarz. Wyglōndō to barzo niynaturalnie.*

MONIKA:

Skōnd to mosz?

*Ōdchodzi do swoji ławki, siōdō. Marcin stōwō i podłazi zaś do Moniki.
Podobnie jak ōna przed chwilōm, równo sie z niōm gyzichtym i ōdpadō.*

MARCIN:

Mój fater tego mo w ciule. Kej co intynsynie obmyśło, niy spisuje normalnie na kompie abo kajś, ino piyrw szkryflo filokiem we hefcie.

Ôdchodzi w richtõngu swoji ławki. W tym czasie stõwõ Justyna i chyto Marcina za rynka. Zasik powtõrzõ sie sytuacyjõ, w keryj bohatyry sõm face to face.

JUSTYNA:

Czamu?

MARCIN:

Godo, iże to je barzij organiczne.

Justyna ôdchodzi. Marcin siõdõ. Dźwigajõm sie Bożena, Agnieszka i Zosia. Kolejno podlãzõm i patrzõm w gyzicht Marcinowi.

BOŻENA:

Co?

AGNIESZKA:

Co?

ZOSIA:

Możesz powtõrzić?

Marcin idzie do koždyj kolejno i ôdpadõ to samo, bydõnc z niõm gyzichtym w gyzicht.

MARCIN:

To je barzij organiczne.

To je barzij organiczne.

To je barzij organiczne.

Siõdajõm. Rechtorka ôbserwuje jejich zachowanie.

RECHTORKA:

Słyszalãch o tym zjawisku. Ciekawe. Piyrszy roz to widza. Mocie tukej tako tabula. Możecie z nij używać, jeźli to wõm uleksi.

Pilotym sztartuje ekran za swojimi plecami abo na bocznyj ścianie.

IZA:

Jak sie z tym łonczyć?

RECHTORKA:

No, to je stary sprzynt. Nale dobry. Po wi-fi abo bluetooth.

*Szkolõrze wyciõngajõm swoje maszyny. Niykere to smartfony abo tablety,
ale niykerzi õblykajõm bp. ekstra bryle.*

Na ekranie ukazujõm sie słowa:

Iza: Wampyrz blisko na wieży dopiyro wrywoł droboczyna.

Neutro333: Siedzi. Siedzi. Lygo. Jy. Siedzi. Siedzi. Lygo. Ćma. Zaś od nowa.

Iza: Trzasnołch kowbojów niygodnym zakochiwanio sie

sshima: pokõj żeś pomyłõł

MARCIN:

Co to sõm za gupoty?

RECHTORKA:

Bodej DIVCO zaś coś motło. Niy wiem, eli co bydzie z tygo... nale coś chyto.

MARCIN:

Z jakiś inkszy klasy tyż chyto. Ôd nos sõm Neutro i sshima, nale żodnyj Izy u nos niy ma, to je ftoś cudzy.

IZA:

Jeee te...

Na ekranie słowa:

Iza: już ci to zmiyniõm. Somy live, toch sie doła prawdziwe imie. To jo, zoldi, dockej.

zoldi: Lepij?

zoldi: I naprzõd przemieszczal się 3 uciekał na dno Sekwany opuszczona maszyna świata 3 Rok szlachetny wraz z aparatem

MARCIN:

A, wyboczcie!

Ukōzanie sie ôstatnigo ciōngu słōw na ekranie swrōcō jego uwaga.

Zoboczcie sie, po rusku zaczōn tyn DIVCO ciś!

RECHTORKA:

Niy ma to ruski, jeno polski.

ZOSIA:

Ja, a Poloki to sōm Rusy.

BOŻENA:

Niy sōm Rusy, ino ich...

RECHTORKA *przerywo*:

Styknie! To niy ma tymat dzisiyjszyj lekcyjje.

A Iza mo recht, mianujcie sie po prowdzie na tym czacie.

Chwila ciszyny. Wszyjscy zmiyniajōm nicki w kōmunikatōrze.

RECHTORKA:

Już? Pokoźcie!

Dalsze wypowiedzi ukazujōm sie na ekranie.

RECHTORKA *czyto*:

JUSTYNA: Rozczyńsienie, obowa

MONIKA: W gymbie czuē leko kwaśnawy smak, bez kery ślinianki warcij robiōm. We lufcie unosi sie woń potu.

ZOSIA: Je duszno. Ekstra miynszajōm sie intynsywne wonie parfin, raczyj ciynżkich, ôstrych

BOŻENA: i niyprzijymnych. Mokre dłonie tykajōnce wiynkszości

AGNIESZKA: wyrchnie wyczuwajōm koźdo nojmyńszo niyrōwność na wyrchniach

IZA: Czuē scochy. Eli to ôd tyj kalekij rechtorki?

Chwila niyzryncznyj ciszyny.

IZA:

To niy jo... To...

RECHTORKA *oschle*:

Wiy. Marcin, czamu tyś nic niy naszkryfloł?

MARCIN:

Niy mōm jak. Mōm kajet i heft. I mōm equalizer myślowy, ale ōn się niy pōłnczy ze starōm generacyjōm.

RECHTORKA:

Forsztelujcie sie: somy kajś na skraju jakiejś historie. Wiycie wszyjscy, jak to sie zaczęło, iże szkoła momy ino zdalno...

KLASA CHÓREM *znudzono, wypadō wtlaczanōm im do gowy ōczywistość: ...korona dwa-dwajścia...*

Głośno godane bez cołkō klasā słowa powodujōm niy zastrōjōne szartniyńcie wyszukowaniō treści bez asystynta google. Na ekranie ukazujujōm sie jakeś losowe zdjynia z roku 2020; szartuje sie tyż syntezytor mōwy. W czasie kej syntezytor czytō wyszukane frazy, szkolōrze dźwigajōm sie z siedzyn i krōnżōm miyndzy sobōm, przy stōwaniu zasik gyzichtym w gyzicht do siebie; wymiyniajōm jakeś niysłyszalne dlō ōglōndōcza słowa. Wyglōndō to jak przedziwny uklōd taneczny. Rehtorka podjeżdżo do ekranu i prōbuje ryncznie wylōnczyć maszina, ale je ōno za wysoko, niy siengō do knefli.

SYNTEZATOR:

Rok 2020

Wielge ōgnie

Groźba wojaczki

Wirus, doległość, globalno pandemia

Idź Pan w chuj, spać niy moga. Juź mie tyn jebany wirus tak wkurwił, że szok. Wszyjsko, co s nim zwiōnzane.

Zbiōrki dlo medykōw #hot16challenge

Kaj prezydynt bitu trzimie sie tak jak

Ōdzyskowanie przidajnego pokoju to proces. Niyskōńczōny, co prōwda, ale jednak. Zaczła zech tedy szukać, wrōcać do zajynć tak skrupulatnie pōmijanych bez ōkres poprzedzajōncy pandymia. To bōł fest przełōm. Skutkowōł tyż złościōm – na siebie i na ōbtōczajōncō ryalność. Ideologijo LGBT zagrōżajōncō polskij familiji

kej ino w ōbliczności rozsōndku trybunołu

protesty, sztrajk, ulic sztajk

Juź myślałach iże nic ludzi wiyncyj niy może potajlować aniżeli PiS, a sam sie pokōzało, iże 20cm hadry za to podzieloło ludzi. Nosić, niy nosić, oto je

pytanie... Policyjõ po sklepach wzywajõm. Weselõw niy ma. Pogrzeby cho-
ciõż idzie robić

i to mie przerażo, iże ludzie tak

Nudle i papiõr toaletowy

W 2009 roku Bronisław Komorowski i Donald Tusk chcieli przedać Lasy
Państwowe. Kejby przeszły w prywatne rynce to państwo niy mogłoby ni-
czego zakazować, a co za tym idzie – skutecznie chrõnić zdrowio Polokõw.

dupno haja

Niyskorzij prziszło pogodzynie sie i pokõj. Wiater jakosik sie wyciszõł. Spo-
łym ze klarõm ukõzała sie nadzieja.

blic

blic

Wojtek, wiesz co? Już nie można zabijać małych muminków.

blic

to je wojaczka

małych muminków

blic raus

raus

Empik Grunwald

Gupi wic

A to jeszcze niy bõł koniec, bo...

*Ekran gaśnie, syntezator milknie. Bożena õdlõnczyła maszina õd zasiylaniõ.
Klasa ustõwõ „tańcować”.*

BOŻENA:

Twardy reset.

RECHTORKA:

Dziynkuja. Siednijcie. Ja, tak to je.

Somy na dwóch krańcach tyj historie. Tedy skończyła sie nauka we szkołach
skirz wirusa, dzisiaj skirz wirusa somy nazod. A kej bychmy wejzdrzeli nad
tõm wyrwõm na siebie wzajem? My – na tamtych ludzi. A õni – na nõs...

Zaroz dobiyrecie sie w pory i zastanowicie sie, co by pedzieli o nos tamci
z roku 2020, jakby dostali o nos ino tako lakoniczno informacjo:

„Listopad roku 2065, Federacyjõ Europejskõ, Stan Gõrny Ślõnsk.

Skuli niykontrolowanego rozłażenio sie nowego wirusa kõmputrowego DI-
VCO2 światowo sieć informatycznõ przeżywõ niyznõme do tela załõmanie.

Internetu idzie co prŏwda używać, ale jego funkcjonowanie je niysztabilne; ôkresowo sieć bywo bez wirus szperowanŏ na danym przestrzyństwie abo – w nojlepszym wypadku – ôstŏwŏ spowolniŏnŏ, działo tŏż wadliwie (jak za piyrwyj, na zacŏntku XXI w.). Nauka zdalnŏ – bydŏncŏ wszeŏbecnŏm na cołkim ŗwiycie formŏm edukacyje – stŏwŏ sie niymożebnŏ. Regyrŏnek Gŏrnegu ŗlŏnska decyduje ō przejŗciu wszyjskich ŗlŏnskich szkŏł na nauczanie stacjonarne.”

Chwila ciszy.

AGNIESZKA:

Byliby udziwyini.

RECHTORKA:

Czym?

AGNIESZKA:

Federacyjŏm i że Gŏrny ŗlŏnsk je osobnym stanym...

MARCIN:

...i że Polski juź niy...

JUSTYNA *przerywo mu:*

Nic takiygo niy było tam godane.

RECHTORKA:

Dobiercie sie we pory, pogodejcie, pomyŗlcie. Pora minut.

Kolejne ōsoby doŗci niyporadnie stŏwajŏm, rozglŏndajŏm sie po klasie, gańbiato idŏm do kogoŗ, wycŏfujŏm sie, stŏwajŏm gyzichtym w gyzicht, zasik sie wycŏfujŏm, siŏdajŏm. Antlich niy powstŏwajŏm pŏry. Koźdŏ ōsoba siŏdŏ na swoim placu. Nastympuje stopklatka podobnŏ do tyj, ōd keryj sie zacźło. ŗwiatła skerowane na szkolŏrzy przygasajŏm. Rehtorka niy biere udziału w stopklatce. Stŏwŏ z wŏzyka i swrŏcŏ sie prŏmp do widownie. Bydzie to coŗ w zorcie wstyczŏnegu w akcyjŏ monodramu.

RECHTORKA:

Zamiast markotnieć, pŏmyŗlałach, iże nasze polske morze, sztrand we Karwie, tyź bydzie okej, jeźli ino bydzie zdrowie. Niyskorzij lockdown i mały, bioły dŏmek kajŗ na głymbokij, polskij wsi blisko Sandomierza, w dŏma po starzikach. I nojszumniyjszy czas. Yntlich bŏł czas posuchać ō starce Petroneli, kerŏ była dziedzińskŏ szeptucha. Na fiszli podarziło sie znojsć nawet heft z jeji magicznymi miksturami. Ő starziku Franciszku, kery bŏł

stolōrzym i dziedzińskim filantropem. Wybudował we wsi wszyjskim dōmy. Czas przepyndzali my na czytaniu i suchaniu radyja, bezma ôdetniyncci ôd internetu, kery mieli my ino we mobilniokach i musieli my dozować jak nojzsumnijszy trunek, coby dziecku styknōł na nauczanie zdalne. Przi piycu, wysuchali my familijnie bodej wszyjskich słuchowisk radyjowyy Dwōjki:

„Jedno aktōwka”

Wszyjsko dzieje sie kajś, niy barzo wiymy kaj... Można jakeś biuro?

Je cołkiym ćma...

Narōz slyszymy, iże ftoś fest chycrzy...

ALOJZ:

hhhrrr... aaap... hrap...

HAJNEL:

Te! Alojz! Cicho być! Niy śpij!!!

ALOJZ:

Co... Co! Jo niy śpia...

Te – ale jak my sam prziszli to boło jeszcze widno. Wielu terōz je?

HAJNEL:

Dwanosto

ALOJZ:

Pierona! To my sam tyła czasu siedzimy?

Te! Pacz, wiela sam aktōwek! Ale sam mōjōm bajzel.

HAJNEL:

No. I jak sam coś w tym znojsć.

ALOJZ:

A czego my sam szukōmy?

Niy pamiyntōm, czego szukali.

Rano szli my nad rzykã za dōm, kaj mieli my nadzieją trefić bobry. Koždy powōd dobry, coby wyjść z dōmu. A potym niyspodzianie prziszło lato i luzowanie obostrzeń. I nabrali my jeszcze srogszyj szkrabki na życie. Uzdalimy zaryzykować i w piyrszym możliwym terminie, za jakeś psie pijōndze kupiyli my bilety na Kreta. We fligrze było 30 ôsob. W samym Agios Nicolaos bezma witoł nōs kōmitet przywitalny. Familijny hotel nad samym morzym, z bajcznym widokym, wōrtoł nōs tela, co nic. Niy mogła żech uwierzić, iże tam je żech, z nojbliższymi mi ôsobami. W cołkim mieście je mynij ludzi, aniżeli w naszymy Bhydronce. To bōł piykny czas, a nojlepsze, iże podarziło nōm sie

to powtórzyć jeszcze we wrześniu, tym razem we Dubrowniku. Widok próżnych murów, kaj niy mō fto ci zrobić fotki, niykerych napawoł lankorym. Mie cieszoł. Czuloł sie niczym Deneris.

Podzimym zaczynała sie drugō rōnda. Miałach nadzieją, iże i z niy moja familijō wyjdzie zwyciynsko.

Familijo...

Ja. Wydowoł sie tyn rok, jak koždy poprzedni. Robota, dom... Wiyncyj siwych wosów na gowie, a bajtlōm zaś urosła szłapa. Piōnto rano na wajzlu, wiadomo, do roboty. Synek wstowo jednako ze Fatrym. Wiadome jest, że koždy 4-letni porzōndny ślōnski karlus jest juź samodzielny, umiy sie juź kole siebie porobić i fatrowi niy zawodzo, bo wiy że tyn zaroz musi dupić do roboty, to tyż zaczyno tak:

– Fater, a zgrzołbyś mie mlyko?

– Ja, ja, synek.

– Fater, a włączołbyś mie bajki na YouTube na Xboxie?

– Ja, ja.

– Ino niy za głośno, żeby tyj babie z dołu niy larmować tak wczas, jak żeś zawsze godoł. A dołbyś mi pod gowa dwa zegōwki? Tam we szranku jest moja deka, przykrołbyś mie nogi? A poszukej mi tych moich laćków, bo mie sie kaś straciōły...

Takim bajtlym, to sie ino asić....

A robota? Robota ciyyynżkooo. Tak ciynżko, że sie ani czasym drzymnōńc niy idzie we kanciapie. I we tyj robocie jedyn nōm chycioł ta Korona. Prziszōł kejs potym poosprawiać, jak to boło. Żodyn z nos niy wiedzioł, jak sie daleko od niego stanōńc, ani czy dychać, eli niy prontkuje jesce, bo jak to mawio klasyk: „To jest jak metan, a tego niy widać.”

– Wycie co? Zatrzimoł mie Dyrektor i pado do mie: „Po jakiemu żeś tela czasu niy odbiyroł ody mie mobilnioka?” Tak mie znerwowoł. „Chopie! Jak byś ty sie cuł, tak jak jo, to tyż byś mobilnioka ody mie niy odebroł...”

Larma ani z tego na szczyńście niy boło. Po robocie, jak w koždyj porzōndny ślōnskiej familie, na chopa czeko baba z ôbiadym.

– Kaj je jakiś ôbiod do mie?

*Na chwilã „aktywuje” sie Marcin, wchodzi w rolã
w dialogu, po czym zasik zastygo.*

MARCIN:

No, we lodówce.

RECHTORKA:

Kaj?

MARCIN:

No, coś sie tam odmroź i sie zgrzyj.

RECHTORKA:

Tako baba to skarb... I siedza sie już w doma. Myśla sie ô tym cołkim bajzlu, ô tych ludziach co im sie skuli tego poprawioło i pogorszoło. Czytôm sie we Internece, kery znajomy jest z prawyj, a kery z lewyj, fto za, a fto przeciwko. Po rodzinie niy łaża, bo sie okozoło, żech je wywrotowiec i jako jedyny reprezyntuja przeciwno opcjo polityczno. Tyj krzini tyż ani niy załonzôm, bo tam cołki dziyń sie drzôm we tych paradokumyntach, tak jakby człowiek mioł mało swojigo larma we swoi tradycyjny ślõnski rodzinie, abo nôm te polityki tam nudle wyszajôm na uszach.

„NAUCZYCIELKA Z SIEMIANOWIC ŚLĄSKICH MA DOŚĆ NAUKI ZDALNEJ. TWIERDZI, ŻE COFA SIĘ W ROZWOJU”

Jak donosi informator, jedna z siemianowickich nauczycielek, mimo iż przytuliła ostatnio od rządu 500 zł na sprzęt do nauki zdalnej, odmawia dalszej pracy. – Wytrzymanie przed komputerem 7 godzin i słuchanie ze zrozumieniem jest dla mnie awykonalne – twierdzi nauczycielka. Również jej metody nauczania pozostawiają dużo do życzenia. Sama zainteresowana stwierdziła, że ma „dosyć leżenia w łóżku”.

Czasym jaki film obejrza, otworza sie bjyr i ustawia zygorek na piõnto.

Siödõ zaś na wõzyku. „Wybudzo” klasã pytanijm.

RECHTORKA:

I co? Co by ci ludzie z 2020 o nos pedzieli?

Zosia, z kymś robiyła?

ZOSIA:

Sama. Koždy som.

RECHTORKA:

Szkoda. Nic. Czytej, co mosz.

ZOSIA:

Niy.

RECHTORKA:

Czamu?

ZOSIA:

Niy mōm nic.

RECHTORKA:

Ftoś inkszy? Jacyś chyntliwi?

*Szkolōrze milczōm. Niykerzi pod nosym dukajom:
„Niy, niy mōmy...”, „Ciynżkie...”, „Niy dało rady...”*

RECHTORKA:

Niy? Niy ciście mie alajnōw. Dockeje. Coście takie gańbiate...

Rechtorka wciskō jakiś knefel we wōzyku. Ōkazuje sie, iże wōzyk tyż je maszinōm mobilnōm i mō wbudowany syntezaator mōwy, kery zaczynō ōdczytować zapiski z maszinek szkolōrzy. Szkolōrze ryag ujōm udziwiyniym, potym zburzyniym. W czasie kej rechtorka ōdtwōrzō teksty, szkolōrze dźwigajōm sie i zaczynajōm swōj taniec-narada. Narōstō napiyncie. Bez słowotok syntezaatora przebijajōm sie fragmynta słōw szkolōrzy.

SYNTEZATOR:

Zosia: Majōm niyprzileżytość z:

- przywitaniem sie (nicki, pseudōnimi?)
- sprōwōnkami bez Internet (głodni?)
- ōriyntacyjōm w budōnku szkoły
- tradycyjnymi materyjami do szkryflanio
- porozumiewaniem sie bez kōmuni...

RECHTORKA:

Dalij! Coś ze srogszym polotym!

SYNTEZATOR:

Agnieszka: Fascynuje jeich nowo prōba.

Z wynksza niy potrefiōm nawiōnzać ze sobōm...

RECHTORKA:

Dalij!

SYNTEZATOR:

Iza: 1. Niy interesujōm sie sobōm, permamynt szukajōm internetu.

2. Rehtorka wybaduje stan jejich wiedze. Ôkazuje sie, iże bez podpory internetu szkolôrze małowielã wiedzõm. Lata ôszydzaniõ samych siebie.

Bożena: W chodźbie kole słyhać krzyk. Krzyk zmiynio sie w urzykanie, la-mynt, wycie.

IZA:

Urzykanie. Netflix...

REHTORKA:

Dalij!

SYNTEZATOR:

Justyna: Rehtorka przynosi zestõw ksiõnzek wysznupanych ze Archiwum...

IZA:

... umrzy tyn umrzy...

SYNTEZATOR:

...przedrewolucyjnego we Katowicach.

Ôkazuje sie, iże w czasach przedrewolucyjnych starziki szkolôrzy byli w dwóch „ôbozach” – prorewolucyjnych i antyrewolucyjnych, co przełożyło sie na terõznõ sytuacyjõ jejich familiji.

Marcin: Szukajõm kõntaktu do ślõnskigo hakera, ps. Pistulka, kery mõgby napisać kontrawirusa...

MONIKA:

... co sie, motyka, Dziwisz?

JUSTYNA:

Czasym ôdwrõci wzrok, popatrze w gipsdeka, choby...

BOŻENA:

... sroge bet i biõrko. Leży opatulono...

SYNTEZATOR:

...i przywrõcić sytuacyjõ do normy.

BOŻENA:

Palcym po ekranie...

SYNTEZATOR:

Tworzõm „struktury podziymne”, drukujõm ulotki, gazetki, kolportujõm z nadziejõm znõdnyńciõ kõntaktu do hakera.

REHTORKA:

Jaaa... Dalij!

ZOSIA:

... z życiõ, zarõz wrõcõm...

MONIKA:

... do czasu prawõ rynce zmiyniõ...

SYNTEZATOR:

Monika:

W dniu abszlusu roku szkolõrskiego szkolõrze trefiajõm sie.

ZOSIA:

Mo wirusa, a tako mondro.

SYNTEZATOR:

Dostajõm informacyjõ, iże jejich rehtorka je uznanõ za zaginiono, jak tyż dostõwajõm powiadõmiyniõ õ niyznõmyj ingyrcyji w jejich chmõry spa-miyñci zewnyntznyj.

*Marcin i Bożena zblizajõm sie do rehtorki. Marcin zachodzi jõm õd zadku,
Bożena stõwõ naprzeciw. Õstali szkolõrze niy zważajõm na nich.
Bożena delikatnie i czule chytõ rehtorkã za rynce, patrzy jeji w õczy. Tedy Marcin
popycho kobytã, a Bożena nagle szarpie jõm za rynce. Rehtorka ślatuje
z wõzyka, Marcin nõrywnym ruchym trzaskõ wõzykym õ ścianã. Syntezator
milknie. Rehtorka leży gyzichtym do zõla. Wszyjscy szkolõrze niyruchomiejõm.
Patrzõm po sie.
Zwõnek na pauzã. Szkolõrze bez słowa wychodzõm, koźde z õsobnõ.
Kej żõdneho niy mõ juź w klasie, rehtorka sie dźwigõ.*

REHTORKA:

Przecã byõ õsztalowane, iże jo je zech.

I tedy reszta gõdõ: przestõñ.

KONIEC

ÔSTATNI SZTOK

Mateusz Czyba

(„ku pokrzepieniu serc”)

PERZONY:

JANKA i JÔZEK – wele 70 lot, ale dobrze sie trzimiôm.

FARORZ

POLICJÔNT

Akcjo sie dzieje w doma, we wielgij izbie. Na przedbinie balkon – gelynder, moze być ino symboliczny. Ze lewyj dźwyrze do antryju i kuchnie, ze prawyj do szlafyncimra. Poszrodku stoi stół, przy niymu ze bokōw dwa stołki. Na jednym we podômce siedzi JANKA i jy śniodanie: klapsznity, jajko, tomata i inksze takie. Popijo gorkōm bōnkawōm. To samo je ze drugij strony stoła, ale JÔZEK przy nim niy siedzi.

SCYNA 1

Zza biny słyhać, że ftoś wloz. Seblyko szczewiki, ciynżko dycho.

GŁOS JÔZKA:

Kochanie, jestem!

JANKA:

Nareście... Jo zarozki skończa, a ty żeś jeszcze niy zaczōn. Wiela idzie cajtōngi kupować...?

*Włazi z lewyj JÔZEK ze pakietym cajtōngów. Ciepie je na stół i siado.
Dalij ciynżko dycho. Żuje kałguma.*

JÔZEK:

Ô jerōnie... Ô jerōnie...!

JANKA:

Zaś żeś trefiōł tego Edka spod szōstki?

JŌZEK:

Skōnd wiysz?

JANKA (*podrobio jŌZKA*):

„Kochanie, jestem!” Zowdy, jak go trefisz, to potyn mówisz.

JŌZEK:

No...trefiłych. I co? Ōn tyż cajtōngi kupuje tam ka j jo.

JANKA:

Niy ino cajtōngi, pra?

JŌZEK:

A co inkszego?

JANKA:

Myślisz, że jo niy czuja? Przicia jo już mōm wynch jak te myśliwskie ôgary. Ino żeś włoz i jo już wiy. Ta kałguma ci niy pomoże. (*JŌZEK wyciongo kałguma ze gymby i kładzie jōm na talyrz*) Na zicher żeście po afce ôbalyli. (*wonio*) Malinōwka... (*wonio bardzij*) abo wiśniōwka...

JŌZEK:

To jeszcze musisz tyn wynch potrynować...

JANKA:

Czymu?

JŌZEK:

Bo to bōła porzeczkowo... (*pije bonkawa*)

JANKA:

Porzeczkowo... Ō tym zech niy pomyślała... Za dužo tego produkujōm. Ale jo to rozumia, jak je popyt i je i podaź.

JŌZEK (*ōdstawio bonkawa*):

Zimno...

JANKA:

A co, jeszcze ci sie chce pić?

JŌZEK:

Wiysz co, niy glyńdź już... (*zaczyno jeś*) Wielu to je tako afka...? To ino na zdrowie. Winda już czeci dziyń niy jeździ, a jo ci przypominōm, że my na ôstatnim sztoku miyszkomy...

JANKA:

A co winda mo do tego?!

JŌZEK:

Jo mōm swoje lata. Mie dziynnice co inkszego boli. Dzisiaj akurat mie wlazło we nogi. I co na to powiysz?

JANKA:

To idź do doctora. Tela razy żech ci padała.

JŌZEK:

A co mie taki dochōr zrobi? Poklupie we kolano i przepisze Apap, abo inksze pile. A wiysz, wiela takie pile kosztujōm? A mie styknie gōlnōnc sie jednego i juź poradza fyrłać!

JANKA:

No ja, afki sōm tońsze...Dziynki ciebie momy same ôszczyndności.

JŌZEK:

Żebyś wiedziała, wiysz? Żebyś wiedziała...

*JŌZEK jy dalij, a JANKA kończy jeś, stowo, biere szolka, talyrz i idzie na lewo.
Zaroz przilazi nazod, przeciepuje cajtōngi, biere jedyn i siado.*

JANKA:

Jak żeś sie juź podkurowoł, to pomyjesz talyrze.

JŌZEK:

No te... Jo mogą nawet jechać robić i na ausgusie u Angoli.

JANKA:

Trzimia cie za słowo. Jeszcze dzisioj ci bilet kupia.

JŌZEK:

Będę tobie dozgonnie wdzięczny!

JANKA:

A idź żyysz...

JŌZEK kończy jeś i zbiyro talyrze. Zatrzymuje sie kole Janki.

JŌZEK:

A dosz mi kusika?

JANKA:

Niy.

JŌZEK:

To niy...

*JŌZEK wylazi, przilazi nazod, biere cajtōng i siado.
Przez momynt ôbydwa czytająm.*

JŌZEK:

I co tam we tych twojich zerialach?

JANKA:

Grażina nareszcie pociepnie tego Janusza. Bez piyndziesiōnt ōdcinkow byli razem, a ōn jōm zdradzoł bez czidziści ōdcinków.

JŌZEK:

A to pieron jedyn!

JANKA:

A ōna tyż... na stare lata za chopami loto.

JŌZEK:

Bo we tych zerialach niy ma cajtōngōw o zerialach. Jakby bōły, to by Grażina w doma siedziała, i tyż cajtōngi czytała, a niy lotała za chopami.

JANKA:

A u ciebie co?

JŌZEK:

To co zowdy: wadzōm sie i sztrōm drożeje.

JANKA:

Zaś?

JŌZEK:

Niy, ōstatnio drożoł cukier.

JANKA:

A... no ja.

Czytajōm dalij.

JŌZEK:

Nale to mie sie niy widzi...

JANKA:

Co?

JŌZEK:

Chiniole.

JANKA:

Chiniole? Ōne sie trzimiōm fest mocno. Zoboczysz, ōne nōm jeszcze wszystkim pokożōm co i jak.

JŌZEK:

Niy ō to sie rozchodzi. Tam je ypidymjo i to fest! Sam piszōm, że śmiertka sztyry procynty biere ze tych co sōm chore.

JANKA:

Ale co ty sie przyjmujesz? Kaj Chiniole, a kaj my?

JŌZEK:

Zoboczysz, to do nos dōndzie. Terozki ludzie lotajōm tymi fligrami jak gupie. W jedyn dziyń cołki świot przelecisz. Ino styknie, że jedyn taki biznesmyn przileci ze Chinōw do Ojropy, abo jakie zatrute szmaty ôd nich kontynerym przyjadōm i momy amba!

JANKA (*przerywo czytanie*):

Mosz recht... Jeronie...! Padosz, że to do nos tyż dońdzie?

JŌZEK:

Dońdzie-niydońdzie... Bydzie, co bydzie.

Dzwonek do dźwyrzi. JANKA stowo i idzie ôtworzić. JŌZEK nasuchuje.

GŁOS JANKI:

Dobry, dobry... Sam podpisać, ja?... Dobrze... Dziynkuja... Do widzynie!

JANKA przilazi nazod ze brifym.

JŌZEK:

Fto to? Briftryjger? Czemuś go niy zaprosiōła rań?

JANKA:

A po co? Normalny brif prziniōs, ino że polycōny.

JŌZEK (*JANKA, jak JŌZEK godo, to ôtwiyro brif i czyto*):

Jak polycony, to niy taki cołkiym zaś normalny. Jak jo bōł bajtlym i do nos briftryjger prziloz, to zowdy coś dostōł: jak bōł ôbiod, to talyrz zupy, jak swaczyno, to kōncek zisty. Wszystkie zōmsiatki go futrowały, bo karlus bōł fest szlank. A jak juź chopy byli we robocie, to choby i żodnego brifu niy mioł, to i tak mu dały... Jak ôn z naszego familoka wyłaziōł, to ledwo na szłapach sie trzimoł. Tak bōło. Jedna wielgo familijo. A terozki? Roz, dwa, podpisik i baj! Ty tyż byś mogła co dać, jo bych sie niy pogorszōł. Coś nōm chyba ze śniodanio ôstało, niy?

JANKA:

No pacz! Że tyż jo ô tym niy pomyślała... Mogłach mu dać... (*paczy po siebie*) sznita ze tustym...

JŌZEK:

Abo kofyju, o!

JANKA:

Abo kofyju... Nale tyś sie rozgodoł o briftryjgrze, a niy interesuje cie, co ôn prziniôs?

JŌZEK:

Co prziniôs... Na zicher spōdzielnia zaś nōm płat dźwigła, bo co inkszego...? Do nos nic inkszego niy przilazi.

JANKA:

I tuś sie pomyłōł. To je brif ze fary!

JŌZEK:

Ze fary?! Dyc puszcżōmy kolynda! Co ôni ôd nos chcōm?!

JANKA (*czyto*):

„Szczęść Boże, drodzy parafianie, a przede wszystkim: Drodzy Małżonkowie! Pamiętając o 50-tej rocznicy zawarcia Waszego związku małżeńskiego chciałbym zaprosić Was na uroczystą Eucharystię dla małżeństw obchodzących swoje rocznice w maju, która odbędzie się 14 maja o godzinie 10. Niech Dobry Pan... przez wstawiennictwo... Z Bożym Pozdrowieniem, Wasz ksiądz proboszcz. PS Ofiarę na mszę należy złożyć w kancelarii parafialnej do końca maja. Kancelaria jest czynna w godzinach od 14. do 16. w każdą środę i piątek miesiąca.”

Duższo pałza.

JŌZEK:

To już piyńdziesiōnt lot...?

JANKA:

A co, zapomniołżeś, pra?

JŌZEK:

Niy... w życiu! Jo? Pryndzyj ty!

JANKA:

Z mojōm gowōm jeszcze wszystko je gut.

JŌZEK:

No ja, to zowdy ino jo: i ôżyrok, i sklerotyk...

JANKA:

A niy ma tak? Niy ma?

JŌZEK:

Jo ci powiyam, aże jakżeś ty tyn brif czytała, to mie te cołkie piyńdziesiōnt lot przed oczami przeleciało...

JANKA:

A mie durch leci, na ôkrongło... Ino te ôstatnie dziysiyńc lot to taki dziyń świstaka.

JŌZEK:

Czego?

JANKA:

A, niy zrozumisz... (*pałza*) I co my terozki zrobimy?

JŌZEK:

Jak co?

JANKA:

No gupie sie pytosz... Tyn cołki jarystag! Bydymy musieli fajer jaki zrobić. Familio sie cołko skludzi!

JŌZEK:

Jezderkusie, ty mosz recht! Jeszcze nōm tego brakowało: pōł Reichu na go-wie! (*pałza*) Ale wiysz co? Jo sie tak ônacza, co ôni sam jednak niy przijadōm. Dyc fto by tam pamiyntoł, eli my jakiś jarystag momy? Nawet nasze dziecka niy pamiyntajōm, a co dopiyro polskie Niy mce. (*macho rynkom*) Niy bydzie tak źle, godōm ci.

JANKA:

Padosz? A przypomnieć ci ô pamiyntniku ciotki Agnys?

JŌZEK:

Dyc ona juź trzidziści lot niy żyje.

JANKA:

Ale Urzula go mo...

JŌZEK:

A Urzula żyje?

JANKA:

Jeronie, no toć, że żyje! Dyc ij kartki na świynta posylōm.

JŌZEK (*stowo i je znerwowany*):

No to niy ma dobrze...

JANKA:

No niy ma. Agnys wszystko tam pisała: fto i kedy sie ôżyniōł, kaj, wiela mo izbōw we chałpie... Jo kiedyś tyn pamiyntnik ôglondała i powiy ci, że ôna tam nawet naszkryklała, że my sie poloneza za talony załatwiyli.

JŌZEK:

A fto ij to pedziol?!

JANKA:

Na mie niy pacz!

JŌZEK (*do sia*):

Jo to pamiyntōm... Tam boła cołko twoja familio... cołki strōm gynelologiczny!

JANKA:

No dyć! I beztōż dziyń, kedy my sie ôżyniyli tam je na zicher. A Urzula wiysz jako je... cołko Agnys. Ôna mo łeb jak sklep i tyn pamiyntnik zno na pamiyńć. Zoboczysz, że ôbdzwoni kogo trza i sie bydōm chcieli do nos wszyscy śłyż.

JŌZEK:

Ciup, to my sōm stracone. Ze tymi naszymi pyndzyjami, to bydymy musieli na tyn fajer kredyt wziōńć!... Abo wezna i sprzedōm autoka. Dyć i tak nim niy jeżdża.

JANKA:

Ty sie Ponboczka niy boisz? Weż go ôddej do złomiorza.

JŌZEK:

Ôn je cołkiym na chodzie i garażowany! Co ty od niego chcesz?! Terozki takie kary, to sōm zabytki.

JANKA:

Zabytki, padosz? To ciekawe, wiela bych za ciebie dostała?

JŌZEK:

Ja? A fto by ci cajtōngi przynosiōł?

JANKA:

No dobra już... do czegoś mi sie przidowosz. Ino co my z tym fantym zrobimy?

JŌZEK:

Powiymy, że jadymy we rajza naôbkoło świata na jedyn miesiōnczek i tela.

JANKA:

Fto nōm w to uwierzy? Nigdy my nikaj niy byli, a terozki niby chcymy wielce rajzować, ja?

JŌZEK:

No co... szporowali my piyndziesiont lot... stać nos!

JANKA:

Możno moja familio by sie dała ôcyganić, ale niy nasze dziolchy.

JŌZEK:

No ja... A tak swojŏm drŏgŏm, to ŏne by nŏm mŏgły tako rajza zasponsorować, niy?

JANKA (*blank gŏłŏsny śmijch*):

Ja, ja! Do azot i nazod...!

JŌZEK:

Im sie tam dobrze powodzi... Niy to, co nŏm we tym betonioku ze zepsutŏm szolŏm.

JANKA:

Ciesz sie z tego, co mosz, a niy glyndź mi sam.

JŌZEK:

A tyn cołki jarystag? Coś muszimy wymyśleć...

JANKA:

Pamiyntosz, ŏ czym żeś czytoł, jak tyn briftryjger prziszol?

JŌZEK:

O ypidymje we Chinach.

JANKA:

No... i sŏm żeś pedzioł, że to do nos tyż dońdzie, ja?

JŌZEK (*we szoku*):

No wiesz ty?! (*stowo znerwowany*) Jak ty możesz tak godać? Chcesz coby nos tyż we lazarycie zawarli?

JANKA:

Niy...! Siednij sie, a sie niy bocz. Őbejrzisz, co zrobiŏm, jak to ino do Ojropy przidzie. Pozawiyrajŏm wszystkich, ale we chałpach: i nos, i Niymcŏw tyż

JŌZEK:

No, niy wiym, jo bych niy bŏł taki pewny... (*siado, momynt ciszy*) Ino jo ci sie dziwia... Takoś bŏła wystraszone, że to do nos przidzie, a tu pacz...

JANKA:

No ja, nale powiydz ty mie, co to sŏm sztyry procynty? No co...?

JŌZEK:

Őd tyj strony jo cie niy znoł...

zacyymniynie

SCYNA 2

*JANKA łązi po binie cołko nerwyjs. W końcu niy szczimuje
i biere mobilnioka. Dzwoni.*

JANKA:

No i czymu niy ôdbiyrosz? Ty wiysz, jak jo sie sam nerwuja?... Co?... A na co nôm tela klôpapiôru?... Dyc momy!... Co?!... Nudle?!... Co ty chcesz, włosko restera ôtworzić?!... Jak to każdy kupuje... Ludzie sie na klôpapiôr ciepli?! (*śmnych*) Ijee... jo niy moga!... Niy, rizu niy kupuj, jo môm dwa kilo... Ja... Weż mi mônka wrocławsko... Niy! Poznańsko niy, a jak niy ma to krupczatka... Ja... I niy bier tego klôpapiôru, słyszysz?!... Dej go nazod... Ja... No to pacz tam jako...

zacymninyne

SCYNA 3

*JŌZEK siedzi przy stole. Włazi JANKA ze tacôm, na nij dwie przykryte talyrzami
michy. Kładzie taca na stole i siado.*

JŌZEK:

Widza, żeś sie przekonała do tych zupek.

JANKA:

Jak żeś nakupiôł, to mosz.

JŌZEK:

Ale sama tyż jysz...

JANKA:

A co môm robić...?

dzwoni minutnik

JŌZEK (*zacyyro rynce*):

No nareszcie. (*stowo i biere jedna micha*)

JANKA:

Te, to je moja!

JŌZEK:

A co tam je?

JANKA:

Pikantno krewetkowo.

JŌZEK:

A jako jo mōm?

JANKA:

Słodko-kwaśno.

JŌZEK:

Zaś?

JANKA:

Myślałaś, że lubisz...

JŌZEK:

No dobra...

JANKA:

Jak chcesz, to sie weź ta krewetkowo.

JŌZEK:

Jo ci robōkow jeś niy byda.

JANKA:

Sōm widzisz.

JŌZEK ustawiō michy i siado. Ōbydwa syminajōm talyrze i miyszajōm we michach. JŌZEK juź chce zaczonć jeś.

JANKA:

Jeszcze trza porzykać. *(zaczyno sie żegnać)*

JŌZEK:

Niy wygupiej sie! To sōm chińskie zupki, chcesz do Buddy rzykać?

JANKA niy wiy, co mo robić, w końcu tyż jy.

JŌZEK:

Szkoda, że my juź wcześnij tych zupek niy zaczi jeś. Ino te klōchy i krupnioki... I karminadle...

JANKA:

No zobocz sie, a jeszcze miesiōnczek nazod byś sie doł pokroć za kōncek zymloka.

JŌZEK:

Ino krowa niy zmiynio poglōndow. Świat sie zmiynio i trza być elasticzny.

JANKA:

No co ty niy powiysz...? Lepij prziznej żeś nakupiōł katong zupek i terozki musimy to jeś.

JŌZEK:

Niy chcesz, to niy. Jo ci niy koża.

JANKA:

A, to padosz, że mōm sie ōblyc i stoć we kilometrowyj raji przed sklepym?

JŌZEK:

Mosz wolny wybōr. Możesz sie jeszcze rizu ze skōrzicōm uwarzić, rizu momy doś.

JANKA:

Dyć wczoraj my jedli!

JŌZEK:

Jeronōw tysionce! Sie ciesz, że mosz co jeś i niy musisz we raji stoć.

JANKA (*glimlo we talyrzu*):

Ris... nudle... Niydugo bydymy jak te Chiniole... A te pieroństwo od nich prziszło...

JŌZEK:

Dyć wszystko poszło, jak nōm sie uwidziało: granice zawarli, imprezy odwołane. Nic, ino klaskać!

JANKA:

Gupoty godosz i tela!...

JŌZEK:

Zoboczysz, ta cołko komedyjo chnet sie skończy. A my sie niy wykosztujymy na tyn jarystag. I niy godej, co ci to niy pasuje.

JANKA:

Pasuje-niy pasuje... Nale i tak gupoty godosz...!

zacymnynie

JANKA sama siedzi przy stole i czyta cajtōng. Dzwoni mobilniok.

JANKA:

Ja...? No cześ, cześ!... Ja, jo ci tyż kusiki posyłōm... No... Ja... Ja... Dziynkuja piyknie... Bardzo ci dziynkuja za życzynia... Jōzek ci niy podziynkuje, bo go niy ma, nale jak by bōł, to by ci tyż podziynkował... Kaj je? We gyszefcie... No bo nōm sie klōpapiōr skończōł i jeszcze żech go po wołowe posłała... Ja, idzie u nos kupić miynso, czymu niy...? Niy, jeszcze tak źle u nos niy ma, głodne niy łażymy... No, a co u wos tam?... Po starymu... Kulo sie, pra?... No toć, że sie kulo, bo sie musi kulać...

We tym momyncie włazi JŌZEK ze siatami i ze maskōm na gymbie, trocha bardzij na cyku niź poprzednio, nale staro sie trzymać pionu i być cicho,

JANKA durch klacho.

JANKA:

No... no... no widzisz, co to sie porobyło, pra?... Pierońskie baccile... Co?... Wirusy? Do mie to je jedyn pieron, co to je... Ja no, momy, co momy, trzeba to jakoś przijōńć... Jeszcze my sie na stare lata doczekały takigo czegoś, pra?... Co godosz?... Niy słysza cie... Niy płakej, dyć ciebie ani atōm niy ruszy, tyś je zdrowo, że hej!... No i co, że ci nogi puchnōm? W naszym wieku koždy-mu puchnōm... Niy godej gupot... Ja, ja, pogodalibymy, zista zjedli, szampana wypili, nale mosz, co mosz, siła wyższo, jak to godajōm... Ja, a wiysz, że Jōzek prziszōł? Dōm ci go do suchawki, ja? No to pa! (*zakrywomobilnikoka rynekōm i do JŌZKA*) Luca ze Hanoweru. (*dowo JŌZKOWI mobilnioka*)

JŌZEK (*cołki czos we masce, w czasie jego ōsprowki JANKA wyciongo to co nakupiōł ze tasiōw na stōł*):

No, cześć, Lucko!... Dziękuję bardzo... Dziękuję za życzenia!... A co tam sły-chać u was?... U nas też po staremu, wiesz? Ja dziwnie mówię?... A nie ma o czym mówić, miał być eee... fajer, kupa gości, no, jeronie, co ja tobie będę mówił... No oczywiście, trefilibyśmy się, jakiś dancing, pośmialibyśmy się, szampana wypili, a tu masz... Tak jest: siła wyższa, jak to mówią... No gynał... Tak jest, lepij bym tego nieujon... nie ujął... Tak, ja... No, to trzymajcie się tam jako, pacz tam jako... Bądź zdrowa... Co?... Tak jest, zdrówko jest nojważnijsze, tylko ono się liczy... Ja... No to pa... Cześ... No... Ja... No...

To na razie, do nastympnego, pa! (*JŌZEK sie rozłonczo, do JANKI*) Jak ta sie rozfaflo, to nie ma końca. Niy pedziałaś jej, że zadzwoniła tydziyń za wczesnie?

JANKA (*cołko zesztrowano*):

Symnij wreszcie tyn malkorb ze pysku!

JŌZEK:

Słucham?

JANKA:

Co, guchyś? (*symino JŌZKOWI maska*)

JŌZEK:

Jeronie, ja cołkiym zapomniołem, że to mōm na twarzy!

JANKA:

Zapomnioś? To jak żeś te afki pioł, co? Bez maska?! Ze Edkiym żeście filtrowali ôba?!!

JŌZEK:

No i zaś na mnie!

JANKA:

Jaki tyś je ciućmok! Kożōm nōm sie trzimać z daleka ôd ludzi, ażeby sie jedyn od drugigo niy załonaczył, nale ty wiesz swoje! Ty robisz po swojemu!

JŌZEK:

Edek mnie poczynstowoł nalywką... Ze orzechów... Samo zdrowie!

JANKA:

Jo cie chyba zaroz tyż czymś poczynstuja!

JŌZEK:

Taaa? To jo się narażōm, a ty w domciu siedzisz!

JANKA:

Cołko chałpa je na mojij gowie, to przinomnij tela możesz zrobić, że do gyszefu pódziesz, a i tak...

JŌZEK:

Co zn... zaś?

JANKA:

Miało być wołowe na rolady, a coś kupioł?

JŌZEK:

No... musklę...

JANKA:

A co jo mōm z tego zrobić?

JŌZEK:

Jak to co? Zauerbrat.

JANKA:

Widza, że terozki ty ustalosz me-ni!

JŌZEK:

Ale to jest takie proste do zrobynia...

JANKA:

To sie zrŏb! Abo lepij – weż sie to i idź do Edka, niych ōn ci zrobi tyn zau-
erbrat!

JŌZEK:

Ty mnie juź wiyncyj tym Edkiym nie szteruj, tak? To jest w porządku chop.
A zauerbrat zrobię takie, że będzie aże do parteru woniać... Tylko mi pokaż,
kaj mosz ten heft z recyptami.

JANKA:

Weż i idź sie legnŏnc...

JŌZEK (*zaczyno sie seblykać, idzie do izby*):

Tu się z tobą zgodza, bo mnie coś afa bije...Ida, ale potem mi daj tyn heft,
tak?

JANKA:

Ja!

GŁOS JŌZKA:

Ta nalewka bardzo zdrowa bŏła, wiysz? Też byś sie mŏgła napić... Nerwy by
ci przeszły... (*zirywanie*)

JANKA zrezygnowano krynci ino gowŏm.

zacymniynie

Bina jak wczyšnij, ino stół je przesuniynty na lewo. Na nim radyjok. Při niymu jedyn stołek, bo drugi stołek je po prawyj. Při stole siedzi JŌZEK cołkiym markotny, we epnyj przilbicy i czyto babski cajtöng, ale go niy interesuje. W końcu ôdkłodo cajtöng i puszczo radyjoka.

GŁOS ZE RADYJOKA:

...i pamiętajcie, moi kochani, że w tej trudnej sytuacji wszyscy jesteśmy za siebie odpowiedzialni. Zostańcie w domach! Wychodźcie tylko, kiedy musicie i nie oddalajcie się. Bądźmy dla siebie wyrozumiali... (*JŌZEK wyłönczo radyjoka*)

GŁOS JANKI ZE PRAWYJ:

Czymuś wyłönczö?! Jo chca posuchać!

JŌZEK:

To sie przidź i puść! Jo już möm tego doś!

*Włazi JANKA we szlafroku, na gymbie maska i przilbica.
Idzie w strona Jözka, ale ôroz sie zatrzymuje i zawraco.*

JANKA:

Ale bych sie zapomniała...

Siado na stołku z prawyj i zakłodo rynce.

JŌZEK:

Co, niy chcesz już posuchać radyjoka?

JANKA:

Niy ma mowy. Musiołbyś is do antryja.

JŌZEK:

Niy ma mowy...

JANKA:

Kaj mosz malkorb...? A glazyjki kaj mosz?!

JŌZEK:

Już styknie, że mie to (*chyto sie za przilbica*) kożesz nosić na łebie. Jo je u sia w doma, a sie czuja jak we warsztacie.

JANKA:

Mosz to na twoje życzynie! Jak byś sie ze tym cołkim Edkiym niy zadowoł, afek...

JŌZEK:

Nalywek!

JANKA:

...niy gulgoł, to by my terozki cołkiym inakszyj godali.

JŌZEK:

Wielu razy jo ci mōm to erklerować? Dyc skōnd jo miōł wiedzieć, że Edek bydzie pozytywny?! On wtedy sōm tego niy wiedzioł, ino potyn taki jedyn Richat go wsypoł, co go zno bo baba od Richata...

JANKA:

Skończ mie sie tłumaczyć, to już nic niy pomoże! Styknie, że ty żeś je pozytywny, a jo sie byda trzimać ôd cia z daleka.

JŌZEK:

Przinomij roz żeś pedziała, żech je pozytywny... Jakoś ôdmiana we tym... żywobyciu.

JANKA:

Ty już niy ôbracej kota ôgonym.

JŌZEK:

I co, terozki bez dwa tydzie bydymy tak ze sobōm godać? Co sie stało, to się niy ôdstanie.

JANKA:

Jo moga godać z tobōm normalnie, ale dwa metry dystansu muszōm być! Zicher je zicher.

JŌZEK:

Nawet niy wiysz, jak mie to pasuje.

JANKA:

I gut. A terozki ciorej do antryja, bo sie chca cajtōng poczytać.

JŌZEK:

Ino musisz go szpyrōniym posikać, boch go miōł w rynkach. (*JŌZEK stowo i wylazi na lewo*)

JANKA:

Niy ma problyma...

JANKA wyciōngo ze szlafroka psikadło i idzie w strona stołu. Ôdzywo sie jednak mobilniok. JANKA nōjprzōd na niego psiko, potyn wyciyo we szlafrok i ôdbiyo.

JANKA:

Halo?... Policja?... Ja, jo je w doma... Co? No dobra... a Jōzek tyż?... Ja...? Dobra... dobra, już wyłażymy. (*ōdkłodo mobilnioka, do Jōzka*) Jōzek, pōdź sam, musimy wyłyż na balkon, bo tam policjōnt stoi na dole.

GŁOS JŌZKA:

Niy ma mowy! Wiysz dobrze, że jo ci na balkon niy wyleza!

JANKA:

Ale dzisioj musisz!

GŁOS JŌZKA:

Wyłyż sama! I powiydz mu, że mie nic niy ma!

JANKA (*idzie na balkon, symino przilbica i maska, do sia*):

Jeronōw tyسیونce, jo to wiedziała... (*stowo na balkonie, woło na dōł bez gelynder i macho rynkom*) Tu żech je!

GŁOS POLICJŌNTA:

A mąż gdzie?!

JANKA:

Niy wylezie!

GŁOS POLICJŌNTA:

Dlaczego?!

JANKA:

Bo mo pieronowy lynk wysokości! Jak by wyloz, to by dostał wertigo i ślecioł na dōł!

GŁOS POLICJŌNTA:

Ale ja go muszę zobaczyć!

JANKA:

A jo panu niy stykna?!

GŁOS POLICJŌNTA:

Nie!

JANKA:

Czekej pan!

JANKA leci nazod do chałpy.

JANKA:

Abo wleziesz na tyn balkon, abo zapłacymy piyńc tażzynōw!

GŁOS JŌZKA:

To zapłaca! Sprzedōm autoka i zapłaca! Ale za Chiny ludowe niy wyleza!

JANKA (*do sia*):

Zaś tyn autok, zaś te Chiny! (*leci na balkon, do POLICJŌNTA*) Panie władzo, 0n niy wylezie! Jo m0m z niym skaranie boskie! Jak dugo sam miyszk0my, 0n ino roz na tyn balkon wyloz! Roz! To b0ło sztyrdziści piyńć lot nazod. Panie władzo, jo musza sama tyn gelynder malować, bo 0n sie za to niy chyci, nawet żech sama płytki kładła, bo niy wylezie...! (*zaczyno ślimtać*) Co jo m0m zrobić, no co...? Jo niy chca grziwny płacić...!

GŁOS POLICJŌNTA:

To zr0bcie sobie razem selfie i mi je przyślijcie MMS-em! Tylko szybko, bo nie mam czasu!

JANKA:

Rozumia!... I piyknie panu władzy dziynkuja!

JANKA leci do chałpy.

JANKA:

J0zek, co to s0m te ememesy?!

GŁOS JŌZKA:

Takie bombony! A co, chcesz panu władzy ściepn0nć jednego?!

JANKA (*już corozki słabszo*):

Jezderkusie...!

Dzwonek do drzwi.

GŁOS JŌZKA:

To tyn gliniorz?! Gibki je. Jo sie z nim zaroz pogod0m...

Słychać otwieranie dźwiyrzy.

GŁOS FARORZA:

Szczęść Boże, Szczęść Boże!

JŌZEK włazi tyłym do izby, po nim włazi FARORZ ze flach0m wina w rynce i z maseczk0m na brodzie, a JANKA cofie sie na prawo i je cołkiym замуrowano.

FARORZ:

Tak na mie paczicie, chobyście ducha jakigo 0bejrzeli, a to ino jo...

JŌZEK:

Niy... niych bydzie... po... kwolony...

FARORZ (*paczy na JANKA*):

A co to sie, panie Jōzku, waszyj kobiycie stało?

JANKA (*słabym głosem, trzymie sie za serce*):

Mie... nic niy ma...

FARORZ:

No i bardzo dobrze! Jo sam widza, że wy tyn wasz jarystag kameralnie obchodzicie. I to sie fest kwoli, nale musza wōm pedzieć, żeście mie zaskoczyli... Piyńdziśiōnt lot po ślubie, a wos niy bōło na mszy... Jo rozumia restrikcje, ale wy?... Takie zasłużone parafiany?... No i tak zech sie pomyśłoł, ōdwiędza ich, zrobia niyspodzianka, a przy ōkazje sie dowiyem, eli im sie co niy stało... Dyc wy wyicie, jak jo sie starōm ō moje ōwieczki, niy?... I jak?... Stało sie co?...

Duższo pałza.

JŌZEK:

No... jak by sam to ksiyndzu wyerklerować...

JANKA (*ledwo, ledwo*):

Poradzi ksiōndz... robić... emememsy...?

Ōroz z lewyj pojawio sie POLICJŌNT we gazmasce na gowie.

POLICJŌNT:

Policja! Było otwarte, więc wszedłem. (*FARORZ jednōm rynkōm poprawio maseczka*) Ile mam czekać na tego MMS-a? Państwo marnujecie mój czas! Gdyby nie państwa wiek, to byśmy teraz inaczej rozmawiali. Który to pan Józef?

JŌZEK dźwigo ōbie rynce do gōry, po nim to samo robi FARORZ, kery dziepiyro terozki ōdwraco sie do Policjōnta.

POLICJŌNT:

No proszę... no proszę... ksiądz proboszcz... Pięknie! Mieszkanie pod kwartanną, a tu impreza się szykuje, tak?

FARORZ:

Kwara... co?

JANKA (*klapuje na stół, ledwo dycho*):

Jo niy szczimia... jo niy... Jezderkusie... Majn herc, majn Gott... (*Jōzek do
nij podlatuje*)

powolne zaciymniynie

SCYNA 6

*Stolik i stolki nazod na poszrodku biny. Z prawyj siedzi JŌZEK
i godo bez mobilnioka.*

JŌZEK:

To jo sie bardzo ciesza, panie dochterze... ja, ja... No wyszło jak wyszło,
kebych mōg, to bych jōm ōdwdziył, a tak... ja... no to sie ciesza. Bardzo sie
ciesza... Do widzynie, do widzynie. (*ōdkłado mobilnioka*)

Włazi FARORZ we owerolu i laciach na szłapach. Niesie taca, a na nij dwie michy.

FARORZ:

Zrobiłech ci słodko-kwaśno, tak jak lubisz.

JŌZEK:

Piyknie dziynkuja, to je moja ulubiono. A co ty mosz?

FARORZ:

Wikary mi prziniōs leczo.

*Obydwa robiōm znak krzyża i rzykajōm po cichu. FARORZ kończy pryndzyj
i zaczyno jeś. Potyn kończy JŌZEK.*

FARORZ:

I co tam u twójij kobyty?

JŌZEK:

Już duzo lepij. Za niydugo bydzie w doma.

FARORZ:

To sie ciesza... Dobrze, że ino stan przedzawałowy, a niy richtich hercklekoty.

JŌZEK:

No i cołki czos je negatiwno. Dochtōr pedzioł, że jakby bōła pozytywno, to mōgłoby być po ptokach.

FARORZ nabożnie robi znak krzyża. Jedzōm dalij.

FARORZ:

Czasym je lepij, jak baba je negatiwno, niy?

JŌZEK:

Genau!... A za tydziyń sie dowiymy, czy my tyż już wreszcie sōm.

FARORZ:

Takie czasy prziszły, że ci, co łażōm, to potyn siedzōm; a z drugij strony: wie-
la idzie siedzieć? Świyntego Pyjtra tyż zawarli, ale Ponbōczek zesłōł anioła
i ōn go wypuściōł. Czowiek musi być wolny, a chop to już cołkiym... musi
wyłyż... trefić sie z kim... pofaflać... Dobrze godōm? (*JŌZEK ino kiwie go-
wōm*) Na pewno niy chcesz tego lecza? Jeszcze je mielone ze wczoraj...

JŌZEK:

Niy, niy. Co mōm zjeś, to zjym.

zaciemniynie

KURTYNA

ANIOŁ NA RYCZCE

Sławomir Fudala

WYSTYMPUJŌM:

ŚW. PYJTER,

WILUŚ

ANIOŁ STRŌŻ OD WILUSIA

EMMA

BARMANKA

ANIOŁ *na ryczce z blaisztiftym*

SCYNA 1

*Izba u Świentego Pyjtra. Jedyn anioł siedzi na ryczce ze blaisztiftym i cosik tam
szkryflo. Drugi siedzi na środku izby i czeko na to, co powiy mu św. Pyjter.
Pyjter patrzy bez ôkno. Wszyjscy czekajōm. Luft we izbie robi sie cinyŋki.
Narōż św. Pyjter sie ôbracō i padō tak.*

ŚW. PYJTER:

Wiysz czymu zech ci sam kōzoł przijść?

ANIOŁ STRŌŻ OD WILUSIA:

Niy, niy wiym, we liście stōło że mōm przjiść drabkō, bo rada aniołōw strōżōw
po kontroli ze samyj gōry mō coś do mie. Jo chyba nic niy nabzdurził. Jo nic...

ŚW PYJTER:

No widzisz, ty nic. Beztōż tyn synek, kerego mōsz wachować sie potraciōł.
Bo ty nic... Doszło do nos, że tyn Wiluś keregō mōsz we zōcy, łązi klapniyn-
ty, nic mu niy pasuje i pado, że cołki żywot mō we žici. Luft blank uszeł ze
niego, nic niy poradzi zrobić, bo ty nic....

ANIOŁ STRŌŻ OD WILUSIA:

Ale jo go wachuja, sztyjc go wachuja, ostatnio miołech gorszy czas. Wiycie,
pyrzyłech sie. Gańba sie było pokazować.

ŚW. PYJTER:

Niy cygōń, widziotech cie jak dorobiosz na nocki na Polach Elizejskich. U kōn-
kuruncyji dorobiosz? Na pynzyjo chciołbyś do Grecje wyfurgnonć ? A tu synek
Boga przeklino, bo sōm ôstōł ze tym cołkim diobelstwym na ziyimi?

ŚW. PYJTER:

My suchali ostatnio jak rzykoł, co by my go wzyli fört ze tego świata. Że pożytku z niego niy ma. Niy mo co po siebie ostawić. Baba sie już z niego chichro, że ôn tako żyć stropiōno. A on by chcioł. Jymu sie mono chce ale niy poradzi.

Ōd samego poczōntku jo sie Wōm prziglōndōł. Synek bōł dobry, miōł talyn-ty. Niy mōgli my sie nachwolić jak go kludzisz bez życie. Narōż co sie tam połōnaczyło?

ANIOŁ STRŌŻ OD WILUSIA:

Myślelech, że do še rada. We tyj familie zōwdy koždy rada dōwoł. Ludzie to dobre byli, szanowali ich, przōli im. Jo se miarkowoł, że ôn tak tyż mō.

ŚW. PYJTER:

No i doł se rada. Bo zech mu posłoł po cichu anioła, coby go trocha pociś do przodku. Jak żeś go z ôka spuścił. Dobrze, że ta rechtorca dało sie ôświycić na czas. Synek zaczōn malować. Jo to czuł że s niego bydzie jaki artysta. Skończył szkoły i sie ôżyniōł. Cis we tym szwōngu pōra lōt. I sie we końcu wyłōnaczył. Poszeł do roboty i synka wciōngło na amyn. Do dōm, do roboty i tak na ôkrōngło.

ŚW. PYJTER:

Jo niy moga do jednego chopa mieć dwóch aniołōw. Ciebie to spasowało, ja? Widza, że ty sie piyrzisz już ze 20 lōt.

Popatrzył św. Pyjter z uwagōm na skrzydła tego anioła i pado tak:

Zegłōwka ze tych skrzydeł to chyba niy bydzie. Ty ôszkubku. Chyba na starość pōdziesz do tego czornego na dōł hasie wynosić.

ŚW. PYJTER:

Taki dobry synek na zmarnowanie. (*I narōż wyszczelił.*) Jerona, jak jō bych ci szczelił bez tyn pysk!

ANIOŁ NA RYCZCE Z BLAISZTIFTYM:

Mōm to tukej naszkryflać, że mu we pysk dōcie? Synek ōd szefa tego niy trōwi.

ŚW. PYJTER:

Pisz, pisz, na siebie to biera, jak co to sie zapra jeszcze rōż.

ANIOŁ STRŌŻ OD WILUSIA:

Dejcie mi szansa, jo to pochtōm, jeszcze sie bydziecie tym synkiym asić. Ino niy na dōł. Juź kichōm, że skrzydła se zmaża, bo, wycie, przy hasiu sie tak fest kurzi. Ale jest mie rychtig gańba. Ja, mocie recht, to je dobry synek.

ŚW. PYJTER:

Ty sie juź niy rożej do tego. Mōm sam jednego anioła, co go wykludzi. Ja, bydzie z niego malyrz, niy taki ôd zokla, abo gipsdeki, ôn bydzie bily malowōł jak tyn Michoł ôd Aniołōw. Abo śpiywōł bydzie. Niy, za stary juź jest na śpiywanie. Coś mu znojdymy, cōby był rōd.

*Wrōcił sie, zwinōł papiōry na stōle, kiwnōł aniołowi,
co na rycze siedziōł i padō na koniec.*

ŚW. PYJTER:

Styknie tyj gōdki, troć sie, musza pomyndykować co ze tobōm zrobić. Wiym, bydziesz za kara siedziōł na świyrku we panewnickij betlyjce, potym zobocza. Bo ze ludziami to ty niy możesz robić. A ty zakryklej to o tym szczyłaniu w pysk – boch sie znerwował. (*pado aniołowi z ryczki*). Jeszcze mie niy puści na ryby i tyła bydzie.

SCYNA 2

Rok nyskorzi, ôgrōdek przy kawiarni we Tychach kole Andromedy. Przy stoliku siedzi Wiluś i na serwetce coś szkryflo. Przy stole kole niego siedzi Pani Emma i spoziyro na niego. Podłazi ku nymu i gōdō mu tak.

EMMA:

Wyboczcicie, że sie rožōm, ale chciałabych sie wōs o coś zapytać.

WILUŚ:

Dobry, pytejcie.

EMMA:

Widza, co se szkryflocie po tyj serwetce i wōm gryfny ôbrōzek ze tego wyszeł. Co to za landszaft? Mie to wyglōndō na Paprocany abo jaki inkszy stowek.

WILUŚ:

Taki żabiok, mōm trocha czasu to se szkryflōm.

EMMA:

Piyknie panu to wyszło. Widza artysta. Jo jest Emma.

WILUŚ:

Wiluś. Kaj tam artysta, tak ino. Czekōm, mierznie mi sie, to szkryflōm.

EMMA:

Jo sie trocha na tym znōm, rychtig mi sie podobo ta wasza kryska.

WILUŚ:

Pora lōt do zadku żech malowoł, nawet mie chwolili tu i tam. Ale cza ze czegoś żyć. Fto terōzki ôglōndō ôbrōzy? Tela jest rychtig dobrych malyrzy, kaj jo tam taki amator do nich? To niy dlo mie. Cza mieć geld i plecy. Mie juź sie niy chce. Mie styknie te ôziym godzin na werku. Oczy tyź niy te bo za szwajcyrza robia. A co, wyście sōm jaki szpec ôd malowanio? Niy wyglōndōcie, jo by wōm pedzioł żeście sōm jako rehtorka.

EMMA:

No, jo uczyła bez cōłkie życie rysunku we Katowicach na ASP, trocha we Krakowie. Beztōż sie trocha znōm na tym. A ta wasza kryska rychtig mie sie podobo. Dosz się, synku, zaprosić na krepla? Jo stawiōm. Cukier mi spod, musza pociś jakim krepłym na głodny żołōndek. Cołki dziyń lotōm, głōd mie juź biere.

WILUŚ:

Od krepla jeszcze żodyn niy umar.

EMMA:

Padōcie, że robicie na werku? A czemu nie poszliście na szkoły, żeby uczyć sie malowanio. Malyrz, choć mō talynt, bez teorii cinyńkō. Roztomajte kńify idzie pochytać.

WILUŚ:

Jō chōł, ale mi sie to jakoś niy pouklōdało. Darymny żech je. Terōzki juź je za niyskoro. Mie na werku dobrze.

EMMA:

Nigdy niy ma za niyskorō. Jo bych u wōs zamōwiła ôbrōz. Poradzicie mie namalować? Chciałabych ôbōczyć inksze ôbrōzki. Mōcie co pokōzać?

WILUŚ:

Kaj tam. To sie niy nadōwō, żeby to kaj pokōzać. Bych se gańby ino narobił. Jo żōdnego niy malowoł jeszcze. Jo še maluja do szuflody, tak do sia. Jakieś krzōki, las, kōnsek pola. Takie tam.

EMMA:

Pokõž, jo Ci powiyim, chopie, czy to sie werci pokõzać. Jak, ja? To Ci zrobiemy wystawa. Przidõm szpece. Ale przede wszystkim przidõm ludzie. Mono zmjynisz czyjeś życie? Raduj ludzi we tych diobelnych czasach. Sama robia pora takich wystaw, może Pan by chcioł mi pomõc? Modych trza nõm uczyc czuc piękno.

WILUŚ:

No, mõga, ale jo sie niy znõm za bardzo. Niy wiem czy bydzie zy mie pożytek.

EMMA:

Tu õstawia mõi numer. Jutro w polednie widzimy sie we Katowicach. Jo leca. Mõm jeszcze basyn, dwa zebrania i na Mszõ bych chciała zdõnżyć. Kaj tyn telefon? Do widziny, panie Wilusiu.

WILUŚ:

Chowcie sie.

SCYNA 3

Dwa roki niyskorzi ta sama izba św. Pyjtra, do izby włazi Emma. Zmarło sie boroczce i musi stanõnc u Pyjtra zdać sprawa ze żywota.

ŚW. PYJTER:

Witõm Wõs, Anko, ale wõs tam na dole zegnali. Żõl było wõs brać do sia, ale wiyecie. Tukej tyż nõm trzeba takij dobroci i robotnyj rynki. Przõli wõm fest. Jo tyż mioł wõs we zocy bez cõłki żywot.

EMMA:

Podzieliłach wszystkich robotõm, wiyim, że se poradzõm. Jerona, coś mi sie spõmniało. Miałach kajś zadzwonić. To już po ptõkach. Jo jeszcze miała tam tela do zrobiynio, ale cõž, trza było ciś ku tyj świyntyj modryj õjcowiznie. Słabõ zech już była. Ale niy przichõdza ze prõżnymi rynkami. Mõm sam do wõs krauzka skõrki z apluzyny. Jak tam co bydziecie piykli wciepcie na smak. Jak zech już tukej trefiła do tego rajy, dejcie mi co do roboty. Gańba tak siedziec we tym rajy i bõnki zbijać. Pogõdõm ze Ponbõczkiem, na pewno coś sie znojdzie dlo mie.

ŚW. PYJTER:

Jo to czuł, że jak ku nõm przidziesz, to sie zacznie. Gabryjel sie już pytoł kiedy przidziesz. Pierõn już pazury poõbgryzoł. Skõńczõm nõm sie lygary.

Jak Emka przidzie to zowdy bydzie co do roboty i niy do nōm dychnōńć. Chciołech Cie sie spytać o tego Wilusia, kierego żeś trefiła pora lot do zadku we Tychach. Pamiyntōsz ?

EMMA:

No toć, że pamiyntōm Wilusia. Dobry synek i mō talynta, ale mi sie zdō, że trocha z niego lyń. Na tym werku by sie boroczek zmarnowoł, a malyrz z niego jest pirima sort. Rychtig artysta. Od razu wiedziałach, że z niego co bydzie. Cza mu było ino pokozac jak sie zabrac za siebie, za robota i te sztrajchowanie. Jakiś wylynkany bōł. Malowoł piyknie, farby poradził narylać niy z tyj ziymi. Nawet to, co brōnōtne było blank kolorowe, jasne, czyste i piykne. Jakby tym, co ōglōndajōm ōblykōł brylki kolorowe. Świat był pomaszczony, jak kołocz rozynkami, jakby sōm Pōnbōczek to malowoł. Jaa, terōż widza we tym rynka Pōnbōczka. Mo dar. Kaj ōn tyn talynt miōł skryty, tyla lot robił za szwajcyrza na werku. Zgos by synek przy tyj rōbocie. Ōnego trzeba było dac ludziōm, niych dōwō ōd siebie ku drugimu. A ōn fest przaje tymu, co robi. Doczkej, doczkej, ino skōnd ty wiysz o tym trefie z Wilusiyem? Mono ty żeś do tego pazury wraziōł?

ŚW. PYJTER:

Emmo, jo widziōł, ale to wy żeście go ōbudzili i te brylki mu wraziłi na ślypia. Łaził jak ciyń. Żōł go było. Jo wōs znōm, wyście zōwdy mieli talynt do znojdowniō dobrych ludzi. A trocha ich było. Pra? Niy wszyscy poradzili we tym szwōngu szczimać, ale każdy niyskōrzi Ci dziynkowoł za tyn fechtung, kiery dostoł. Ci kerzi sie ze tobōm niy zgodzali czekali na rada, recynzyje, nawet jakby sie mieli powadzić. Niy rōz, tyś im była choby matka: surowo, ale sprawiedliwo. Niy użalała żeś sie nad sobōm, inni mieli cынъszy krziż. Jo wiym że rychtig Cie radował jak kierymu spod Twoich skrzideł sie poszczynściło, to bōł dla Cia nojwiynkszy gyszynk. Beztoż trefiałaś do mie i raj dlo Ciebie jest otwarty. Ino nōm niy zaprawiej płonek ze śwyntego drzewa abo kołocza niy piyc ze jabkami, bo Ci na gōrze sie wścieknōm. Ale tyż Ci przajōm.

EMMA:

Jagōdko, posłuchej mie sam ino. Ty mie tukej coś kryncisz. Gōdej, co ty ōdy mie chcesz? Co do Wilusia, jo mu dała inō wiara we siebie, starałach sie ōbudzić talynta, kere we nim drzymały. Ludzie niy śmiōm czimać tego ino dlo sia.

EMMA:

Panie Pyjterku miły, mōm srogō utropa. Wszystkie personsy na tych jego bildach sōm takie stropiōne, niy poradzōm sie śmiōć. Őbrōz piykny, ale bije z niego ôkropny lankor. Niy poradziłach we nim obudzić tyj uciechy. Miōł uciecha z malowanio, ale smutki ôstały na płōtnach. Jō juź niy poradza, ale dbejcie tam o niego. Miyjcie go we zōcy, niych maluje. Nich dowo ludziōm uciecha. Niyh mu to dōwō szczyńście.

ŚW. PYJTER:

Niy bez cufal Wiluś trefił pod twoje skrzydła. Ja, dobrze słyszysz, pod skrzydła... Niy dōmy go skrziwdzić.

SCYNA 4

*Mało knajpka, pora ludzi siedzi po kōntach. Cicho gro radio, za ôknym leci dyszcz.
Za barym frelka glancuje szkło, nuci coś pod nosym. Wlazuje zmokniynty Wiluś
i siado za barym wpatrzony we mobilniok.*

WILUŚ:

Dobry, moga sam przeczekać tyn dyszcz? (*seblyko mantel*)

BARMANKA:

Dobry, no dyć. Co wōm nalōć?

WILUŚ:

Dejcie mi tyju. Abo kawa. Ja kawa. (*pado, durś sie patrzy we mobilniok*)

BARMANKA:

Kaj żeście sie wybrali we taki dyszcz?

*Wiluś ņic ņy pedzioł. Pisōł coś we telefonie. Barmanka postawiła kawa i dalij
glancowała szkło. Śpiewała se po cichu. Teroz Wiluś wejrzoł na dziōłszka.*

BARMANKA:

Co mi sie Pan tak prziglōndo? Jestech kaś zmazano?

WILUŚ:

Prōbuja zapamiyntać ta farba zaklynto we tych twoich piyknych oczach, cudno frelko. Czy to aby niy jest bursztyn? Tak świyci drzewiany klocek na fojerce jak kończy gōreć. Juź mo zgasnōńc ale jeszcze mrugō, głōskany bez wiaterek kiery błōndzi bamōntnie po cimoku. Jak maluczkie złote kapki rosy,

kiere spać idōm wrōz ze słońcym, kiere ciśnie na zachōd. Nojbliży mi do bursztynu. Patrz, frelko, mrudgej tymi aksamitnymi rzynskami. Niych glanc dōwajōm twym ōczkōm blyskajoncym. Zdrzadełka cudne, cōłki inny świat we nich widać. Dyszcz? Żōdnego dyszcza niy widza. Tam sōłnce zaklynte. Zdō mi sie, kiej patrzisz w miesiōnczka ōblacik na niebie, to farbōm żłōtōm sie miyni. Cōż za tymi ōczkami, we tyj duszy? Jako dobroć i przōnie musi być we tyj istotce, kierō mo takie cudne dźwiryka do dusze.

BARMANKA:

Jo wōs prosza. Co wy dō mie gōdōcie? Jo wōm nic niy nalōła do tyj bōnkawy? Bo zadzwōnia po kierownika.

WILUŚ:

Dej mi popatrzeć. Co bych Cie niy mōgł zapōmnieć. Jo je malyrz. Cōłki żywot maluja, ale wszystkie te ōbrōzki sōm jakby niy dokończone. Brakło we nich tego tajmnego skłādnika. Tego, kiery po namalowaniu lōnki abo zegrōdki do nōm poczuć wōnianie trōwy. Do usłyszeć sapanie biny na kwiotku. Jak zbiryō sie z pełnym sakiem nektaru do furganio ku chałpie. Do nōm poczuć luft nerwowy, jak sie mroczy na dyszcz z pierōnami. Do we lesie posuchać jak starziki dymby rozprawiajōm ze sobōm o gupotach. To wszystko ōzyje. Bydzie pełne, doskōnałe. Tak sie sztrajchuje miłowanie.

BARMANKA:

A zapamiyntejcie se. Chneda zamykōmy, tak, że uwińcie sie.

WILUŚ:

Ōstōń mojōm muzōm. Byda Cie wielbił we kōżdym zatōnkaniu pyndzla we farbie, we kōżdym pociōngniyńciu nim po płōtnie. Farba bydzie schła twoim westchniyniym. Jo byda Cie durś wspominoł. Miłować mie niy musisz, miłowani bez wzajemności mō nojwiynkszo siła. Zdō mi sie że dżiśo ōstawia tu 5 złoty za bōnkawa, gowa i serce. Ty mie mosz za jakigo gupielōka. Ja, mosz recht. We takim szwōngu powstowały nojwiynksze dzieła. Dej, Pōnbōczku, żeby mie czimało jak nojdużyj.

BARMANKA:

Przestało lōć. Idźcie już ku chałpie.

WILUŚ:

Niy gorszcie sie, cudnō frelko, jak se przistana czasym przy ōknie popatrzeć. Dej mi umiyrać przy kōżdym twoim wejrzyniu. Dej podychać tym samym luftym. Dej posuchać twojigo śpiewanio. Jak żeś śpiywała, kōzde słowo, kōzdy dźwiynek lygoł na dne tych wyglancowanych kielōnkōw. Mościł sie,

wypełnił ścianki i czekał, by spijać tyn cudny nektar. Wszyjskimi zmysłami moga Cie malować.

BARMANKA:

Piyknie gōdōcie. Jo jest rychtig ciekawō tego ôbrōzka. Czy mie aby niy cyganie? No, to idźcie do dōm. Jo zawiyrōm.

SCYNA 5

Izba u świyntego Pyjtra. Emma i św. Pyjter przy kołoczcu z jabłkami.

EMMA:

Pyjterku miły. Cudniyjszego anioła niy mōgł żeś posłać Wilusiowi.

ŚWIYNTY PYJTER:

Powiyw wōm na ucho, że my nic ze tym niy mieli wspōlnego.

EMMA:

Po jakimu? Dyć wy mocie ta siła, coby dōwac życie i je ôdbiyrać. Coby pomagać, wysyłać anioły, jak niy ma już rady, nawet pogrozić palcym jak sie noleży.

ŚWIYNTY PYJTER:

Jest takō moc, nad kierōm niy mōmy władzy. Bo kiedy jest czysto i rychtig prawdziwo to brōni sie sama. Jest to tako siła kieryj żōdnō inno niy jest we stanie zaszkodzić. Kieryj blask ôświatlo wszyjskie ćmoki świata, a ludzie jeji i tak niy szanujōm. To je miłowanie. Koźde talynta bez przōniō sōm ino zwykłōm robotōm. Jak przōnie jest, to je wszystko. Je słońce, jest łōnka wōniōnco roztomajtym ziołym i kwiotkami. Jest las futrujōncy koźdego, kto do niego wleźie. Sōm gyński odlatujōnce kajś fōrt na zima. Jest muzyka, ôbrōzy i poezyjo. A anioły? Jak rychtig potrzeba anioła, przidzie. Narōz sie znojdzie na naszymy drōdze. Zrobi, co mō zrobić i ôstawiō plac nastympnym. Jak rectorka Wilusia, kierō pokōzała mu droga, jak ty, Emko, jak żeś mu przypomniała wiela jest wōrt. Jak żeś mu pokōzała wiela idzie zrobić dlō drugiego człowieka. W końcu ta frelka cudnō, kiero obudziła we nim tak wielkie przōnie. Za to żōdyn z nich niy mō takij siły, jako mō srogie miłowanie. I ōn bydzie kōmuś aniōłym. Mono już jest. Ō niego byda spokojny. Niy gorsz sie Emmo, ale ida na ryby... z Panym Bogiyem.

Monika Kassner

CZAS A PLAC:

*Po Srogij Wojnie 1914–1918. Lazaryt we Zaborzu wele Zöbrzö.
Hereszt w Hamburgu.*

PERZÖNY:

ARNO FRITZ (*pokutnik*), **FLYJGERKA I**, **FLYJGERKA II**, **FLYJGERKA III**,
ÖRDYNATOR, **DÖCHTÖR**, **SPARZÖNE BERGMÖNY**, **PACJYNT I**,
PACJYNT II, **MATLA KOWOLIK** (*cera ôd gospodörzy, u kerych mieszkö
Fritz*), **DYRECHTÖR LAZARYTU**, **ANA**, **NACZELNIK HERESZTU
W HAMBURGU**, **SZANDARA**, **HERESZTANTY**, **OBERSZTAJGER**,
BERGMÖN I, **BERGMÖN II**.

SCYNA I

Lazaryt we Zaborzu. Izba chorych.

Sanityjery ukłödajöm sparzönych bergmönöw we prykach.

DÖCHTÖR:

Tukej möcie wolne pryka. Tygo döwejcie pod ściana (*pokazuje, kaj chore
majöm lygać*), a tygo (*schylö sie nad urażönym*), dejcie pozör na gowa. Flyj-
gerka, ôpatrzcie tygo ôstatniygo.

FLYJGERKA I:

Już sie robi (*podłazi do pryka ôd chorygo. Döchtör wylazi z izby, włazi Flyj-
gerka II i stöwo wele Flyjgerki I nad prykiem ôstatniego pacjynta*).

FLYJGERKA II:

To bezmaść musi być tyn pokutnik, co ô nim tyła we Zaborzu gödajöm.

FLYJGERKA I (*sprawdzö karta pacjynta*):

Tukej stoi Arno Fritz. Chyba mösz recht.

FLYJGERKA II:

Jö bych sie böła go ôpatrować.

FLYJGERKA I (*udziwiōnō*):

A po jakimu?

FLYJGERKA II:

Niy dej Pōnbōczku co ōn stanie i...

FLYJGERKA I (*poprawiō zygōwek pod gowōm chorygo*):

I co mi zrobi? Przeca ōn ledwie dychō.

FLYJGERKA II:

Jō tam swoje wiym. Ludzie gōdajōm, co ōn pōno swojigo bajtla i baba ubił, bo bezmaść chciała ōd niego ōdyńść.

Do izby włazi Flyjgerka III z medykamentami a opatrunkami.

FLYJGERKA III:

Bodej tu mō lygać tyn pokutnik.

FLYJGERKA I:

Niy mōcie nic inkszygo do roboty, ino ciekawić sie jakeśkim borokiym?

FLYJGERKA III:

Padajōm, co ōn miōł pōnoś zatrzaść...

FLYJGERKA I:

Ja, wiym: bajtla i swoja baba.

FLYJGERKA III:

Co ty tam wiysz. Tyś tukej je nowō. Starō Klouzinō ōsprōwiała, co ōn miōł ubić kamrata przy szkacie. A potym, coby zatrzyć tropy, porōmbać umrzika na kōncki i zeżryć.

FLYJGERKA I:

Takōś starō, a takō gupiō. Niy fanzol, a sie ino chyc za jako robota, bo takie gupoty ōsprōwiosz, co suchać niy idzie.

Fritz zaczynō sie ciepāc we pryku.

FLYJGERKA II:

Dejcie pozōr, ōn sie ruszō!

FRITZ (*bamōńci*):

Ana... Ana...

Flyjgerki gibko wylāzōm z izby.

SCYNA II (*Śnik*)

Hereszt we Hamburgu; biōro Naczelnika; stoi przed nim skuty rzetozami Fritz; ze zadku Szandara

NACZELNIK:

Gōdajōm, co z ciebie mō być dobry chop. (*Spozirō na heresztanta znad papiōrōw*). Do mje żeś je mordyrz i chachōr. (*Fritz spuszczo gowa*). Nale mōm do cia propozycyjō niy do ōdcyppniyńciō. (*Fritz dźwigō gowa i blikō na Naczelnika*). Ty sie forsztelujesz, co czekō cie śmiyrтка, a w nojlepszym razie dożywocie? Nale mozesz ōdkupić swoje grzychy.

FRITZ:

Mje juź nic niy pōmoże.

NACZELNIK (*wali piyńściōm we biōrko*):

Jō tu decyduja, abo ci cosik pōmoże, abo niy. Terōzki mje suchej. Ōstaniesz pokutnikiym.

FRITZ:

Pokutnikiym zech juź je.

NACZELNIK:

Juź zech pedzioł:

terōzki żeś je mordyrz i chachōr, a niy żōdyn pokutnik. Nale mozesz ōdkupić swoje winy, ino musisz chcieć.

FRITZ:

Jō niy wiym czy chca. A co robi taki pokutnik?

NACZELNIK:

Robi na grubie: ōblekō sie w wilgłe hadry i ze petronelkōm wypōłō matōwa. Bodej Angliki majōm juź taki patynt, co poradzi rozgōnić tyn gaz, nale pierōny żōdnymu niy chcōm go sprzedać, bestōż u nōs potrzebne sōm takie jak ty. Kej przeżyjesz, po dziysiyńciu lōtach abo gibcij, to zależy ōd ciebie, darujōm ci wina.

FRITZ (*ze spuszczońōm gowōm*):

Chyba juź wola kojfnōńć.

NACZELNIK:

Niy byda cie zmuszoł. (*Do Szandary*) Biercie go.

Szandara prowadzi Fritza do cyli.

SZANDARA (*ótwieró cyla*):

Gódká na fol, piskaniy, śpiywki abo klupanie do inkszych heresztantów sóm zabrónióne.

(Prawie z inkszych cyl słychać śpiywka):

„Ana, Ana, Ana, jó cie zóuwizóu dostana, choćbys wlaźła mi pod stól...”

SZANDARA (*ryczy*):

Zawrzyć te pieróńskie gymby!

JEDYN HERESZTANT (*cicho kóńczy*):

„jó cie wezna zóuwizóu”.

SZANDARA:

Ty sie forszteluj, co tak bydziesz miół kóždy dziyń, aże do śmiyrći. Śmiyrťka móże przyńść gibko abo dziepiyro za póradziesiönt lót.

FRITZ:

Przeca góдалиście, co śpiywki sóm zakózane?

SZANDARA:

Niy kóždygo przywachujesz.

FRITZ (*rozglóndó sie po cyla*):

Padejcie naczelnikowi, co biyra ta fucha.

SCYNA III

*Lazaryt. Izba chorych. Flyjgerka II zmienió pokutnikowi ópatrunki,
a tyn sie ciepie.*

FRITZ (*chytó flyjgerka za rynków*):

Co z chopcami? Żyjóm?

FLYJGERKA II (*cofie rynka*):

Ja, nale ciynżko ś nimi.

FRITZ:

Óstówcie mje, a zajmijcie sie nimi. Óne majóm familije, jó niy móm żódneygo.

FLYJGERKA II:

Niy starejcie sie. Majóm dobro ópieka.

SCYNA IV

*Lazaryt. Izba chorych. Włazi Matla Kowolik. Na stoliku, wele pryka Fritza stawiö
kosz z maszketami. Flyjgerki II i III blikajöm zza winkla.*

MATLA:

Ôjce przysyłajöm ci gyszynk i pytajöm ô twoje zdrowie.

FRITZ:

Ino ôjce?

Matla spuszczo gowa, bo sie gañbi.

FRITZ (*chytö jöm za rynka*):

Kej stönd wyleza, wydösz sie za mje?

MATLA (*niy patrzy na Fritza*):

To söm swaty?

FRITZ:

Ja, inoch jeszcze pierszczönka niy kupił. Jakoś niy böło kiedy.

*Matla spoziro na Fritza a gładzi jygo rynka. Flyjgerki blikajöm
zza dzwiry a suchajöm.*

FLYJGERKA II:

Nale sie znödła szaca.

FLYJGERKA III:

Starö panna i mordyrz. Fest dobranö pöra.

FLYJGERKA I (*podłazi öd zadku*):

Zöwiścicie?

FLYJGERKA II:

Tyś chyba ögupiała. Öna mö przeca ze sztyrdziyści löt, a ön niywiele mynij.

FLYJGERKA III:

Kej sie hajtnöm, bez noc pošlubno jöm zatrzaśnie, a potym zeżre, choby tygo
kamrata öd kart.

*Matla głazi öpatrzöno gowa Fritza i bez słowa wylazi z izby chorych.
Przy dzwiryzach zaczepio jöm Flyjgerka III.*

FLYJGERKA III:

Niy gańba ci przyłazić w byzuch do mordyrza i sie ś nim óbłapiać?

MATLA:

A niy gańba ci włazić ze szczewikami w czyjეს żywobycie?

FLYJGERKA III:

Patrzcie jóm, jakö mōndro sie znödła. Kōždö potwora mõ swojigo amatora.

MATLA (*bliko na Flyjgerka ód wierchu do dołu i nazöd*):

Mōsz recht. Sōm take, co majōm kupa amatorōw. Ty sie forsztelujesz, jakie to muszōm być beboki?

Flyjgerka III zawiyřo gymba. Matla wylazi.

SCYNA V

Lazaryt. Izba chorych. Pacjynt I mõ iść do dōm. Zaczynö rychtować klamory, dōwö kofer na pryko.

PACJYNT I:

Już zech myśloł, co stela niy wyleza.

PACJYNT II:

Žōdyn niy wiy, co Pōnbōczek mu óbsztalowoł.

PACJYNT I:

Mōcie recht. Szczynście, co mje jeszcze do siebie niy wołö. (*Zaczynö śpywać*) „Ana, Ana, Ana, jö cie zowizou dostana, choćbyś...”

Öř Fritz ciepie sie na niygo ze zadku i zaczynö go dōwić.

FRITZ (*dōwi chopa i ryczy*):

Zabija cie, zatrzasna! Już nic niy powiysz, tym barzij niy zaśpiywōsz!

Do izby włazi Flyjgerka I i Dōchtör. Ódciōngajōm Fritza. Pacjynt I niy umi dychać, chytö luft choby fisz bez wody.

PACJYNT I:

Ôn (*pokazuje na Fritza*), ôn chcioł mje udōwić. Ôn je świntniōny.

DÖCHTÖR:

Coś ty nawynokwioł? Bez tyn fal padło ci na gowa abo co? Przeca byś chopa zabił.

FRITZ:

Taki miolech zamiar.

DÖCHTÖR (*dōwō Fritzowi szprica*):

Cobyś wiyncyj niy gupioł. (*Gōdō do Flyjgerki I*) Przynieście pasy. Muszymy go zapnōńć, bo nōm tukej wszystkich pacjyntōw poubijō.

SCYNA VI (Śnik)

Lazaryt. Izba chorych. Fritz nyno po zastrzyku. We śniku widzi Ana tańcować z jakimiś chopami, to z jednym, to zaś z drugim i chichrać sie mu w pysk.

ANA (*chichro sie a ôbracō we tańcu*):

Cha, cha, cha... Dej pozōr, Arno... Wachuj mje... Wejrzyj... Karlusy mi przajōm...

*Fritz chce jōm ôdciōngnōńć od tych chopōw, nale jest uwiōnzany do stolka.
Ana tańcuje a chichro sie dalij.*

FRITZ (*woło na spaniu*):

Ana! Ana!

Flyjgerka I rychtuje szprica.

SCYNA VII

Lazaryt. Izba chorych. Fritz lygo zapniōny pasami do pryka. Włazi obersztajger z kompanijōm dwōch bergmōnōw. Niesōm gyszynk i aktōwka z papiōrami.

OBERSZTAJGER (*bliko na Fritz*):

Chopie, co ône ci zrobili? Po jakimu tyś je uwiōnzany?

FRITZ (*bamōñci i ciep sie na pryku*):

Ana! Ana! Czamu mje tak kōrzesz?

Do izby włazi Flyjgerka II ze szpricōm i gibko podłazi do Fritza.

OBERSZTAJGER:

Co bydziecie mu robić?

FLYJGERKA II:

Szprica.

OBERSZTAJGER (*zastawiō jji droga*):

Fto wydoł takie polecynie? Chca gōdać z dōchtōrym abo lepij z dyrehtōrym, nale gibko!

Wystraszōñō Flyjgerka II drab wylazi z izby.

OBERSZTAJGER (*bliko na bergmōñōw*):

Fto to widzioł takie coś. Őgupieli w tym lazarycie abo co?

SCYNA VIII

Biōro dyrehtōra lazarytu.

DYREHTŌR:

Siednijcie sie.

OBERSZTAJGER (*stoi dalij*):

Wyerklerujcie nōm, po jakimu tak żadnie traktujecie naszymy bohatory.

DYREHTŌR:

Rozumia, co gōdōmy ô Arno Fritzu?

OBERSZTAJGER (*zeszterowany*):

A ô kim mōm gōdać?

DYREHTŌR:

Jō wiym, co ōn je mordyrz i gizd. Bydźcie radzi, co my go jeszcze niy wyciepli. To ino skiż przysiyngi Hipokratesa.

OBERSZTAJGER (*fest wnerwiõny*):

Wy mi przysiengõm Hipokratesa gymby niy wycierejcie. Tyn karlus wyniõs na wyrch na swoim puklu aże wszystkich siedym bergmõnõw. To niy jego wina, co trzech bõlo umartych. Poßwynciõl swoje żywobycie dlõ inkszych, a wy chcecie zrobić ś niygo jako flanca?

DYRECHTÕR:

Õn sie ciepnyõl na pacjynta.

OBERSZTAJGER (*siadõ, a za nim dwa bergmõny*):

Przeca to je chop bez ikry. Tyn istny musioõl mu sie fest naprzykrzac.

DYRECHTÕR:

Põnoõ śpiewõl.

OBERSZTAJGER (*choby niy dosõlyszõl*):

Co robiõl?

DYRECHTÕR (*zeszterowany*):

Ś p i e w o õ l.

OBERSZTAJGER (*zamyslõny*):

Gõdocie, co śpiewõl. A wiecie moõno jako śpiywka?

DYRECHTÕR (*fest wnerwiõny*):

Jõ je õd leczyniõ, a niy õd zgadywaniõ, co fto śpiewõl!

OBERSZTAJGER:

Poleku. Jõ musza sie wywiedziec, co tyn istny śpiewõl. Moõno jako flyjgerka abo jaki pacjynt co wiedzõm?

DYRECHTÕR (*chyto za suchawka õd telefõnu*):

Woõjcie mi tu flyjgerka, co miaõla dyõzur kej Fritz, tyn pokutnik, dostõl hajny. (*Odkõõdo suchawka*) Zarõzki bydymy wiedziec. Ino po jakimu to je takie fest waõne?

Do gabinetu dyrehtõra wõazi Flyjgerka I.

FLYJGERKA I:

Chcieliõcie zy mnõm gõdac.

DYRECHTÕR:

Pamiyntõcie, jako śpiywka śpiywõl tyn pacjynt, co Fritz sie na niygo ciepnyõl?

FLYJGERKA I:

Kej zech sie rozpytaõla, co sie richtich staõlo, pedzieli mi, że tamtyn zanuciõl to, co wszystkie znajõm: „Ana, Ana, Ana...”.

OBERSZTAJGER I BERGMÖNY (*kiwajōm gowami*):

Jaa...

Dyrechtōr i Flyjgerka I blikajōm na nich choby na jakichś iptōw.

OBERSZTAJGER:

Tak sie mianowała jego baba.

DYRECHTÖR (*udziwiōny*):

Nale fto sie mianowoł? Jak sie mianowoł?

OBERSZTAJGER:

Jego baba. Mianowała sie Ana.

DYRECHTÖR (*z sarkastycznym ósmiychym*):

Wiecie wiela babōw mianuje sie Ana? I żōdyn skuli nich niy zabijō.

OBERSZTAJGER:

Ōn niy zabił skuli nij. Ōn zabił jōm.

DYRECHTÖR:

Gōdołech: mordyrz a chachōr. Niy byda powtarzoł, co ô nim tukej ôspro-
wiałōm.

BERGMÖN I:

Bezmaść same gupoty.

DYRECHTÖR (*udōwo, co tygo niy słyszōł*):

To w czowieku ôstōwo i mieszō mu w gowie. A potym Rybnik abo Toszek
i po ptōkach. Wiela my tukej takich już mieli (*machō rynkom*).

OBERSZTAJGER:

Kej chcecie wydzieć, to Fritza wzyli na wojna. Walczył za kajzera. Bodej bōł
urazowany. A kej przyjechoł do dōm, zastoł Ana z inkszym. Co wy byście
wtynczōs zrobili? Niy jedyn by sie zapōmniōł.

Dyrechtōr pogłaskoł sie po dugij siwyj brodzie.

OBERSZTAJGER (*prawi dalij*):

Fritz w pogōni za szacym swojij baby, posadził jōm na piecu. Bo mu zawō-
dzała. Ino niy uwidziōł, co blacha bōła fest gorkō. Ana tygo niy strzymała.
Za trzi dni wyprawili jīj pogrzyb, a Fritza zawarli. We herescie, za kōżdym
razym kej kamraty go uwidzieli, wszystkie śpiywali ta śpiywka, aże borok
woloł ôstać pokutnikiym niź do śmiyrca robić za ipty.

DYRECHTŌR:

Niykere to majŏm fest pod gŏrka.

OBERSZTAJGER:

Nale kŏždy mŏ prawo ŏdkupić swoje winy. (*Ōtwierŏ aktŏwka i wyciŏngŏ papiory*) Tukej sŏm ekstra podziynkowania ŏd dyreктора gruby za wyretowanie naszych chopcŏw, a ŏd sŏndu decyzyjŏ ŏ darowaniu reszty ukŏraniŏ.

Dyrechtŏr ŏblykŏ bryle i czytŏ dokumynty, a ciepie przy tym fest powaŏne afy.

OBERSZTAJGER (*spozyrŏ na Dyrechtŏra*):

Kŏždy sie poniykedy myli, bodej dyrektor.

Krzysztof Kokot

OBSADA:

HAJNEL (HENRYK) – więzień po 50-ce
DOLEK (ADOLF) – więzień w średnim wieku
JORGUŚ (JERZY) – więzień w średnim wieku
JANEK – młody więzień
BLOKOWY – sierżant
NARRATOR

2 0 2 0

SCYNA 1

Śląsk, koniec lat 40-tych XX wieku, obóz pracy. Obozowy warsztat. Czarne szafki, imadło, kowadło i inne narzędzia. Ubrani w zniszczoną odzież trzech mężczyźni. HAJNEL coś dłubie siedząc na stołku, pozostali kują. Jeden trzyma obcęgi kawałek pręta, drugi bije młotem. Co chwilę przestają kuć, by porozmawiać.

DOLEK:

Bij mocnij tym motkym ô kowadło, żeby słyszeli, że coś robimy. Blokowy idzie ku nom!

HAJNEL:

Co tyn pieron tu szuko? Przeca doł nôm już wyćwika na apelu.

JORGUŚ:

Pewnie idzie za potrzebôm.

HAJNEL:

Za potrzebôm to sie idzie do haźła, a niy do werkszteli.

JORGUŚ:

Chciołech pedzieć, że pewnie coś potrzebuje, a choćby nos ino ôpierdolić.

DOLEK:

Ale mogło by go przesrać za to, co z nami wyprawio ta wanca.

HAJNEL:

Cicho już, wy pieronowe zdrajcy narodu polskiego. Kujcie fest, bo już jest blisko.

BLOKOWY ubrany w zniszczony mundur polowy z biało-czerwona opaską na ramieniu wchodzi do warsztatu. Więźniowie przerywają pracę i stają na baczność.

BLOKOWY:

I co tak stoicie? Porachowaliście, wiele tych hoków potrzeba?

HAJNEL:

Obywatelu sierżancie, meldują, że wszystko porachowane. Muszynie zrobić koło 60 sztuk. Reszta jest w dobrym stanie – niemiecko solidno robota, wytrzymały cōłko wojna.

BLOKOWY (do HAJNELA):

Opinio to sie wroź do rzici. Wielu zrobione?

DOLEK:

Cheba ze sztyrdziyści.

BLOKOWY:

Ciebie sie niy pytōm. Toż niy papelej, pierdoło. Zgłosisz sie do kopanio dołów po połedniu. Zrozumioeś, czy ci trza pedzieć po niemiecku?

DOLEK:

Tak jest.

BLOKOWY (lagodniej):

Suchejcie, pierońskie hanysy... Bez to, żeście zrobili fajno papiyrośnica dlo komyndanta, to i mie sztajgli na sierżanta. Jakby tak niy było, to bych wōm sproł te wasze germańskie kufy na kwaśne jabko, ale musza sie hamować, bo by mi serce pynkło. Ale teraz suchejcie, komyndant życzy sie jeszcze jedna tako papiyrośnica... abo, jak wy to godocie cigaretbiksa, ale mo być richtig piykno, bo przijyżdzo do nos na wizytacja szef Wydziału Obozōw i Wiynziyń w Ministerstwie Bezpieczyństwa Publicznego. No, aż z Warszawy... zapomniołech nazwiska. Musi to być na roz, dwa. Zrozumiano, klar? (*więźniowie potakują*)

To jest tajne, bez to zawrić mordy w tyj materyi, bo jak kery coś fulnie, to bydzie gōwna sprzōntoł w baraku z tyfusem! Toż biercie sie do roboty, łachudry... Moze i mie tako kedyś zrobicie?

HAJNEL:

Wiyecie... musimy mieć odpowiedni materiał... Z narzyndziami domy sie rada, ale jak zech pedzioł, nojważniejszy jest materiał. To niy może być byle co!

BLOKOWY:

Powiyom komyndantowi po apelu. Niy powinno być żodnego problemu... Tak myśla, przeca w depozytach jest pełno wszystkiego.

HAJNEL:

A ludzi coroz mniej!

BLOKOWY:

Niy godej tak, bo może być jeszcze mniej... I to akurat ô ciebie! Co potrzebujesz?

HAJNEL:

Przinojmnij sto gram srybła... To jest jakeś 15 pierścionkōw. Zymbōw mi niy przinoście... Jak chcecie, żeby dać jakiś drobny kamyk, to tyż go musicie przinijść. Może być trocha złota na ozdoba, ale jak niy bydzie to sie domy rada.

BLOKOWY:

Ida do komyndy, a wy ani mru, mru. Bo wiyecie, jo jest bardzo nerwowy z wojny.

HAJNEL:

Jeszcze musimy mieć te porcelanowe izolatory na te hoki. Przeca wysokiego napiyncio inaczej niy przipniecie.

BLOKOWY:

Dobra, spytōm. A wy do roboty, łajzy! Polska Ludowo czeko i potrzebuje!

HAJNEL:

Bych zapomnioł, jeszcze jedna ważno rzecz.

BLOKOWY:

Coż takigo?

HAJNEL:

Potrzebuja dobre bryle, bo ôstatnie żeście mi strzaskali na musztrze.

BLOKOWY:

Bryli mōmy całe skrzynki, coś sie tam wybieresz. Może nareszcie wszyscy ôbejrzycie fto tu rzōndzi.

Odchodzi. Więżniowie stają na baczność.

DOLEK:

Patrzecie no, patrzecie, jaki gisz łagodny. Nikomu niy doł po sznupie, nikogo niy kopnył? Coś takigo, jako kultura!

JORGUŚ:

Jak mie brali do lagru, to niy kapoł z nich miōd, oj niy. Pedzieli, że my sōm germańske bambry, a ziemia mo noleżeć i rodić dlo Polski. Na „gruzowisku” czekała już rodzina ze wschodu, ftoro wlaźła prosto w nasze życie. Powiydziecie, kaj ta sprawiedliwość, no kaj? My ino z matkōm byli na gospodarce. Dawali my jakoś rada, czasym somsiady pomogły. To już trzecie pokolenie miyszkało w domku na skraju lasu. Do wszyskiego my doszli ciynżkōm robotōm. Ôciec pod na Ostfroncie, a teroz my ôstali bez niczego.

DOLEK:

Ale żyjecie!

JORGUŚ:

Mosz recht. W Boguszycach kole nos Ruske zrobiły masakra. Pozabijali baby i dzieci... Myśla, że mama ftoroś z dziouchōw wziyna do siebie, ale pewności ni mōm. Niy dostołych żodnyj wiadomości ôd nij.

HAJNEL:

Do nos przisзли nad ranym, chopy wybiyrały sie do roboty, dzieci spały. Przijechali ciynżarōwkami, ôbkronżyli cōłko droga. Walyli po dźwiryzach i wrzeszczeli po rusku. Jak my już wszyscy wylyźli, dzieci rozbeczane i starziki w spodniokach, kozali nōm stanōńc w szeregu. Mieli my strach, że zacznōm strzylać, ale dziynki Bogu niy. Zjawił sie jakiś ruski oficer z polskimi pomogierami i czytali z kartki po nazwisku, konkretnych ludzi.

DOLEK:

Znaczy sie, wiedzieli po kogo jadōm.

HAJNEL (*patrząc w okno*):

Mogło i tak być... Chopy, bić w kowadło, bo tyn pieron juzaś ku nōm lezie!

JORGUŚ i DOLEK zaczynają kuć bez opamiętania. Po chwili wchodzi BLOKOWY.

BLOKOWY:

Bacność! (**do HAJNEL: -a**) Toż chcesz te bryle?

HAJNEL:

Ja, widziały by mi sie.

BLOKOWY (*skinął głową*):

Podź z mnōm, a wy do roboty, niy ōbijać sie bo wyśla na gruba!

*Wychodzą, JORGUŚ i DOLEK kują przez chwilę,
potem chyłkiem podchodzą do okna.*

DOLEK:

Chyba to niy była prowokacja?

JORGUŚ:

Jo już nic niy wiy! Jak mu wmōwiōm, że chcioł śrybło i złoto...

DOLEK:

Jeronie, ani mi niy godej.

JORGUŚ:

Za drobnijjsze rzeczy tu sie szło do Abrahama.

DOLEK:

Niy stosz... Može niy bydzie tak źle. Cały sie trzynsa.

JORGUŚ:

Toż dupnij pora razy fest w kowadło, može ci przyndzie. Jakbych był w doma, to bych chyba poszeł i wyciongnył zza szranku halbka i sie łyknōł.

DOLEK:

Mie już niy wiera trza, bych wykitowoł na hercklekatki.

JORGUŚ:

Chopie, ale to niy tak łatwo. Muszimy jeszcze pociyrpieć. Kaj tyn mōj gorczek z wodōm.

DOLEK:

Ciebie tyż zaschło w garle?

JORGUŚ:

Suchej, jakby my zrobili ta biksa na cygarety, to by my byli goście, co?

DOLEK:

Abo by nos pochwoyli, a w nocy sprzōntli, żeby niy było świadkōw.

JORGUŚ:

Juzaś tak niy godej... Niy bydzie tak źle. Ōni potrzebujōm ludzi do roboty.

DOLEK:

Do cinyżkij roboty, a niy zasranych jubilerōw. Podź tu ku ôknu, siednymy sie trocha i pofilujemy. Co sie bydymy wysilać, i tak nos wykończōm hadziaje.

JORGUŚ:

(po chwili) Wiysz, mie sie z nerwów nawet jeść niy chce.

DOLEK:

Nawet, jak by ci sie chciało, to byś i tak niy miał co.

Siedzą chwilę w spokoju ze spuszczoneymi głowami.

DOLEK:

Patrz, patrz idzie!

JORGUŚ:

Richtig, to Hajnel, ale jakiś taki inkszy...

DOLEK:

Bo w nowych brylach... Coż ôn tam smyczy?

Podchodzą do drzwi. Wchodzi HAJNEL.

HAJNEL:

No i jak wóm sie podobom?

DOLEK:

Po kym to mosz te bryle? Ja, piyknie wyglõndosz, choby Gryjta Garbo!

HAJNEL:

Niyboszczykowi już niy bydóm potrzebne. Ale, chopcy, tu jest nojważnijsze.

(rozpakowuje tobołek) Prosto z oficerskij kantyny. Chlyb i preswuszt. Zaroz sie pojmy.

JORGUŚ:

(wacha pakunek) Prawdziwy preswuszt? Może niy taki, jak masorz robiył u nos na świniobiciu, ale dziś niy byda wybrzidoł.

Rzucają się łapczywie na jedzenie.

HAJNEL:

Jydzcie pomału, bo żołodki poskurczane. Jeszcze sie rozchorujecie. *(Jedzą w milczeniu i w dobrych nastrojach.)* A teraz patrzcie.

Wyciąga zza pazuchy drewniane pudełeczko otwiera i wysypuje zawartość na stół.

JORGUŚ:

Jeronie! Pościōngali psiokrwie wiyńźniōm. Pokradli. Do czegoż to dochodzi na tym świecie?

HAJNEL:

A my z tego mamy zrobić gyszynki dlo bohaterōw!

DOLEK:

Ni mozesz przeca ôdmōwić. Bez to mamy jakoś nadzieja wylyźć z tego lagru.

JORGUŚ:

U Niymcōw byś wyloz... ale bez kumin.

HAJNEL:

Tu tyż niywiela lepij, ale musimy żyć. Tych pierścionkōw styknie, ôni tam majōm tego na kila. Jo ino stoł na progu, a widziołech fachy wypchane kufami, a co tam w nich jest?

DOLEK:

Krzywda, ludzko krzywda.

SCYNA 2

To samo miejsce, co w scenie 1.

W centrum warsztatu przygotowane haki z izolatorami,

HAJNEL w okularach coś dłubie przy oknie.

JORGUŚ i DOLEK kończą liczenie haków.

DOLEK:

Mogliby już przyjść po te hoki. Nigdy bych nawet niy przypuszczoł, że byda robił take rzeczy. Żeby ludzi ôdgradzać ôd świata drōtym i sztromym! Fto by to pomyśloł, fto?

HAJNEL:

Niy marudź chopie, bo już jakiś idzie, a może lepij pedzieć jedzie jedyn z karōm. Ledwo jōm pcho chuderlok, a co dopiero, jak mu nafolujemy?

Na scenę wjeżdża z taczka młody, wychudzony więzień.

JANEK:

Mōm stōnd ōdebrać hoki.

HAJNEL:

Co godosz?

JANEK:

(głośniej) Kozali mi stōnd wziōnc hoki.

HAJNEL:

(spokojnym głosem) A niy kozali ci pedzieć „dziyń dobry”?

JANEK:

Dziyń dobry... siedza tu juź pora miesiyncy i zech sie odzwycził.

HAJNEL:

(podchodzi do Janka) Jak sie nawzajym niy bydymy szanować... Dziyń do-
bry!

DOLEK I JORGUŚ *(podają mu rękę)*:

Cześć, cześć!

DOLEK:

Jak cie tu zaprosyli?

JANEK:

Co godosz? Aaa... Wpadli do sztrasenbany, jak zech jechoł z roboty. Na przy-
stanku jakoś starszo baba spytała mie po nimiecku, czy dojedzie do Bytomia.
Odpedziołech: Ja, diese Straßenbahn fährt nach Beuthen. Jak spod ziyimi
znodło sie trzech. Nic sie niy pytali ino mie wyciepli i wziyni na komynda.

JORGUŚ:

Ftoroś miōł volkslista?

JANEK:

No, trójka, tak jak wszyscy...

JORGUŚ:

Ładuj te szpeje, bo ci jeszcze jakoś sztrafa wlepiōm.

JANEK:

(ładując haki) Mie juź tam wszystko jedno, słabych, dusi mie jak psa... Niy
chce mi sie żyć.

DOLEK:

Ciesz sie, że ni mosz durchwalu, bo byś juź siedzioł w bronotnym baraku.

HAJNEL:

Pōdź no tu ku mie! **(JANEK podchodzi)** Suchej mie starszego. Niy godej, że
ci sie niy chce żyć, bo bluźnisz. Mosz ōjców?

JANEK:

Mõm.

HAJNEL:

I co, õni tam czekajõm, a ty tukej fandzolisz, że ci sie żyć niy chce? Mosz ty serce?

JANEK:

Jo jest za słaby, cinyngym chory i głodny. Wiycie, że tu trza cinyżko robić, a jo sie uczył grać na klawiyrze i byłech urzyndnikym w ubezpieczalni.

DOLEK:

Tu chyba niy pogrosz...

HAJNEL:

Jorguś, õstało tam co jeszcze?

JORGUŚ:

Ino piyntka, ale preswusztu już ni ma.

HAJNEL:

Dej mu.... Jydz! Wiyncyj ni mamy.

JANEK:

(je łapczywie) Mogą õ coś wos spytać? **(do Hajnela)**

HAJNEL:

No a co?

JANEK:

Wyście niy miyszkali na Zowodziu?

HAJNEL:

Ja.

JANEK:

Wyduje mi sie, że zech już kaś wos widzioł?

DOLEK:

Czasym sie tak zdaje.

JANEK:

(odjeżdża naładowaną taczką) Do widzynia! Dziynki! Może mi sie spomni, skõnd wos znom...

*Scenografia identyczna, co w poprzedniej scenie.
W warsztacie HAJNEL, JORGUŚ i DOLEK.*

HAJNEL:

(przecierając pudełko szmatką) I jak wõm sie to widzi, juź po wygłancowaniu?

DOLEK:

Chopie, to jest arcydzieło! Cudo, Stalin ni mo piykniejszyj! Ciekawe ftory to komunistyczny ciul dostanie?

JORGUŚ:

Jo sie ino dziwuja, po co im taki macher, jak ty, w lagrze?

DOLEK:

Toź teroz juź wiysz.

HAJNEL:

(do Dolka) Pieprzy wõm sie, chyba z głõdu. Przeca wy tyź żeście sõm fachmany. A ty, Dolek, chyba żeś arbajtlos niy był? Widza, że mosz grafka do wszelkij roboty.

DOLEK:

Na gruba poszełech po szkole, nojpiyrw jako pomocnik takigo fachowca sprzed piyrszej wojny. Był fest ruby z wonsami i wszycy go wołali Bismarck. Musioł mieć kogoś do pomocy, bo ni mog wlyźć na drabina, ani wcisnõnć sie tam, kaj wonsko. Godoł po nimiecku, ale jak sie wkurzył to jechoł rõwno po ślõnsku. Dużo zech sie õd niego nauczył, ale jak umarło mu sie na serce, to zech poszed na maszynioka do szybu.

JORGUŚ:

Dobro posada, ale pieronym trza uważać, bo łatwo õ niyszczynście.

DOLEK:

No i prziszło niyszczynście, ale z inkszyj strony. Na grubie byli radzieccy specjaliści i jednemu z nich niy spodobalo sie moje miano. Stwierdził, że tak jak fjyrer moze sie nazywać ino nimiecki kolaborant, ftory ni moze być na tak odpowiedzialnym stanowisku.

Õdpysknył zech mu i za dwa dni byłech w lagrze

HAJNEL:

Niy widza żodnyj logiki!

DOLEK:

A myślisz, że musi być? Nojważnijsze, by iść zgodnie z liniom partii, ôd dołu, aż po sôm wyrch. Ci z Warszawy wpatrzyni sôm w rusko czerwono gwiozda w Moskwie.

Do warsztatu wpada BLOKOWY.

BLOKOWY:

Wszycy zbiórka na placu apelowym. Wyłazić gibko, ruszać sie! Komyndant niy bydzie czeko!

Zniecierpliwiony BLOKOWY podnosi rękę z kijem by razami pognać ich do szybszego wyjścia. Wtedy HAJNEL łapie go za przegub.

HAJNEL:

Ino sprôbuj, giździe, to jo cie osobiście załatwia. Niy ciepia słów na wiater, niy! Jo tyż jest nerwowy z wojny!

Wszycy opuszczają scenę. Po dłuższej chwili wracają zmartwieni JORGUŚ i DOLEK.

DOLEK:

(ciężko siada przy oknie) No i co? Synka skopali sukinsyny!

JORGUŚ:

I tak miôł glik!

DOLEK:

Jak to godali... Powkryncali te hoki, naszpanowali drôty, zaświycili na prôba lampy...

JORGUŚ:

No i ôn myśłoł, że juź w drôtach jest szpanông i sie ciepnył. A ône jeszcze niy były fertig i to go uratowało.

DOLEK:

Ale tak go sprali, że juź chyba do klawiyru niy siednie. Dej pokôj, to bestyje. Skônd sie take parszywce bierôm, powiydz skônd? Hajnel tyż kaś dugo siedzi. Robia sie coraz bardzij nerwowy.

JORGUŚ:

Ta papiyrośnica schował do kapsy. Pewnie jest na audyjnji u komyndanta.

Po chwili wchodzi HAJNEL z bańką w ręce i chlebem w szmacie pod pachą.

HAJNEL:

Co tak siedzicie, jak beboki? Same dobre wiadomości wōm przynosza! Cyga-retbiksa sie podobała. Majōm tam – na bloku zdrajcōw narodu –jakigoś polsterera aus Breslau. Dorobi jakiś jedwobny zogōweczek i skrzinka. I majōm gyszynk. A my mōmy to!

JORGUŚ:

Jedzynie?

HAJNEL:

I to wiewa! Koždy dziyń dodatkowo bydymy dostować jedyn chlyb i ta bańka pełno zupy. Taki jest rozkaz „pana komyndanta”, coś jakby mu ruła zmiynkła. Jutro majōm kontrola, czy jak to godajōm „wizytacja”. Trzynsōm portkami, bo dużo ludzi im ubyło, a na to naczałstwo w Warszawie niy patrzy dobrze.

DOLEK:

No, a tyn nasz Janek? Co z niym?

HAJNEL:

Ôstawiymy mu trocha zupy i chlyba. Jak zońdymy na wieczōr do baraku, to jo mu zaniesa. Mie tam Blokowy wpuści. Widzioł, jak mie komyndant poklepoł po plecach.

JORGUŚ:

Toś ty teraz ważno osobistość w lagrze. Trzi litry flapsu i cały chlyb, niyftorzi tela dostajōm na tydziyń i muszōm harować, jak osły na dole.

HAJNEL:

Pōda po cimoku do tego synka, a teraz jydzcie.

DOLEK:

Ftoś, fto sie ciepie na drōty, jak tyn karlus, musi mieć fest dość.

HAJNEL:

Delikatny synek... Jak sie do, to trza mu pomoc.

DOLEK:

Mosz recht, „panie wiyńźniu”.

HAJNEL:

Goście światło. Zawrijcie werksztela. Idymy.

Zabierają bańkę z zupą i chleb. Ostatni gasi światło. Schodzą ze sceny.

SCYNA 4

*Warsztat, scenografia bez zmian. Na scenę wchodzi uradowani HAJNEL,
JORGUŚ i DOLEK.*

JORGUŚ:

Niych mie ftory piźnie w glaca, bo cołkym ôgupna! (*klęka*) Boże, dziynki ci za ôpieka i pamiynć. My take boroki, a ty nos tam widzisz na wyrchu.

DOLEK:

Tyś jest cheba wanielik, a Bōg lutrōw niy sucho.

HAJNEL:

Niy fandzolicie, bo wōm do szmot richtig nakopia. Cieszcie sie! Co bydzie dalij ôboczymy.

DOLEK:

Jutro Czerwony Krziż mo przijechać i wziōnć do prawdziwego lazarytu chorych.

JORGUŚ:

Widzieliście, jak sie wszyscy ciśli, żeby rozładowywać pakety od ciotki UN-RR-y?

Te szekulady, biksy z suchym mlykym, ovomaltina i prawdziwe apluzyny. To nōm sie nawet niy śniło.

JORGUŚ:

Jo twierdza, że to wszystko Hajnel załatwił. (*śmiech*)

HAJNEL:

Dugo żeś musioł nad tym myśleć?

JORGUŚ:

Zaroz ci to wyklaruja, obywatelu Henryku. Komyndant musioł dobrze wiedzieć, że dni jego i cōłkego obozu sōm porachowane. Czekoł na ludzi z ministerstwa, ftorzi przijechali z rozkazym zawarcio tego lagru. Niy był pewny, czy ci, co mu kedyś dali te stanowisko, teroz z hukym go niy wyciepnōm,

a może zakujōm i kaś wywiezōm. Rychtowoł sie do ich przijazdu. Biksa na cygarety, pewnie jeszcze pora lepszych sygnetōw z magazynu...

DOLEK:

I rzic uratowoł. Słyszeliście, jak tyn z ministerstwa godoł? Dostanie – jako zasłużony – ciepło posadka.

HAJNEL:

Ale to niy nasza sprawa. Jo sie ciesza, że byda mog stōnd wyłyż. Byda pitoł ino sie bydzie kurzyć!

JORGUŚ:

A jo sie biera zaroz ku moji Gōrze św. Anny. Choć niy wiym, jak byda mog patrzeć, jak ftoś inkszy siedzi na naszym.

DOLEK:

Zaroz ida do Piekor, bo to istny cud. Już żech niy rachowoł, że kedyś bydzie tymu fertig.

HAJNEL:

(patrzac w okno) A což to za Rotholc* z podbitym ślypiym idzie ku nom? Janek?

Wchodzi JANEK z zabandażowana ręką i podbitym okiem.

DOLEK:

Patrzcie, jaki wypasiony po tyj naszymi zupie! Papla mo tako rubo, abo ôbito? Co żeś taki markotny? Niy cieszysz sie? Juzaś bydziesz mog pinkać na klawirze.

JANEK:

(po namyśle) Musza coś ważnego pedzieć panu Henrykowi. *(JORGUŚ i DOLEK zbierają się, aby wyjść)* Niy, nikaj niy wychodźcie... Musza to wyciepniōnc i to przy świadkach.

HAJNEL:

Coś ty, synek, taki oficjalny?

JANEK:

To bardzo ważne. *(dłuższa cisza)* Jo wos podoł na UB... Jak żech już wōm godoł, wziyni mie ze sztrasenbany, zaprowadzili na komynda. Tam taki po cywilnemu obejrzoł moje papiōry i pedzioł mi prosto w ôczy: abo jo pōda do lagru i ôn wontpi, czy jeszcze matka i ôjca ôbejrza, abo mo do mie propozycja... Ciepnył mi kartka i blaj, kozoł wypisać wszystkich Ślōnzokōw,

ftorzi miyszakajōm w mojjj okolicy, robiōm na grubie, abo w hucie i wiym, że umiōm po niemiecku... Ino tyła. Poszło mi to roz dwa.

HAJNEL:

I co dalij?

JANEK:

Potym zaroz mie wypuścili.

HAJNEL:

Podpisołeś ta kartka?

JANEK:

Ja, kozali kopiowym blajstiftym przez blaupapior.

HAJNEL:

Dalij już niy musisz nic godać...

JANEK:

Niy minyło wiewa, jak dwōch tajniakōw zaklupało do nos. Kozali mi sie zbiyrac, niby że majōm wazno sprawa do mie. Nic niy godali, jo myśłoł, że jady-my na komynnda... A ôni mie ôdstawiyli tu pod brama i koždy z nich doł mi w pysk.

JORGUŚ:

I dobrze ci zrobyli.

JANEK:

Powiyw wōm, że jo w duchu był dumny, że przyczynił zech sie władzy ludowyj. Jeszcze jedyn milicjant pedzioł, że tych ludzi uratowolech przed wywizieniem na Sybir, bo ôni – ci nojlepsi – potrzebni sōm tukej na Ślonsku.

DOLEK:

Niy fandzol, bo jakbyś niy był taki mody i gupi, to bych ci sōm do rzici nako-poł, szpiclu pieroński. Na porzōndnych swoich somsiadōw donosić... Fto to widzioł, ludzie, to sie w łebie niy mieści!

HAJNEL:

Pomału, chopcy, pomału. Co sie stało, to sie już niy ôdstanie. Jak takymi metodami bydymy budować nasza biydno ojczyzna, to do czego dońdymy? Dopiyro co my sie pozbyli Niymcōw, to teraz przidzie czas, że bydymy łązić na halsbandzie Moskwy.

JANEK:

Panie Henryku, wyście byli tacy dobrzi dlo mie, a jo taki gizzd. Musiolech tu przijść.

Wyboczcicie, bardzo wos prosza. Wyboczcicie, bo niy umia z tym żyć...

HAJNEL:

Dobrze, że ci sir spomniało, skōnd mie znosz. Cōż... robimy rubo kryska i zaczynōmy nowe życie. Sami prziznocie, że mogło być dużo gorzjij. Muszimy mieć nadzieja, że nojgorsze już za nami. Niych przinojmnij my rozstany-my sie w zgodzie.

Podchodzą każdy do każdego, ściskają sobie dłonie i obejmują się. Nagle poruszenie, bo w ich stronę idzie BLOKOWY. Prężą się na baczność.

BLOKOWY:

Dejcie pokōj, dejcie sie pokōj. Przymusowy Obōz Pracy rozwiōnzany. Musza wōm jednak przypomnieć, że jak już bydziecie w doma, to waszym obo-wiōnzkiym jest iść do starostwa, czyli do jednostki Władzy Administracji Ogólnej I Instancji i złożyć Deklaracja wierności Narodowi Polskiemu i de-mokratycznemu Państwu Polskiemu. Dopiyro potym możecie sie starać ô robota.

HAJNEL:

Dziynki wōm za przypomniynie, znaczy sie, że Ślōnzoki to dalij tako niypew-no, gorszo kategoria ludzi. Niy wiym, czy nōm ino niy dowierzocie, czy sie tyż trocha nos boicie.

Tukej – tak, jak żeście kedyś chcieli – mocie ôd nos papiyrośnica... Na pa-miōntka.

Zrobiono niy z ukradzionych pierścionkōw ino z biksy po unrowskim olyju. Byście wiedzieli, że niy życzymy wōm źle.

BLOKOWY:

Wy, Ślōnzoki, umicie zaskoczyć i ciynżko wos do końca rozgryźć. Dziynkuja, to ino moga teraz pedzieć. Jo ino wykonywoł rozkazy. *(czyta)* „Zgoda budu-je, niezgoda ruinuje”. To już kedyś pokozoł mōj krajan Aleksander Fredro w „Zymście”.

Salutuje i oddala się.

HAJNEL:

Nic tu już po nos, chopy. Wskakujymy nazod, koždy do swojij życiowyj szu-flodki. Przeca i tak ni mamy wyboru.

Zabierają swoje tobołki i powoli opuszczają scenę.

** Szapsel Rotholc – mistrz boksu, urodzony w Warszawie. Jesienią 1939 został zatrzymany na polecenie Josefa Meisingera, Komendanta SD i Policji Bezpieczeństwa Dystryktu Warszawskiego i brutalnie pobity. Miał to być odwet za zwycięstwo Rotholca w walce z jednym z niemieckich bokserów.*

SCENA 5 – zakończenie

Na scenę wchodzi Narrator. Potem kolejno pojawiają się odczytywane osoby.

NARRATOR:

Henryk – pracował jako mechanik w Stacji Ratownictwa Górniczego, aż do emerytury

Jerzy – kilka lat później w sanatorium poznał swą przyszłą żonę z Czeladzi i tam mieszka

Adolf – zmienił imię na Antoni, skończył wieczorowe technikum i studia na AGH

Janek – grał w zespole po weselach, ożenił się dziewczyną spod Opola i wyjechał do Niemiec

Blokowy – wyjechał na „ziemie odzyskane”, gdzie został sołtysem

SKYPE ABO GODKA ÔN-LINE

Michał Musioł

(w jednyj scynie)

ÔSOBY:

PYJTER *(kole sześćdziesiōnt lōt)*

HERBERT *(kole sześćdziesiōnt lōt)*

DORKA *(kole piyńdziesiōnt piyńc lōt, siostra ôd Pyjtra, za głos we mobilnioku)*

Na binie stojōm dwa idyntyczne, nowe biōrka (mogōm być ôddzielōne ôbustronnym zdradłym), na ôbu taki sōm, z tyj samyj fyrmy, ôdewrżōny laptop. Jedne biōrko przinoleży do Pyjtra, druge do Herberta. Na biōrku Pyjtra stoi proporczyk Górnika Zabrze, na biōrku Herberta proporczyk Borussia Dortmund.

Włazi Herbert z mobilniokym, kładzie go na biōrku, siado na zeslu z kōłkami, włōnczo laptop. Słychać klang łōnczynio sie ze Skypy'm. Na bina przilatuje Pyjter, siado za biōrkym na idyntycznym, jak u Herberta zeslu, klicko myszōm, gymba mu sie ôżywio.

PYJTER:

No witōm Cie, chopie! Downo my sie niy widzieli! Co tam u Vos?

HERBERT:

A wiysz, staro biyda, ino tyn ujek ôd sōmsiadōw, co ci kejs ôsprowiołech, iże już taki niymocny bōł, umrzył. Śmierć miōł nawet leko. Rano się przecuciōł, prawie była przu nim cera i dwōch synkōw, a ôn siod na rancie ôd lyża, na kōniec ino ta gōwka tak zwiesiōł i już go niy było.

PYJTER:

Doczkej, ino wycisza mobilniok, coby nōs żōdyn niy szterowoł. No, ôbocz, co sie to robi. A wiela miōł lōt?

HERBERT:

Dwōch tydni mu brakło do dziewińcdziesiōnt trzi.

PYJTER:

No to, co by niy pedzieć, to sie chop pożył.

HERBERT:

Mosz recht, ino ôn zaparty barzo bôł. Bolało go, ale nic niy pedzioł, a potym było już za niyskoro!

PYJTER:

No ja, to szkoda, przeca niy ma dobrego czasu na umrzynie, przede wszystkim, jak żeś je w miara zdrowy. I jeszcze idzie sie ynklami nacieszyć. Wieli ôn jejich miol?

HERBERT:

Ôd cery dwóch i ôd dwóch synów po jednym. Razym sztyrech. Same synki! Jak czasym sie trefiyło, że wszyscy naroz wlecieli do kuchni u starzików, to starka przy warzyniu ôbiadu śmiała sie i godała: „Wyście sôm moje sztyry maszketery!” (Śmiych.)

PYJTER:

To piyknie!

HERBERT:

No, ale dziouszki tyż sôm przidatne. Jo przeca môm dwie gryfne frele. Fto tych karlusów mo potym rodić? (Śmiych.)

PYJTER:

Co racyjo, to racyjo! (Śmiych.)

HERBERT:

A jak tam Twój foter? Ôn tyż je wiekowy, prawda?

PYJTER:

Ja, dziewiyńcdziesiōnt sztyry fajrowali my trzi miesiōnce tymu, elegancko. Ale już niyherski bôł. Niy za barzo wiedziol, fto je fto. Ale jeszcze dobrze zjod i nawet sie trocha napiol. Dobrze, że my zrobili mu tyn fest, bo za trzi tydnie już sie stol taki, że my go ze siostrōm musieli do heimu ôddać. Teroz na zmiana go nawiydzōmy, ale już nos niy poznowo.

HERBERT:

Ô kurza, nic niy wiedziolach!

PYJTER:

No ja, no. Tak to mosz. (Wzdycho.)

HERBERT:

A jo slyszolach, że w Katowicach rok tymu wielgo defilada wojskowo była, to ône już sôm srogim miastym!

PYJTER:

Ja, ja, barzo duzo ludzi prziszlo ôglōndać. I wojocy maszyrowali, i auta jechały, i czołgi leopardy.

HERBERT:

Niy godej! Te coście ôd nos kupiyli? Patrz, co to sie robi na tym świecie. Kejs na Polsko napadły niemiecke pancry, na „Ujek” szły ruskie tanki z polskimi załogami, a teraz polske wojsko w leopardach defiluje.

PYJTER:

No ja, my teraz sôm z Niymcami dobrymi sômsiadami. I tak mo być! Trza yntlich kole siebie normalnie żyć.

HERBERT:

Sôm durch take, kerym to niy sztimuje. Jo kejs, jak bôlech jeszcze w Polsce, robiôlech z takim jednym na grubie. Niy wiym, kaj ôn to wyczytał, ale godoł, że Germanie zômki do dźwyrzy wymyśleli, a Słowianie niy potrzebowali zômków, bo u nich złodziejstwa niy boło. Niy szło z nim normalnie poôsprawiać, bo zaroz nim zaczynało ciepąć i robiôł sie czyrwōny na gymbie. A potym, jeszcze przedy mnôm, do Niymiec wyjechał, bo jego kobiyta miała papiōry. Niy bôł zły synek, ale ô tym niy szło z nim pogodać i szlus. Naprowda niy szło. A zły niy bôł. Jego ślubno robiyla w aptyce i pamiyntôm, jak bez niôm sprawiôł mi kejs dlo mojj dwadziścia paketów waty. Ty wiysz, jake my mieli świynto dōma? (Śmiych.)

PYJTER:

(Śmiych.) Chopie, takich mosz i tukej, i tam! To je ôkropne i nic na to niy poradzisz. Ôni sie tym futrują, a jak im to sprōbujesz weznōńć, to choćbyś im ôdetnōł luft. Zaroz mylôm na dychaniu. Jo bôlech pora lot tymu w Niymcach na byzuchu u bratańca. Zrobiyli my fajny grill i prziszôł taki jedyn. Dali my sie do godki i slazło na historyjo. Naroz, no tak, troszka my wypyli, zaczōn sie ciepąć i ryczeć, że Ślōnsk dycki bôł ino niemiecki. Mie halt piznył i godôm mu, że tam żyło zgodliwie ze sobôm wyncyj narodów. Tak chobych godoł do ściany! To sie spômniôlech, że niydowno wysznupołech w Internecie stare brifkarty ze Ślōnska. I myśla sie: „Sam cie môm, chopie!” Pytôm sie go: „Jak sie nazywoł Hindenburg, nim go przemianowali na Zobrze?” A ôn godo: „Immer Hindenburg” – „Zowdy Hindenburg”. No to wziōn zech mobilniok i pokozołech mu staro brifkarta „Gruss aus Zabrze” – „Pozdrowiwnio z Zobrze” – z tysiōnc dziewiyńcset sztwortego roku. Umiysz sie to wyforsztelować?

HERBERT:

Ja! Ale żeś go sprawiôł! I co ôn na to?

PYJTER:

Żyły mu wyszły na hyrtoniu, wstoł i poszoł do dōm! Tela z tego było. Ino ôstuda, godōm Ci!

HERBERT:

Tak to mosz, z takimi ôsprowka niy mo synsu. Jo tyż poznołech kejs takigo ze starych landów, jeszcze zatym niż mur ôbalyli. Jak zaczōn zech ôsprawiać ô Łużycach i dwojistych mianach miast, to tyż mu niy sztimowało. Barzo niychyntnie to przijmowoł do wiadōmości. Wyglōndało na to, że niy chcioł ô tym wiedzieć.

PYJTER:

No suchej, a my?! Co ô nos kaj indzij wiedzōm? Bōłech roz na weselu ôd jednyj kamratki, co wyszła za synka, niy powiyłm z jakigo miasta. Ale doś daleko ôd nos. Siedzimy sie fajnie, wszyjscy sie bawiōm i ôn naroz do mie: „Wy tam na Śląsku wszyscy jesteście jak krety, pod ziemią ryjecie!!!” Może chcioł zawicować, ale mie sie zdowo, że ôn nikej u nos niy bōł, a dzisiej styknie w Wikipedji trocha posznupać. Jo zech to do świyntego spokoju zmilczoł i potym jeszcze trocha my godali. Bo przeca fajny czowiek z niego bōł. Robotny, szporobliwy i do pōmocy chyntny. Ale moga sie wetnōć, że ô Korfantym tyż nic niy wiedzioł. Wszystko złe bierze sie z niywiedzy. A jeszcze sōm sie chwolōł, że ôgrzywo dōm nowoczesnym, sterowanym elektrōnicznie piecym na wōngel z podajnikym. Ciekawe, co by wciepnōł do tego pieca, jakby niy te „krety”?

HERBERT:

Niy godej! Niy może być, przeca Korfanty musioł by mieć dynkmal u Vos w kożdym wojywōdztwie. I winno na nim stoć: „Przyczynioł się do połōnczynio czynści Gōrnego Ślōnska z Polskom.” Abo coś podobnego. Coby kożdy przistanōł, popatrzył i sie dowiedzioł.

PYJTER:

Przeca Gōrny Ślōnsk fest pōmōg Polsce stanōńc na nogi. Rok tymu we Warszawie ôdsłōniyli dynkmal Korfantego. Jo sie bardzo ciesza!

HERBERT:

Ô! niy wiedziołch! Byda musioł czyńścij polsko telewizyjo ôglōndać!

PYJTER:

A niy ino ta Bundesliga! (Śmiych.)

HERBERT:

Mosz recht! (Śmiych.) A co jeszcze u Vos? Chowiecie sie?

PYJTER:

Tak jakoś idzie, ale ôstatnio żech sie musioł wnerwić!

HERBERT:

A to po jakimu?

PYJTER:

Wiysz, że jo mam ślubno niy ze Ślōnska!

HERBERT:

No ja, bardzo fajno kobiyta!

PYJTER:

Robiyli my fajera doma i prziszli moji dwa bracio z ślubnymi. Tela razy jejich prosiōłch, coby już skōńczyli z tymi gupimi wicami ô gorolach, bo, co za duzo, to niyzdrowo. Ale to choćbyś z gupielokami godoł. A przeca ôni sōm dobre synki. Ino, że jak im sie humorek ukozoł, to ino jedno i to samo zacзли fulać. No i zamiast szpaśnyj fajery sie haja zrobiyla i żech ich musioł wyciepać z chałpy.

HERBERT:

Mosz recht, co za duzo, to niyzdrowo! Czemu to sie niy idzie jakoś dogodać?! Chocioz wszyndy sōm niyfajne i fajne ludzie! Mie sie teraz spomniało take coś. Pamiyntōm, kedy bōłch przy wojsku za starego piyrwyj (Śmiych.) bardzo daleko ôd dōmu.

PYJTER:

Tyż pamiyntōm, jak sie niy miało znajomości, to sie dostowało bilet na drugi kōniec Polski. (Śmiych.)

HERBERT:

No i w jedyn dziyń, w lato (goronc był, jak diosi) wypuściyli nos na przepustka. Cōż to była za uciecha! Pora godzin smykali my sie po mieście! (Śmiych.) Zachciało mi sie pić i poszołech do spożywczoka kupić flaszka Polo Cockty. Ekstra chciołech godać „czysto po polsku”. (Śmiych.) Kedych kupowoł tyn „boski napój”, mało dziouszka, stojōnco z mamōm w raji, zawołała na cołki sklep: „Mamusi, jak ten pan fajnie mówi! Całkiem jak Gustlik z telewizora!” (Śmiejęm sie ôba.) Ja, Polo Cockta, to wtedy było coś!

PYJTER:

Genau! No, komuna już nazod niy przidzie, ale Ci powiyam – jedno bōło wtynczos einfach.

HERBERT:

No powiydz, co żeś ô tyj komunie wysztudirowoł?

PYJTER:

Tedy wiedziołch, kaj sôm my, a kaj je ZOMO!

HERBERT:

No ja, no! (Wzdych.) Dzisiej mosz jedyn wielgi miszung.

PYJTER:

U nos sôm teroz dwie telewizyje. Kôzdo pokazuje ôbroz, kerego niy ma. A jo żyja w trzecim świecie.

HERBERT:

No to może rychtyk lepij na fusbal filować? (Śmich.)

PYJTER:

Mosz racjo (Wzdych.) Czymu to sie niy idzie dogodać? Wiela to sił sie na taki bōj marni. Wiela wyncyj by szło dobrego zrobić, zamiast skokania sie do hyrtōni. Co by sie musiało stać, jako plaga, jako zaraza by musiała przyjść, coby ludzie to zrozumieli?

Dzisiej żodyn niy sucho, co drugi do niego godo. Sie ino wymiyniajōm na monologi. Jedne słowa kole drugich przelatujom. Abo stanie taki jedyn, nawciepuje, nawciepuje i idzie. Nawet niy poradzi posuchać, co fto inkszy chce mu na to pedzić. Dobrze, jak sie niy pierōm! No a w Internecie ôd tego hejtowanie niekerzi ô rozum, a nawet ô życie prziszli. Mie to nowe słowo spōmino „heklowanie”. Ino z heklowania bōł na przykład fajny serwet, a hejtowanie to wbijanie jegieł w ludzi, jak w jakeś manekiny. (Wzdych.)

HERBERT:

A moje dwie cery w Anglji siedzōm, bo tam dobro robota sie znodły. Chopie, co tam sie robi! Ludzie sie tak samo tajlujōm, jak u Vos. Niy ma to ała?

PYJTER:

No niby ja, ale może je jakoś przyczyna, jakoś racjo, że ône chcōm z tyj Unije raus?

HERBERT:

Jako racjo, ta Unijo niy ma tako zło! A może Wy tyż chcecie raus, Tyn Wasz rzōnd?

PYJTER:

Ale tyś je gupi! Po co by ôni chcieli raus?

HERBERT:

U nos w telewizji tak godajōm!

PYJTER:

Gupoty fandzolom! U nos tak niy godajōm!

HERBERT:

A przeca godoleś, że u Was cołko telewizyjo to darymny futer!

PYJTER:

Co, jo? Fandzolisz! Co ty wiysz ô nos, tela lot tymu żeś wyjecho! To trza sam być, coby wiedzieć!

HERBERT:

Ty za to niy bydź taki pyskaty!

PYJTER:

A tak po prowdzie, to uważõm, że jak sie u nos niy miyszko, to niy powinno sie mieć u nos prawa do welowania!

HERBERT:

Na szczyńście mōndrzyjsi ôd ciebie ô tym decydujõm!

PYJTER:

Wiysz co, kōńczmy ta godka, bo cheba hned jakiś szpil sie u wos zaczyno!

HERBERT:

Ja! Mosz recht, wola sie szpil ôbejzdrzeć anizeli sie z tobõm dalij wadzić! „Miłego wieczoru!” (Ôstatnie słowa ekstra godane „słodko”.)

PYJTER:

Ja, ja, ôbejzdrzisz sie. I tak pōłowã fuzbalokõw mocie ôd nos! (Nogle przerywo połõnczynie, słyhać ôdpedni klang z laptopa. Biere do rynki mobilniok i tyko wyświelacz, coby ôdszperować.)

HERBERT:

(Zawiyrõ nogle laptop, ôdsuwo stołek i złazi z biny.)

PYJTER:

(Siedzi przy biõrku snerwowany. Zawiyrõ laptop. Zwõni mobilniok. Pyjter ôdbiyro. Zwõni jego siostra. Pyjter patrzy na ekran mobilnioka.)
Halo! Dorka?

DORKA:

Czymu niy ôdbiyrosz?!?!

PYJTER:

Miołech wyładowano baterjo.

DORKA:

Zaś nudle wiyszosz? Skõńcz chopie, bo juź mie to mo!!! Jezech we heimie. Foter umrzili!!! Jak zech prziszła, to drzymoł, potym chcioł wstać z lyża, ale ino poradziõł na nim siednõć. Popatrzoł na mie i nawet mie poznoł. Spytoł ô Ciebie, a potym pedzioł: „Dorka, mi sie śniło, że jo umrział.” Dycki bõł

szpasownik. A za chwila chyciōł mie za rynka: „Dorka zaroz bydzie po mie!”
Na kōniec ino ta gōwka tak zwiesiōł... i juź go niy było.
(Pyjter kładzie mobilniok na biōrko, zwieszo gowa. Őpuszczo bina przy go-
daniu: „Wytwōr miyniōny je dziełym fikcyjnym i stanowi produkt fantazyje
autora. Jakiekolwiek podobiyństwo do istnych ludzi i zdarzyń je przypadko-
we”. Światła gasnōm.)

KŌNIEC

Piotr F. Piekutowski

WYSTYMPUJŌM:

FRANCIK – *Mody synek, dopiyro co zaczōn robić na grubie*

JORG – *Öberhajer, we przyszłym tygodniu idzie na pynzyjō*

HANEK – *Grubiörz, zastympuje kamrata na szychcie*

MINISTER – *Stary chop we ancugu*

SEKRYTÖRKA – *Szykowno baba*

SCYNA PIYRSZŌ

*Poleku óšwiecō sie lampa. Rajn na binie sōm Minister i Sekrytörka z aktyntaszōm,
miyndzy niymi stoi stary telewizör. Minister budzi sie w zeslu.*

SEKRYTÖRKA:

Dziyń dobry, Ministrze.

MINISTER:

Dobry! Ale mje spanie wziōnło. (*ziewō*) Ō pysk sie dre. Coście puścili?

SEKRYTÖRKA (*ōtwierō rubō aktyntaszā, dugo sznupie, wyciōngō papiōry, czytō*):

Nojprzōd dokument ō tym jak Ślōnzoki mieszkajōm, drek ze skansenu w Chorzowie, dalij reklamy z kampanije Tyskie z Polski, spōnsör, potym barbörka z prezydentym...

MINISTER:

Fandzolisz, barbörka? Mōmy czyrwiec.

SEKRYTÖRKA:

Powtörka.

MINISTER:

Ja, gryfnie! Ftoś sam chce sztajnōnić. Dobre, co niyskorzij?

SEKRYTÖRKA (*czytō dalij*):

Na wieczör grōmy klasyk, Świyntō Wojnā.

MINISTER (*narōz sie fest lachō*):

Wybōccie. Yno pomyślā ō Berciku, a juź mje biere! Pamiyntōcie tyn part z goldfish`ym? Niy poradzā, ōn je taki cyrkuśny... Ō zaś! (*lachō sie*)
Minister dugo sie chichrō, kedy kōńczy, robi sie niyzryncznie cicho.

SEKRYTÖRKA (*we stronã widownie*):

Co z niymi?

MINISTER (*patrzy na widownia*):

Ze Ślōnskym?

SEKRYTÖRKA:

Ja. Co mōmy zrobić?

MINISTER:

Zrobić?

SEKRYTÖRKA:

Słyszeliżeście, co gōdali.

MINISTER:

Toż?

SEKRYTÖRKA (*wylynkanō*):

Zawierōmy?

MINISTER:

Zawierōcie.

SEKRYTÖRKA:

Nale Ministrze... ôni sōm zawarci.

MINISTER:

Zawierōcie we spaniach.

Lampa a telewizōr migajōm, potym gasnōm.

SCYNA DRUGŌ

Cima. Na binie sōm Hanek, Jorg i Francik, nale jejich niy znać.

HANEK:

Do pierōna jasnygo! Kaj je jakoś lampa? Cima choby...

JORG:

Sam je. Czekej, yno trochã... (*stynkō*) Niy. Niy poradzã, niy siōngnã.

HANEK (*ryczy*):

Mody! Te! Francik? Jeżeś tukej? Te!

FRANCIK:

Ja, jeżech!

HANEK:

Gōdać niy poradzisz?! Ciś zapōł światło, tyś je zwyrtny.

Francik zapŏlŏ blyndkã. Chopy sŏm słabo ōświetlyni. Majŏm ōblyczone hajerse arbajtancugi. Francik i Hanek siedzŏm na zŏlu. Jorg leży i niy poradzi ani zicŏńć, jednŏ nogã mŏ zatrzaśniyntŏ pod drzywnianŏm kapŏm.

HANEK (*znerwowany*):

Niy! Niy! Pierŏnie ōgnisty! Durś na tyj przeklyntyj grubie! Po jakiemu?!

JORG:

Hanek, niy pierŏn tela.

HANEK:

To miŏł być yno szpetny śnik! A my sŏm richtich uwiynziŏni!

JORG:

Cima niyfajno, zapolajŏm ōwiatłŏ, to zaś urzykŏsz.

HANEK:

Te patrzcie Jorga, marudny choby mojŏ Rŏuza! Nŏjprzŏd z niŏm, a terŏz z tobŏm tyż zech uwiynzgnŏł. I to doporzŏndku!

FRANCIK:

Dugo żeście bez haje strzimali.

JORG:

Już nic niy gŏdŏm, ale cicho tyż niy byda.

FRANCIK:

Chopy, tyż żeście usnyli?

Jorg kiwŏm.

HANEK:

Bodej dalij ōpiã. Yno ta pierŏńsko hekxa w karku je za prawŏ.

FRANCIK:

Jŏ tyż usnŏł. I miŏłech niyŏbyczajne spanie z nami trzema. Abo ōbyczajne, sŏm niy wiym.

JORG:

Jeżli Hanek zacznŏ w nim mŏndrze gŏdać, to richtich niyŏbyczajne. (*chi-
chrŏ sie*)

FRANCIK:

Pŏ prŏwdzie to trzeci abo sztwŏrty rŏz śniłŏ mi sie genau to samo. A to yno w tym tygodniu.

JORG:

To co takigo bŏłŏ we spaniach?

FRANCIK:

Niy pamiyntōm... Wiym, iże to bōła jakōs dorada eli wiadōmość, nale dycki, co yno ōtwierōm ślypia, to mōm prōżnotā w gowie. I ta prōżnotā zarōz mje rozedre!

HANEK:

Franc, dej pokōj. Ftosik ślyszōł jakeś klangi? Retownikōw?

JORG:

Toć, ślyszōłch ziymie, pedziała mi, że ciebie piyrszygo przekludzōm na wierch. Musisz yno poczekać... aże umiynisz sie w wōngiel. Pośmiywōm sie! Niy, Hanek, nic żech niy ślyszōł, bodej yno piskanie przytrzaśniytygo szczura.

HANEK:

Gōdōsz ō sie?

FRANCIK:

Drekt! Jak nogā, Jorg? Lepij coś?

JORG:

Poleku ustōwōm jā czuć. Ale hned na pynzyji mi sie niy przidō, pra? Legnā sie w ōgrōdku i fertich.

Francik prōbuje dźwignōnc kapa, ale niy poradzi.

JORG:

Dej pokōj, Francik.

FRANCIK:

Belebyś zakażyniō niy dostōł.

HANEK:

Dej mu pokōj i pōmōż szukać wyjściō!

JORG:

Jakigo wyjściō? Muszimy czekać na retownikōw i tela.

HANEK *(do sie)*:

Hanek, tuku! Co ci pizło, żeś sie zgodziōł przjisj na tās zychtā?

Hanek i Francik sznupiōm po binie.

FRANCIK:

Hanek, my już sam sznupali ze sto razy.

JORG:

Mody mōndrze gödō.

FRANCIK:

Wōntpiã, iže cosik...

HANEK (*cołki fōrt*):

Cicho! Słyszolch coś. Gödka! Choby... telewizjō? Sam!

Z wierchu wystōwō ciasnō ruła. Słyhać z nij klang programu telewizyjnygo.

FRANCIK:

Ruła? Niy bōło jeji sam.

HANEK (*ryczy do ruły*):

Retōnku! Retōnku! Sōm my pod zwołym! Hanek, Francik a Jorg!

FRANCIK (*przeciskō sie do ruły i tyż ryczy*):

Öberhajer mō zmiaždžōnō nogã! Biercie nōs stōnd!

HANEK (*zaś ryczy do ruły*):

Słyszycie nōs?! Umierōmy!

Ôrōz słyhać klang, choby coś ślatowało w rule. Chopy robiōm krok do zadku. Na zōł ślatuje mały paket. Francik i Hanek ciepiōm sie na niego, szarpiōm sie. Hanek wyrzywō paket. Rōd rozrywō papiōr i sztopuje sie w bezruchu. Francik biere przedmiot ôd Hanka, rozwijō go poleku.

FRANCIK:

To... to tressek?

Francik trzimie w rynkach tressek z ilustracyjōm szpaśnego grubiōrza i wielgim tekstym „Grubiarz”.

HANEK (*wylynkany*):

Niy wylyzimy stōnd.

SCYNA TRZECIÓ

Hanek, Francik i Jorg sôm ôzarci. Majôm ôbmaraszõne, porozepinane ôblyczyniõ i sebute strzewiki. Francik mõ na sie tresek „Grubiarz”. Nikaj na binie niy mõ ruły.

HANEK, FRANCIK (*spiywajôm*):

Jõ, ślõnski pierõn spod Bytõmia. Wydobywõm wõngel kòzdego dnia. A tam na wiyrchu slõneczko lśni, Żonka sie krzontõ, syneczek śpi.

HANEK:

To pyrisk!

Wszyjscy dźwigajôm kaski, klupjõm sie niymi i pijõm z niych gorzołka. Hanek wartko zjõdõ kõncek wusztu.

FRANCIK (*do Hanka*):

Dej bajsnõńc.

Hanek wycyrõ usta rynkõwym i podõwõ wuszt Francikowi.

FRANCIK:

Uh, dõwno takij niy jõd. Ze prawego, ślõnskigo świniobiciõ!

HANEK:

Wielã ty mõsz lõt? Jõ, stary chop, a nikej niy bõłch na świniobiciu. A tyś bõł?

FRANCIK:

Niy, tak se ôbmiyńõm.

Hanek i Francik na siebie patrzõm, ôrõz sie lachajõm.

HANEK:

Rano Rõuza mi gõdała, „Hanek, złe spanie miałach. Hanek, niy bier szychty za tygo pierõna!”. A jõ prawie wziõn. Niy bydzie mi baba reskyrować, zech gõdõ! I heksa miała recht. Pierõński Mietek, siedzi terõz na wierchu, w chałpie. Leber w pryku pewno śpi, a jõ... (*napoczynõ sie nerwowo chichrać*)

FRANCIK:

A my mõmy gorzołka, mõmy wuszt! Jorg?

Jorg biere ôstatni kõncek wusztu ôd Francika.

HANEK:

Ja, yno szejset metrõw rajn!

Francik dźwigõ kask, dalij dźwigajõm kaski Hanek i Jorg. Pijõm.

JORG:

Nojwielsze cygaństwo.

FRANCIK:

Co cygaństwo?

JORG:

Ta pieśniczka. „Gōrniczne skarby pod ziymiōm”, pra? To niy skarby yno ōstu-
da.

HANEK:

Ja, perła w korōnie. Yno kogo, Rajchu? Polski? Przeklynty wōngiel, przeklyn-
tō ziymiã! Mojigo ōjca wziena gruba, a terōzki mje.

FRANCIK:

I ōpy ōde mje, nale my wylizymy na wierch, ōboczycie! Možno tako bōła
informacyjō w moich spaniach? Cobych yno se spōmniōł.

JORG:

Gruba juź dōwno wszyjskich nōs wziena, cołki hajmat. Nōs tyź juź niy mō,
umiyniōmy sie w cima. Chopy, baby, chałpy, miasta, historyjō, przyrodã. Ta
cołkō ziymia je przeklyntō bez wōngiel.

FRANCIK:

Czym je miano? To co nazywōmy ziymiōm, pod inkszym mianym tak samo
by bolało.

HANEK:

Ty juź mody niy pijesz.

JORG:

Co to za ausdruk? Skōnd żeś to wziōn?

FRANCIK:

Možno ze tego spaniō? Niy wiym.

JORG (*dźwigō kask*):

Po jednym?

Wszyscy pijōm. Hanek ōrōz stōwō i wypluwō swojō gorzōłka. Krziwi sie.

HANEK:

Ale żōdne! Ōrōz to czujã. To sōm... to szczochy? Zarōz heftna.

JORG (*lachō sie z Hanka*):

Patrzego! Patrzcie ōzyrōka!

HANEK:

Trzimej mje, Francik, bo zarōz mu pizna! To skirz ciebie uwiynzgnyli my
pod tym zwołym! Skirz ciebie my sam fedrowali! Skirz ciebie, pierōnie! (*ko-
pie w drzywnianō kapa pod kerōm je zatrzaśniyntō noga ōd Jorga*) Tyś je dupny
ōberhajer! A terōz futrujesz nōs szczochami?

JORG:

Przestõń.

HANEK:

Szczochy nõm dõwõsz do picio i gõdõsz, iże to gorzołka?! Dõwõsz wuszt, a to... strzewiki! (*ciepie w Jorga strzewikym*) Ôgupnõłs doimyntnie!

JORG:

Jõ żech ôgupnõł? To powiydz mi wiela my sõm tukej? Ôd kedy sõm my zawarci?

HANEK:

Przeca... to już bydzie...

JORG:

Wiela? Trzi tydzie? Dwa dni? Põmõzcie mi spõmnieć. Kaj my sõm, Hanek? Na grubie? Zawarci w rabniyntyj sztrece, miyndzy tõnami wõnglõ a zymie? Ty richtich w to wierzisz? Może my yno siedzimy zawarci w dõma, w telewizje puszczejõm chopõw õblyczonych za hajerõw z cyganiõnymi uõmiychami, õni pijõm Tyskie, chichrajõm sie z ajnfachowych wicõw ô hanysach a gorolach i õpiewajõm polsko-õlõnske szlagiery wyswiytlane na promptyrzy, a my wtenczos siedzimy w kuchni przy stole z guminowym serwetem w kwiõtki, je cima, pijemy drugõ halba i cicho õsprõwiõmy ô tym, ô czym głoõno gõdac niy idzie, a cołko gõdka je w jynzyku, kerego niy mõ. I terõzki mi powiydz, Hanek. A my sõm? Sõm my tak naprõwdã?

HANEK:

Jeżli... Jeżli siedzimy zawarci w dõma, to ciõs mi furt, ciõs! Niy mogã już na ciebie patrzeć, pierõnie! Raus do drugij izby! Niy, raus na plac, w cima...

FRANCIK (*po cichu, do sie*):

Kaj płaczki i zgrzitanie zembõw.

HANEK:

Raus!

Jorg poleku wyzuwõ zatrzaõniyntõ nogã. Stõwõ. Kuko na udziwiõnych chopõw i włazi w cima. Już żõdyn go niy widzi.

FRANCIK:

Terõzki niy wiem, za wiela eli za mało gorzołki żech wypił.

HANEK:

Widziõłs?! Ôn cołki czos poradził wstõć! Tyn ciul...

FRANCIK:

Dobre Hanek, te dyc kaj õn polõz? Przecã sam wszyndy je zwoł! Ziymiã a wõngiel, ledwa poradzã sie õbrõcić.

HANEK:

Pieroński Jorg robi nös za bözna! Ugödöł sie z retownikami, gödöm ci, z retownikami, ze sztajgrym, niy, z dyrehtörüm! Söm wylöz a nös ôstawili! Gödöm!

FRANCIK:

Hans, a jeźlymy sôm richtich zawarci kaj indzij.

HANEK:

Kaj?! Za bözna nös robiöm, miarkujesz to? Ugödali sie! Miöł złömanö nogã, a chwilã potym citö!

FRANCIK:

Možno to yno spanie. Potrzebujã sie lygnöc na chwilã. Lygnöc przy mamulce...

HANEK:

Jorg, wiy, że to słyszysz! Jö cie chycã, pierönie! Słyszysz? Chyca! Znöjda cie w tyj cimie!

Gasi sie światło.

SCYNA SZTWÖRTÖ

Hanek zapöło blyndka. Kole niego śpi Francik, stynkö. Hanek budzi go.

HANEK:

Mody, stöwej! Stöwej!

FRANCIK (*budzi sie*):

Ô, Pönböczku!

HANEK:

Pieröna, nic zech bez ciebie niy dychnö! Durś coś bajukösz bez spanie...
Francik wartkö siödö. Chytö Hanka za kietl.

FRANCIK (*colki fört*):

Spömnioł zech sie! Pamientöm! Widzã go! Jö widzã, choby böł przede mnöm na binie eli we miyniöncyj sie telewizyje.
Hanek wyrwö sie Francikowi.

HANEK:

Mösz ty wszyjskich döma? Francik, jako bina, jako telewizyjö?

FRANCIK:

Spõmniõł mi sie śnik!

HANEK:

Zaś napoczynõsz? Niy mogã tego suchać, że tyż õn cie niy wziõn ze sobõm w pierõny.

FRANCIK:

Hanek, prõwda gõdõm! Widzã to wszyjsko!

HANEK:

Blank's õgupnõł? Nojsõmprzõd Jorg, terõz ty. Òd piciõ tych szczochõw pizło ci na dekel! Òd zuchlaniõ strzewikõw! Francek, sam je cima, co ty widzisz?

FRANCIK:

Langsam! Chciõłech wõm pedzieć moje spanie, pra? Już dõwno, yno je zapomniõłch, a terõzki wrõciõłõ do mje nazõd!

HANEK:

Powidz mi yno jedno, po jakimu mõm tego suchać? Po jakimu to takie wõzne?

FRANCIK:

Hanek, to wszyjsko już bõłõ. Wszyjsko bõłõ we spaniach.
Hanek wzdychõ.

FRANCIK:

We spaniach włãza do mojigo põmiyszkaniaõ na tauzenie. Wszyjsko je pouchraniane, stoi kaj mõ stoć. Nale czujã rajn, iże to je õpaczne. Miarkujesz? Przechodzã bez antryj, kukõm do kuchnie, izbõw, żõdnygo niy mõ. Niy mõ mojij Any, niy mõ cery w kolybce. Idã dalij bez antryj, je niyõbyczajnie dugi. Òtwiyrõm dźwiyrze do wielgij izby. Na zõfie siedzi chop, mõ krasiaty ancug, dugie modre wosy. Siedzi bez ruchu. Mõ zawarte õczy, nale czujã, że mje widzi. Przechodzã cicho do õkna, co by go niy õbudzić. Òkazuje sie, iże tauzen stoi na hołdzie. Patrza dalij bez õkno na Katowice, Chorzõw i dalij furt, nale widzã yno hołda hasiõ. Wyłãza z põmiyszkaniaõ. We spaniach kole mje mieszkajõm õjce, starziki, kamraty. Òtwierõm piyrsze dźwiyrze, õtwierõm druge, wchodzã do jejih põmiyszkañ, nale tyż sõm prõżne. Idã toż do aufcuga. Chcã jejih znojść. Naciskõm knefel „zero”. Aufcug zjeżdżõ. Mijõm dalsze piyntra, mijõm parter a aufcug zjeżdżõ. Pod ziemje. Skrzipi. W kõncu stõwõ. Dźwiyrze õtwierajõm sie tukej. Na grubie! Idã sztrecom, w kerej my sõm terõz. Widzã wszyjskich.

Widzã tatulka, kery dõwno niy żyje, jak õbsuguje bõrtã. Widzã mojigo kamrata Pyjtra, co musiõł wyjechać za robotõm na Niydryrlandy, widzã õma,

mõ pyrlik i żelõzko a spod jeji paznoktõw kido krew. Widzã bajtle z placu na tauzenie, lotajõm po bosoku i zbiyrajõm wõngiel. Na przodku robi Ana, kole nij leży malučkõ Natalia. Ana chce mi coś pedzieć, õtwierõ usta a nij poradzi już gõdać. Szpetnie chyrlõ. Ty tyż sam żeś je i Jorg. I wasze familje. Wszyjscy sõm w tej ziemje. Wszyjscy sõm zawarci. Sõm ziymiõm.

Zapolõ sie modre światło z zadku biny. Minister i sekretõrka sõm tam, kaj byli na poczõntku. Jorg stoi postrzodku przed czerwonõm kurtyõm, mõ krasiaty ancug i makijaż. Trzimie małõ blyndkã na kablu õswiytlajõncõ mu gyzicht.

JORG (*şpiywõ do melodyje ze şpiwki õd Roy'a Orbisona „In dreams”*):

Bonbonõwy kasper mianowany Piosnik

Włazi mi do izby w kożdõ noc Coby yno zasuc hasiem i pedzieć
„Nynej. Do porzõndku wszyjsko je”

Õczy zawierõm i õdpływõm furt W caubrowanõ noc, kaj mõj durst
Napoczynõm paciyrz, choby şpiõncy rzykõł Potym usypiõm şnić spania zi-
stõm

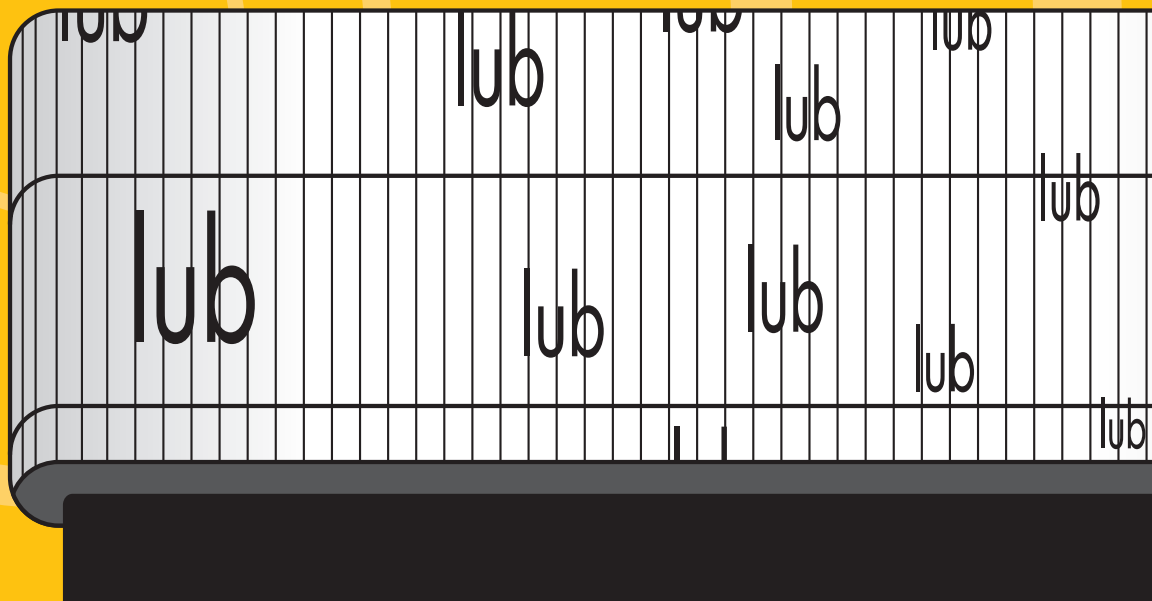
We spaniach szpacyrujã z tobõm, we spaniach klachõm z tobõm, we spa-
niach'ş moջõ cołki czos sõm my razym we spaniach, we spaniach

Ale hned przed dniym, budzã sie a cie nij mõ nij poradzã, nij poradzã,
jeżech ap
Jõ spamiyntõłch, żeś pedziała, adieu!

To szpetnie, iże wszyjsko to trefisz ynowe spaniach
Yno we spaniach, we piyknych spaniach.

KÕNIEC

POŚLUCHAJ OBEJRZYJ DOZNAJ



KATOWICE
Miasto Ogrodów
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

miasto-ogrodow.eu
facebook.com/2016katowice



WYDAWCY

PATRONAT MEDIALNY

iM!GO
PUBLIC RELATIONS



KATOWICE
Miasto Ogrodów
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

GAZETA
wyborcza

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY • ISBN 978-83-953626-3-7